

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM IX.

ROK III.

TOM I. — ZESZYT I.

Styczeń.

WARSZAWA
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1878.

SPIS RZECZY.

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

KSIĘGA PIERWSZA.

— A więc to jest Warnow?

— Przepraszam, panie prezydencie, Warnow leży cokolwiek dalej w głąb kraju.

— Dziwna rzecz, jak się pan prędko oryentujesz, panie jenerale!

— Wprawdzie byłem tam raz jeden tylko, odpowiedział jenerał, ale następnie często miałem sposobność studyowania brzegu tego na mapie.

Prezydent uśmiechnął się.

— Tak, tak, jest to grunt klasyczny, przemówił; długo walczono o niego; długo i — daremnie! Ale sądzę, że walka ponowi się z czasem; hrabia Golm i wspólnicy wielkie o to czynią zabiegi.

— Dowiódłszy w tak przekonywający sposób, że kolej nie będzie przynosiła dochodów?

— Tak, jak pan dowiodłeś, że port wojenny niepotrzebny tu wcale!

— Przepraszam, panie prezydencie, nie dano mi pod tym względem żadnego polecenia, a raczéj uchyliłem się od niego. Jedyne, stosowne ponickąd miejsce na port byłoby tam, w najbardziéj południowym kącie zatoki, pod zasłoną przylądka Wissower-Haken, jeżeli dobrze sobie przypominam; to znaczy na ziemi i gruncie War-

nowa. Wprawdzie miałem sobie powierzoną tylko opiekę nad majątkiem mojéj siostry.

— Wiém, wiém, przerwał prezydent, honorowość swą posuwasz pan bardzo daleko. Hrabia Golm i wspólnicy mniéj są skrupulatni!

— Tém gorzéj dla nich!

Dwaj panowie rozmawiający należeli do pasażerów statku, udającego się do Sundinu na nową koléj żelazną. Spotkali się wsiadając już na parostatek w Szczecinie, skąd udawali się w jednę stronę i odnowili dawną z sobą znajomość. Córka starego wojaka, Elsa, towarzyszyła ojcu w téj podróży; podczas kiedy dwaj panowie wzajemnie sobie dotrzymywali towarzystwa, ona długie spędzała godziny na pokładzie, zabawiając się książką lub rysunkiem.

I teraz oto, nie zważając na pogodę, siedziała w zasłoniętém od wiatru miejscu, przy ścianie kajuty; zadumana, spoglądała z kolei na morze, na szare obłoki, lub na gęste kłęby dymu, unoszące się po nad statkiem, wreszcie na ludzi, znajdujących się na pokładzie. Wszystko to już dobrze było jéj znane, oko znużone jednostajnością widoku prześlizgało się powoli, nie zatrzymując na niczém; jeden tylko człowiek, niezmordowanie chodzący po pomoście, więcéj zaciekawiał patrzącą; z ruchów i pewności chodu wnosiła, że musi być marynarzem. W zwyczajnych okolicznościach nie byłaby zwróciła żadnéj na niego uwagi, tak przynajmniéj sądziła, możeby nawet nie spostrzegła go wcale; jeżeli zaś dzisiaj tak mu się pilnie przypatrywała, to dlatego jedynie, że nic innego nie miała do roboty, ani do widzenia.

W albumie swoim skreśliła wprawdzie już kilka widoków: część portu w Szczecinie, potém kawał wybrzeża, wreszcie wizerunek sternika, ale z całéj téj pracy wcale nie była zadowolniona. Usiłowała nakoniec naszkicować portret p. Niezmordowanego, jak go nazwała; ale ten znowu w ciągłym był ruchu, nie mogła więc sobie z nim poradzić.

Już kilka razy zmazała rozpoczętą pracę, kiedy nareszcie, nieznajomy zatrzymał się koło sternika i czas jakiś spokojnie patrzał na morze.

— Nakoniec! szepnęła Elsa; może choć chwilkę spocznie i pozwoli mi coś zrobić.

Ołówek szybko posuwał się po papiérze.

— Śliczny profil! Doskonale się rysuje na szarém tle nieba; czarna broda pysznie mi się udała! brody zwykle mi się udają, piękna twarz! szkoda, że nie można oddać na papiérze tego, co w niéj najpiękniejsze — duże, niebieskie, łagodne oczy; ręce w kieszeni

teraz jeszcze ławka, koło któréj stoi i kawałek ściany parostatku, i pan Niezmordowany gotów.

Odsunęła cokolwiek rysunek od siebie i z zadowoleniem mu się przypatrywała. Wreszcie napisała pod nim: Niezmordowany. Rysowany z zamiłowaniem 26 Sierpnia 72. E. r. W.

W chwili kiedy Elsa tak gorliwie pracowała nad przeniesieniem na papiér rysów i postawy młodego człowieka, obraz jéj wzajemnie żywo zajmował jego wyobraźnią. On nie patrząc na nią, wciąż widział przed sobą wdzięczną jéj postać; wyrazistą, ruchliwą fizyognomią; wielkie piwne oczy, jaśniejące rozumem i energią, tak bystro a słodko patrzące. Ujrzał ją po raz pierwszy przy wsiadaniu na statek, i odtąd wzrok jego ścigał wszystkie jéj ruchy, i wszystko wabiło i pociągało go ku niéj. Tłómaczył to sobie naturalną przyczyną, brakiem towarzystwa kobiécego, którego był pozbawiony przez czas długi, i nie dziwił się wcale, że piękna dziewczyna wywarła na nim teraz tak wielkie i silne wrażenie.

— I cóż stąd — mówił do siebie — za trzy godziny staniemy w Sundin, a tam, bywaj mi zdrowa na wieki!

— Ale cóż im przyszło do głowy? Przy tak małéj wysokości wody chcecie płynąć przez mieliznę?

Z temi ostatniemi wyrazami zwrócił się do sternika.

— A! to rzecz kapitana, odrzekł majtek. Ja sam myślę, ale kiedy kapitan sądzi....

Młody człowiek nie słuchał daléj. Razy kilka już odbywał tę podróż, niedawno jeszcze przejeżdżał miejsce, o którém wspominał a które zaledwie o pół mili stamtąd było oddalone; przestraszył się, widząc, że szybkość parowca nie zmniejszyła się wcale, i że nie przedsiębrano żadnych środków ostróżności, chociaż przy wietrze zachodnim woda tak opadła, że tam gdzie poprzednio było 15 stóp, dzisiaj zapewne będzie ich zaledwie 10.

Szybkim krokiem udał się w stronę, gdzie stał kapitan statku. Ten z największą flegmą odpowiedział mu, że na mapie oznaczono jest 15 stóp głębokości w tém miejscu, a zatém parowiec, biorący ich 8 tylko, bezpiecznie może je przebyć. Że wié wprawdzie, iż inni kapitanowie wolą omijać to miejsce, bo w pewnych okolicznościach woda spada tam daleko niżéj, ale pomimo to, jemu samemu udawało się już nieraz przebywać tę mieliznę, więc i teraz nie widzi powodu, dlaczego miałby naddawać sobie drogi.

Wszelkie przedstawienia młodego człowieka pozostały bezskuteczne; kapitan trwał w uporze, parowiec szybko się posuwał naprzód.

Wkrótce wszakże bieg jego stopniowo zaczął wolnieć, tak, że zwróciło to nawet uwagę pasażerów; wreszcie gwałtowne uderzenie wstrząsnęło całym statkiem, i przeraźliwe skrzypnięcie zatrwożyło wszystkich. Poczém nastąpiła głucha cisza; po chwili zaś cały parowiee zaczął drgać wskutek gwałtownego ruchu śruby, za pomocą któréj chciano go cofnąć nazad, ale nadaremnie. To co przed chwilą byłoby zapobiegło niebezpieczeństwu, okazało się teraz zupełnie bezskuteczném.

Chodzenie, bieganie i krzyki powstały naraz.

Przepowiednia młodego człowieka spełniła się: parowiec osiadł na mieliznie, i napróżno usiłowano zepchnąć go na pełne morze.

Kapitan nie wzruszył się wcale tym wypadkiem; obojętnie słuchał skarg i wyrzekań i wzruszał ramionami, widząc gniew pasażerów. Cóż on temu winien, że mapy złe—to rzecz ministeryum marynarki, a nie jego sprawa!—mówił z flegmą!

Wreszcie pozwolił spuścić wielką łódź i odwieść pasażerów na ląd.

— A tam niech już sobie radzą jak chcą, kiedy tak chcą, dokończył.

Młody człowiek, zwany przez Elsę p. Niezmordowanym, był w istocie marynarzem, kapitanem okrętu kupieckiego i nazywał się Reinhold Schmidt.

Po rozmowie swojéj z kapitanem zbliżył się do Elsy, która wciąż siedziała na pokładzie, i uprzedził ją o mogącym nastąpić wypadku. Potém, kiedy katastrofa już zaszła, zapewnił, że przy spokojném morzu żadnego nie ma niebezpieczeństwa, a którykolwiek z przejeżdżających mimo statków będzie mógł zabrać pozostałych pasażerów na swój pokład, w razie gdyby do tego czasu nie udało się spuścić parowca na pełne morze.

Jenerał zatém zdecydował się pozostać na miejscu, a prezydent, chociaż wcale niezadowolniony z tego, przez grzeczność musiał dotrzymywać mu towarzystwa.

Pod wieczór wszakże wiatr się wzmógł—niebo pokryło się ciężkiemi chmurami—fale coraz wyżéj zaczęły się podnosić.

Niepokój prezydenta wzrastał więc co chwila, témbardziéj że noc zbliżała się szybko, i inni pasażerowie opuszczali statek. Elsę bawiło z początku to zakłopotanie jego, wreszcie zrobiło się jéj żal starego człowieka, nieprzyzwyczajonego, jak jéj ojciec, do niewygód, a tém mniéj do niebezpieczeństw. Postanowiła zatém raz jeszcze poradzić się Reinholda, który, siedząc na tylnéj części pokładu, patrzał przez lunetę na wielką łódź, odwożącą pasażerów na ląd.

Tak był tém zajęty, że nie spostrzegł zrazu zbliżającéj się Elsy. Szybko się porwał z miejsca dopiéro wtenczas, kiedy przemówiła do niego.

— Jak daleko już są, zapytała.

— Zaraz wylądują odpowiedział. Może pani zechce popatrzéć?

Elsa wzięła lunetę, ale najprzód nie mogła jéj ustawić, potém zaś pokazało się, że oczy jéj lepiéj i daléj widzą bez pomocy szkieł.

— W istocie ma pani oczy marynarza, rzekł Reinhold.

Elsa zaśmiała się i Reinhold zaśmiał się także. Oczy ich spotkały się i utonęły w sobie na chwilę.

— Mam prośbę do pana, rzekła.

— Ja także, odpowiedział, patrząc wprost w ciemne oczy, które jak gwiazdy świeciły mu. Chciałem prosić panią, byś skłoniła ojca do odjazdu. Za godzinę popłyniemy, ale noc będzie burzliwa; w najlepszym razie jest to rzecz nieprzyjemna; w najgorszym zaś bardzo przykra. Chciałbym uchronić panią tak od jednego jak od drugiego.

— Dziękuję panu, miałam właśnie zasięgnąć rady pańskiéj w tym względzie.

— A więc doskonale, pomówię zaraz z ojcem pani i musimy jechać natychmiast.

— Musimy?

— Chcę prosić panią o pozwolenie odwiezienia ją na ląd.

— Dziękuję panu, powtórzyła raz jeszcze. Podała mu rękę oczy ich znowu spotkały się.

— Ręce można zaufać i oczom także, pomyślała sobie.

Poczém szybko oddaliła się.

Reinhold zamierzał udać się za nią, wtém spostrzegł u nóg swoich popielato-niebieską rękawiczkę. Upuściła ją zapewne, ustawiając lunetę. Młody człowiek szybko ją podniósł i schował.

— Nie dostanie jéj już, powiedział sobie.

Reinhold miał słuszność, nie było chwili do stracenia. Niebo pokrywało się coraz czarniejszemi chmurami, i silny wiatr powstał, tak, że niepodobna już było zdążyć do miejsca, gdzie pierwsi podróżni wylądowali, i gdzie się znajdowała wieś. Teraz można już było płynąć tylko z wiatrem ku północy, tam zaś na wąskim pasie nagich, piaszczystych wzgórz nie było nawet chaty rybackiéj.

Reinhold zręcznie i silnie kierował łodzią; jasne jego oczy i pogodne czoło tak wielką budziły ufność w Elsie, że nie czuła żadnéj bojaźni, chociaż fale rzucały łódką jak łupiną orzecha, a blady ze

strachu prezydent wciąż krzyczał: Na Boga! Ojciec jéj także miał czoło pochmurne. Ona jednak czuła się zupełnie spokojną, bo niebieskie oczy patrzące pogodnie i uśmiech na ustach odpowiadały wyraźnie, że nie ma się czego obawiać. Kiedy przybili do brzegu, majtkowie przenieśli panów na ląd, ona zaś chciała sama wyskoczyć z łodzi, ale silne ramiona pochwyciły ją wpół i szybko a zręcznie postawiły na ziemi. Panowie poczęli się naradzać między sobą, Elsa zaś z zajęciem przypatrywała się widokowi, co się roztaczał przed nią. I wszystko wydawało się jéj zachwycającém. Przed nią huczało nieskończone morze, olbrzymie wały białą, kroplistą uwieńczone pianą, wściekle goniły jeden za drugim, podnosiły się i opadały, wreszcie z szumem rozbijały o wybrzeża. Na prawo i lewo piaszczyste wzgórza, porosłe morskiemi trawami; długie ich wstęgi słały się po ziemi lub podnosiły ku niebu, jakby jakieś żywe istoty; tajemniczą prowadzące rozmowę z wichrem i deszczem. Wicher ten nawet i deszcz robił jéj pewną przyjemność,—czuła się jakąś rzeźwą, silną i szczęśliwą—szczęśliwą jak nigdy. Nietylko nie gniewała się na przygodę, która ich spotkała, ale przeciwnie chciałaby, żeby się ta przeciągnęła jak najdłużéj.

Ponieważ wieś rybacka leżała o pół mili stamtąd, i trudno się było dostać do niéj po mokrym piasku, postanowiono przeto, idąc za radą Reinholda przerznąć się przez wzgórza piaszczyste i poszukać schronienia w fermie, znajdującéj się nieopodal stamtąd, jak utrzymywał młody człowiek.

W istocie, po półgodzinnéj drodze, strudzeni podróżni ujrzeli zabudowania gospodarskie i niski, mieszkalny domek.

Była to mała ferma, którą niejaki Pöllitz trzymał w dzierżawie od hrabiego Golma.

Dzierżawca uprzejmie przyjął podróżnych i zaczął się troszczyć o nocleg dla nich; ale Elsa, dowiedziawszy się od żony jego, że mają dwoje dzieci słabych i spostrzegłszy ją ogromnie stroskaną, przedstawiła ojcu, że na żaden sposób nie mogą obarczać gospodarzy obecnością swoją i w takiéj chwili sprawiać im nowy kłopot.

Nie pozostawało zatém nic innego, jak prosić o gościnność hrabiego Golma, którego myśliwski zamek leżał o pół mili stamtąd. Prezydent, jako znajomy hrabiego, zrobił tę propozycyą i natychmiast wysłał na zamek gońca, zawiadamiając o przybyciu gości. Jenerał, acz bardzo niechętnie, musiał się zgodzić na to.

Zanim posłaniec wrócił, Elsa wdała się w długą rozmowę z dzierżawczynią; rozpytywała ją o przeszłość ich, o dzieci i zamiary na przyszłość. Dowiedziała się od niéj, że byli niegdyś w lepszym bycie; ale wojna, choroby a wreszcie podniesiona cena dzierżawy zupełnie ich zniszczyły. Ze smutkiem wspominała o fermie, którą poprzednio zajmowali, a skąd hrabia ich wyrugował. W słowach jéj przebijał żal do hrabiego, który podwyższał dochody swoje, podnosząc czynsze dzierżawne, i takim sposobem nietylko zmusił ich do opuszczenia miejsca, gdzie pierwsze szczęśliwe chwile małżeństwa swego spędzili, ale i tutaj wymaganiem wygórowanéj opłaty przyczynił się do ich nędzy.

— Sam nie żonaty „mówiła nie rozumie jak ciężko jest biednym ludziom utrzymać się z dziećmi, jak smutno jest tułać się z tém maleństwem z miejsca na miejsce i opuszczać kąty, do których się przywykło, niemal przywiązało wspomnieniem nietylko chwil szczęśliwych, ale i przebytych boleści.

Nie żonaty! Słowo to niemile uderzyło Elsę. Nie przyszło jéj na myśl pierwiéj spytać o to, a teraz już było zapóźno. Cóż by powiedziała ciotka Sydonia na to, że młoda panna, chociażby w towarzystwie ojca, ale bez opiekuńczego skrzydła damy, była w domu kawalera! Znalazłaby to bardzo, bardzo nieprzyzwoitém, a nawet nagannéin.

Gdybyż przynajmniéj przy pierwszém spotkaniu można było powiedzieć hrabiemu: tyle dobrego słyszałam o panu, panie hrabio, od pańskich dzierżawców—a tak—to w istocie trochę nieprzyjemne;—ale mniejsza o to, biedna kobiéta!

Elsa smutnie się zadumała nad nią i nad losem podobnych jéj istot, skazanych na codzienną walkę z potrzebami życia. Jakże smutną, jak odartą z poezyi jest prawdziwa nędza! Jakże smutném jest ubóstwo! Mimowoli stanęło jéj w myśli pytanie: czy on, kapitan statku kupieckiego, jest także biedny,—czy ma także żonę? Może stroskaną i nieszczęśliwą, jak ta oto kobiéta! Łzy się jéj w oczach zakręciły, sięgnęła ręką do kieszeni i wydobyła z niéj małe pudeleczko z kompasem, które wzięła była od kapitana, kiedy płynęli łodzią, a potém zapomniała oddać.

Wewnątrz pudełka złotemi literami wyryte było nazwisko: Reinhold Schmidt. Igiełka za każdém poruszeniem ręki drżała i wciąż się zwracała w stronę literek.

— Jak gdyby szukała Reinholda Schmidta, szepnęła Elsa; ta to wierna! I ja też byłabym wierna, gdybym kochała; męża wspierałabym i dzieci niańczyła, aż wreszcie stałabym się podobna do téj oto bladéj, wynędzniałéj istoty! Dzięki Bogu, że nie kocham!

Zamknęła pudełko i wsunęła je napowrót do kieszeni. Płacz jednego ze słabych dzieci przypomniał jéj chwilę obecną, wstała i wyszła do pierwszego pokoju, gdzie panowie rozmawiali z dzierżawcą. Pytała go, czy nie możnaby posłać po doktora.

Pöllitz potrząsnął głową.

— Nie tak to łatwo, jak pani sądzi, odpowiedział; doktór daleko, koszta więc sprowadzenia go i zapłaty ogromne, bo drogi nie mamy dobréj. Latem to jeszcze jakkolwiek łódką, ale teraz po naszych drogach!

— A cóż myślicie o kolei żelaznéj? zapytał prezydent, rzucając spójrzenie na jenerała.

Po twarzy dzierżawcy przemknął ponury uśmiech.

— Co ja myślę? Wszyscyśmy musieli podpisać petycyą; na papiérze wygląda to prześlicznie, ale w rzeczywistości nie wierzę temu ani słowa. Po co nam koléj? Na podróże nie mamy piéniędzy, a te trochę ziarna i wełny, co sprzedajemy, moglibyśmy w półtory godziny zawieść na najbliższy rynek, gdybyśmy mieli bitą drogę. A zresztą pan prezydent wié dobrze, że naszą główną drogą jest i będzie zawsze droga morska; ta nietylko jest krótsza, ale z pewnością tańsza od kolei.

— A port wojenny?

— Na tém to już się wcale nie znam, wiém tylko tyle, że trudno byłoby zbudować coś na naszych piaszczystych wzgórzach, które wiatr dziś tu a jutro tam przenosi. My rolnicy, żeglarze i rybacy nie potrzebujemy żadnego portu, ani wojennego, ani pokojowego; dosyć nam byłoby dobréj portowéj grobli. Koléj żelazna! port wojenny! tak, nie jeden może zrobić piéniądze na tém; dziś na piasku, jutro na ziemi rolnéj, którą teraz biedny człowiek w pocie czoła swego uprawia. W końcu trzeba będzie wziąść kij w rękę i wyruszyć do Ameryki, gdzie jeszcze znajdzie się może miejsce dla nieszczęśliwych.

Szorstki głos dzierżawcy zadrżał, mówiąc te słowa. Jenerał wstał, przeszedł się po pokoju i zbliżył do okna.

— Posłaniec nie wraca, rzekł.

— Pójdę zobaczyć, rzekł Pöllitz.

Po wyjściu jego jenerał szybko odwrócił się do prezydenta.

— Wolałbym, żeby się nie było posłało do Golmberga. Udamy się tam zmuszeni koniecznością, pomimo to wszakże będziemy obowiązani hrabiemu za gościnność.... Pan z powodu interesów musisz być z nim w ciągłéj styczności, ale ja.

Potarł ręką czoło i gniewnie targnął siwe wąsy; prezydent wzruszył ramionami.

— Ależ, panie jenerale, mówisz pan tak, jak gdyby towarzyski nawet stosunek z hrabią już miał w sobie coś niebezpiecznego. Chciéj przyznać, że ani koléj, ani port, ale to, coś słyszał od dzierżawcy, tak cię źle usposobiło względem niego.

— A czyż skargi tego człowieka nie mają podstawy?

Prezydent znowu wzruszył ramionami.

— To zależy od sposobu zapatrywania się na rzeczy, odpowiedział. Hrabia mógłby być może względniejszym dla swego dzierżawcy; ale nie bądźmy téż niesprawiedliwymi. Wziął w spadku dobra bardzo odłużone; chcąc się przy nich utrzymać, musiał podwyższyć czynsze. Mógłby naturalnie zaradzić złemu, zaprowadzając mieszczańską oszczędność w życiu i wydatkach swoich, ale dla młodego człowieka to za długa i za nudna droga; obrał więc krótszą i łatwiejszą.

W téj chwili odezwało się głośne szczekanie psów na podwórzu, między zabudowaniami mignęły światła pochodni, i zaraz potém na nierównym bruku rozległ się tentent kopyt końskich i turkot kół.

— Hrabia sam przyjechał! zawołał prezydent ucieszony i pośpieszył naprzeciw wchodzącego.

Nastąpiły powitania i prezentacye. Elsa, usłyszawszy głośniejszą rozmowę, wyszła téż z przyległéj izdebki.

— A zatém wszyscy już jesteśmy, zawołał po krótkiéj rozmowie prezydent, któremu pilno już bardzo było zakończyć awanturniczą przygodę podróży i wrócić do zwykłych wygódek życia.

— Brakuje jeszcze kapitana, odrzekła Elsa.

— Lękam się nadużywać cierpliwości hrabiego, przemówił jenerał.

— Jestem na usługi państwa, odrzekł hrabia; ale o cóż chodzi, jeżeli wolno zapytać?

— W towarzystwie naszém jest jeszcze jeden pan, rzekł jenerał, kapitan statku. Przybywszy tutaj, chciał się dowiedzieć co się stało z parostatkiem, na którym podróżowaliśmy razem, i udał się znowu nad brzeg; ale tak długo bawi, że możnaby sądzić, iż się zabłąkał między wzgórzami, albo że go spotkało jakie nieszczęście.

— Trzeba wysłać ludzi z latarniami, zawołał hrabia; natychmiast wydam rozkaz.

— Niech się pan nie trudzi, panie hrabio, odezwała się Elsa, zrobiono to już na moję prośbę.

— Ah, rzekł hrabia i zaśmiał się,—w istocie!

Elsa zarumieniła się. Kiedy za przybyciem hrabiego weszła była do pokoju, młody człowiek wydał się jéj pięknym mężczyzną: miał rysy twarzy regularne, cerę jasną, zdrową i ładne blond wąsy; teraz, gdy zaśmiał się, wydał się jéj szkaradnym. Czego się śmiał? Elsa wyprostowała się dumnie.

— Kapitan oddał nam wielkie usługi w czasie podróży, jemu zawdzięczamy to, że jesteśmy tutaj bezpieczni teraz. Zdaje mi się, że obowiązkiem naszym jest nie pozostawiać go tak samego.

— Ależ, ja zupełnie jestem zdania pani! odpowiedział hrabia i zaśmiał się znowu.

Elsa spojrzała z wyrzutem na ojca, dziwiąc sie, że pomija milczeniem rzecz więcéj do niego, niż do niéj należącą. Nie wiedziała, że jenerał namyślał się w téj chwili, czyby pod pozorem nieobecności kapitana nie mógł się i sam wymówić od gościnności hrabiego. Nie słyszała, jak nastawał na konieczność czekania na towarzysza podróży, po ostatnich swych słowach bowiem opuściła pokój.

Stanąwszy przed drzwiami domu ścisnęła rękami czoło. Pulsa w skroniach gwałtownie jéj biły. Jak się to stało, że wywołała śmiech obcego człowieka? że mogła wzniecić podejrzenie jego o żywszy jakiś interes tam, gdzie chodziło o prosty obowiązek grzeczności i wdzięczności? a jeżeli ludzie wysłani z latarniami nie znajdą go? Jakże długo jeszcze miano czekać na niego i kiedyż nareszcie miała powiedzieć—jedźmy już! bo jeżeli wróci i powie, że nie myśli wcale jechać z nami? i śmieszna scena nadaremnie odegraną została, i hrabia po raz trzeci, a wtenczas już słusznie—zaśmieje się znowu?

— Nie zniosę tego, powiedziała i tupnęła nogą.

W téj chwili jakaś wysoka postać w ceratowym płaszczu i takiéjże czapce stanęła we drzwiach tuż koło niéj.

— Ach, to pan nareszcie, czekaliśmy na pana, jedziemy zaraz!

— Miałem zamiar pozostać tutaj, rzekł Reinhold.

Elsa żywo posunęła się ku niemu.

— Chcę, żebyś pan jechał z nami, chcę tego! poczém znikła we drzwiach.

Reinhold pozostał sam i nadaremnie usiłował rozwiązać pytanie, czy to żartem czy na seryo powiedziała? Nie miał wszakże siły nietylko oprzeć się rozkazowi, ale i własnemu sercu, które go ciągnęło w tęż stronę. Zdecydował się jechać na zamek.

Przybycie Reinholda usunęło ostatnią przeszkodę do wyjazdu. Całe towarzystwo pożegnało gospodarzy; Elsa z ojcem i prezyden-

tem wsiadła do jednego powozu, a hrabia z kapitanem do drugiego, i przy świetle pochodni i latarni wyruszono ku zamkowi.

Prezydent, wsiadłszy do wygodnego powozu, zupełnie odzyskał dobry swój humor i sam jeden podtrzymywał rozmowę, dając pobieżny szkic genealogii hrabiego i charakteru jego samego. Podziwiał w nim niezwykłe połączenie marnotrawstwa i skąpstwa zarazem; rycerskie usposobienie z jednéj strony, a kupieckie zdolności z drugiéj. Jenerał, już po rozmowie z Pöllitz'em źle usposobiony względem hrabiego, tém większéj ku niemu nabiérał niechęci, słuchając prezydenta i teraźniejsze z nim zbliżenie się uważał za bardzo niemiłą konieczność. Niepodobna już wszakże było zaradzić temu.

Koła szybko się toczyły, las się przerzedzał, wreszcie majestatyczny pałac, ozdobiony wieżami, ukazał się zdala. Mnóstwo świateł zabłysło we wszystkich oknach, i liczna służba wysypała się z podwojów na przyjęcie gości.

Dla żywéj wyobraźni Elsy był to jak gdyby dalszy ciąg czarodziejskiéj przygody. Przejście to z niebezpieczeństwa, ponurego widoku morza, pełnego majestatu i grozy—daléj ciemności, ubóstwa i smutku do jasności, przepychu, wesela i spokoju, przynajmniéj pozornego, miało dla niéj coś cudownego, zachwycającego w sobie. Oko jéj z przyjemnością spoczęło na wspaniałych ozdobach starożytnéj sali, do któréj najprzód weszli. Tu miła niespodzianka spotkała ją. Dwie panie, oczekujące na gości, uprzejmie ją powitały i zaprowadziły do przeznaczonego dla niéj pokoju, znajdującego się tuż obok tego, który same zajmowały.

Były to: pani i panna Strummin, sąsiadki hrabiego, do których po otrzymaniu kartki prezydenta posłał natychmiast, prosząc, by obecnością swoją raczyły dopomódz mu do przyjęcia niespodzianych gości, między którymi znajdowała się dama. Panie Strummin chętnie odpowiedziały na to wezwanie.

Elsa serdecznie podziękowała im za tę przyjemność, uścisnęła ładną Mieting, i nie upłynęło pół godziny a już mówiły do siebie po imieniu i w najlepszéj były harmonii.

Marya Strummin, wesoła, o szarych figlarnych oczach, dzieweczka, opowiadała Elsie jak wielką przyjemność zrobiło jéj wezwanie hrabiego, gdyż rzadko kiedy wyjeżdżała z domu, gdzie się bardzo nudziła. Do Golmberga zaś chętniéj niż gdzie indziéj jeździła zawsze: tak śliczny tu był las, a z zamkowéj wieży przepyszny widok na morze!

— Nie powinnabyś już stąd odjeżdżać, szczebiotała daléj, a przynajmniéj musisz téj jesieni jeszcze wrócić! Ze mną się przecię nie ożeni; ja nie mam nic i on nic nie ma, wyjąwszy swego wielkiego majoratu, a jeżeli budowa kolei żelaznéj i portu nie dojdą do skutku, to wszyscy tutaj zbankrutujemy, jak powiada mój papa. A cała to sprawa zależy od twego ojca i od prezydenta, jak mówi mój papa; jeżeli zatém zaślubisz go, w takim razie, ma się rozumiéć, ojciec twój da koncesyą—wszakże się to tak nazywa? bo właściwie i teraz już rzecz ta ciebie się dotyczy; albowiem port, jak powiada mój papa, założonym być może tylko w dobrach, należących do twojéj ciotki, a ty i twój brat odziedziczacie po niéj a nawet podobno jesteście już współdziedzicami? Ma to być dziwny testament, jak powiada mój papa; zmiłuj się, opowiedz jak to jest! powiedz, powiedz! ja nikomu a nikomu nie powtórzę!

— Ale na prawdę, ja sama nie wiém tego, odpowiedziała Elsa; wiém tylko, że jesteśmy zupełnie biedni, i że co się tyczy mojéj osoby, możesz śmiało zaślubić twego hrabiego.

— Chętniebym to zrobiła, poważnie odpowiedziało dziewczę, ale nie jestem dla niego dość piękna. Ja to już chyba wyjdę za jakiego bogatego Schulza, Müllera albo Schmidta, któremu nasz staroświecki ród zaimponuje. Trzeba ci wiedzieć, że ród Strumminów jest tak stary, jak sama wyspa; tak, tak!—A jak się nazywa kapitan marynarki, co z wami przybył?

— Reinhold Schmidt.

— Żartujesz!

— Ale naprawdę; nie jest to nawet żaden kapitan marynarki.

— Tylko co?

— Poprostu kapitan statku kupieckiego.

— A to zabawne! Mieting z wielkiego podziwienia klasnęła małemi rączkami. Elsa zaś zarumieniła się.

— A więc i wieczerzać z nami nie będzie?

— Dla czego? zapytała żywo Elsa.

— Prosty kapitan statku! Boże co za szkoda! tak piękny mężczyzna! rachowałam już na niego dla siebie! ale prosty kapitan!

Pani Strummin weszła w téj chwili do pokoju, wzywając panny do stołu. Na zapytanie Mieting co do kapitana odpowiedziała, że wszystko już zostało załatwione: hrabia pytał u jenerała i prezydenta, czy chcą przypuścić kapitana do towarzystwa swego; ci odpowiedzieli twierdząco, a zatém pan Schmidt także zasiądzie do stołu.

Kiedy panie zeszły na salę, znalazły już tam całe towarzystwo. Elsa wszakże natychmiast spostrzegła, że brakowało Reinholda. Nie domyślała się wcale, że ten w niemałym był w téj chwili kłopocie.

Po przybyciu na zamek udał się był do pokoju przeznaczonego sobie, gdzie się miał przebrać. Jakież było jego przerażenie, kiedy dobywszy rzeczy swych z worka podróżnego, który na wszelki przypadek zabrał był ze statku, nie znalazł między niemi stosownego ubrania. Przewracał tłómok, przerzucał wszystko, napróżno! zawsze wpadał mu w ręce czarny frak, który przywdziewał tylko w solennych okolicznościach; teraz zaś był on zupełnie niestosownym do długich podróżnych butów, w których musiał pozostać, nie mając na zmianę innego obuwia. Myślał i rozmyślał co począć; nie mając wreszcie nic innego do wyboru, postanowił stawić czoło śmieszności, szybko się ubrał i udał na salę.

Tu znalazł już wszystkich.

Na widok dziwacznego ubrania jego Mieting wybuchła gwałtownym śmiechem. Elsa także z trudnością zachowała poważną minkę i na tłómaczenie się Reinholda grzecznie odpowiedziała.

Wreszcie zajęto miejsca u stołu. Reinhold miał naprzeciw siebie hrabiego i Elsę; z lewéj strony Mieting; z prawéj pana Strummin, mężczyznę o szerokich plecach, szerokiéj, czerwonéj twarzy i szerokiéj czerwonéj brodzie.

Mieting rychło zapomniała o śmiesznych butach swego sąsiada, które stół zakrywał przed jéj wzrokiem. Z upodobaniem patrząc na piękną twarz Reinholda, rozpoczęła z nim żywą rozmowę; sprawiało jéj to przyjemność tém większą, że domyślała się jak bardzo drażniło to gospodarza domu. Wiedziała, że hrabia uważa za osobiste ubliżenie sobie, jeżeli damy, nawet téj o których względy nie troszczył się wcale, w jego obecności innego mężczyznę zaszczycały uwagą swoją. Tu zaś tém przykrzejszém mu to było, że mężczyzną owym był prosty kapitan okrętu, którego uważał za intruza w towarzystwie swojém, za istotę o wiele niższą od siebie, którą mu narzucono jako gościa. Z początku nie miał zamiaru przypuścić go do stołu swego; żałował teraz, że zasięgał w tym względzie zdania panów, trzeba było po prostu zostawić go w jego pokoju. Wszystko mu się w nim nie podobało: postawa, układ, spojrzenie, głos. Nie byłaż to ironia losu, że tę nieznośną figurę sam musiał przywieść do własnego domu, we własnym powozie!

Humor jego pogorszał się jeszcze tém, że nieraz skazany był na milczenie i on, gospodarz, jak gdyby usunięty na drugi plan! Z Elsą rozmowa nie kleiła się jakoś wcale, do drugiéj sąsiadki jego, pani Strummin, prezydent często przemawiał, w dodatku pan Strummin poruszył kwestyą kolei żelaznéj, któréj on postanowił był nie tykać u stołu. To ostatnie wyprowadziło go nareszcie z cierpliwości.

— Proszę cię, drogi przyjacielu, odezwał się do pana Strummina, mówiąc o naszym projekcie nie wyrażaj się tak wciąż: „my“ i „nas“, mów za siebie tylko, bo pod wielu względami różnimy się w zapatrywaniu się na tę sprawę.

— Ho! ho, różnica nie tak wielka! zawołał pan Strummin; zależy na tém tylko, że ja chcę, by dworzec był w Strumminie, a ty, by go postawiono w Golmie.

— Nie możemy przecię wszyscy mieć dworca odpowiedział hrabia, wzruszając ramionami. Że każdemu z nas chodzi o osobistą korzyść, to rzecz bardzo naturalna, tylko że ta korzyść powinna stać na drugim planie, pierwsze miejsce zajmuje państwo. Przynajmniéj takie jest moje zdanie, i tak sądzi téż pan jenerał.

— To nie ulega wątpliwości,—ale jakąż ja w téj kwestyi gram rolę? zapytał jenerał.

— Bardzo ważną; na projekcie tym bowiem najwięcéj skorzysta siostra pańska, albo ci, w których ręku będzie kiedyś Warnow, Gristow i Damerow.

— Ani jedna stopa ziemi z dóbr tych nigdy nie będzie do mnie należała, odpowiedział jenerał, nie jestem więc wcale interesowany w téj sprawie. Ale jeżeli chodzi o moje osobiste zdanie, to wyraźnie oświadczam, że jestem stanowczym przeciwnikiem projektu pańskiego. W mojém przekonaniu jest on zupełnie bezużytecznym pod względem strategicznym, a pod technicznym niewykonalny.

— Co do trudności wykonania zgadzam się, choć niezupełnie; piasek nasz bowiem doskonałym jest materyałem do grobli kolei żelaznéj i może być bardzo korzystnie użyty do fundamentu murów portowych.

— Nawet tam, gdzie trzeba będzie uciec się do polowania, odezwał się prezydent.

— Nie przeczę, że będą i takie miejsca, zawołał hrabia, który pomimo oporu jaki go spotykał rad był, że przynajmniéj sam tylko już teraz głos zabiérał. W tak ważnéj jednak sprawie nie chodzi przecięż o to, czy się ją przeprowadzi w dłuższym lub krótszym czasie, kosztem kilkuset tysięcy a nawet paru milionów mniéj lub więcéj. Co się zaś tyczy strategicznych względów, nie podlega zdaje mi się żadnéj wątpliwości, że port wojenny tutaj, w razie wojny z są-

siadem byłby nam koniecznie potrzebny, że stanowiłby niejako niezdobyty szaniec w obec wszelkiego nieprzyjaciela grożącego od wschodu.

— Z wyjątkiem jednego, odezwał się Reinhold.

Hrabia nie przypuszczał nawet, by człowiek ten mógł się wmieszać do rozmowy. Zaczerwienił się z gniewu, ponuro spójrzał na nowego przeciwnika i ostrym, pogardliwym tonem zapytał:

— A tym byłby?

— Powódź morska, odpowiedział Reinhold.

— Za nadto jesteśmy tutaj oswojeni z burzami i wylewami, byśmy się mieli obawiać jednych lub drugich, odpowiedział hrabia, usiłując zachować spokój.

— Wiém o tém, odpowiedział Reinhold, to téż nie mówię tu wcale o zwykłych atmosferycznych i morskich zjawiskach, ale o wypadku, na który, według mego przekonania, zanosi się od lat wielu, i który w skutek przypadkowéj jakiéjkolwiek przyczyny nadejdzie z taką siłą, jakiéj najśmielsza nawet wyobraźnia przedstawić sobie nie może. Jeden rzut oka na kartę przekona nas, że wypadek taki nieraz już miał miejsce i że, podług ludzkiego obrachunku, ponowi się znowu w niedługim czasie.

— Zaciekawiasz pan nas niesłychanie, odpowiedział hrabia z wyraźnym zamiarem szyderstwa. Nie domyślał się nawet jak trafnie odgadł; całe towarzystwo zaciekawioném było w istocie; oczy wszystkich współbiesiadników zwrócone były na Reinholda.

— Obawiam się znudzić panie temi rzeczami, powiedział tenże.

— Bynajmniéj, rzekła Elsa.

— Wszystko, co ma styczność z morzem, zachwyca mię, zawołała Mieting figlarnie, spoglądając na Elsę.

Panowie także prosili, by mówił daléj.

— Będę się starał o zwięzłość, rzekł Reinhold, patrząc z kolei na jenerała i na prezydenta, jak gdyby do nich tylko mówił. Morze Baltyckie, powstawszy w skutek gwałtownych w naturze przewrotów, zdaje się, że zupełnie osobne dla siebie utworzyło życie. Nie ma wcale przypływów i odpływów, jest daleko mniéj słone aniżeli morze Północne i ku wschodowi obniża się tak dalece, że już w zatoce fińskiéj, fauna jego i flora nosi zupełnie cechę wód słodkich. Pomimo tego ciągły stosunek utrzymuje się między tém morzem a oceanem; wody ich łączą się i zamieniają z sobą przy najbardziéj skomplikowaném współdziałaniu rozmaitych przyczyn. Jednę z nich właśnie podnieść muszę, o nią tu bowiem chodzi. Chcę mówić o wietrze, wiejącym z zachodu na wschód i ze wschodu na zachód, wietrze, który na powierzchni morza towarzyszy przypływom i odpły-

wom wody w podmorskich kanałach i siłą swą przyśpiesza je. Marynarz rachował zawsze na ten wiatr z taką pewnością, z jaką rachuje na wszystkie stałe zjawiska natury, jak daleko bowiem sięga pamięć ludzka, nie było w tym względzie nigdy żadnéj zmiany; dopiéro przed kilku laty wiatr zachodni, który wiał zwykle od połowy Sierpnia do połowy Października, ustał nagle i nie wrócił więcéj.

— I cóż daléj? zapytał prezydent, który słuchał z natężoną uwagą.

— Co daléj? To, że w ciągu tych kilku lat nagromadziły się w Baltyku ogromne masy wód, co uchodziło naszéj uwagi dla tego, że wody te, ma się rozumiéć, na wszystkie zarówno rozlewały się strony; przeważnie jednak dążyły na wschód. I tak, wiosną przeszłego roku pod Nystadt w południowéj Finlandyi woda się podniosła na cztery stopy; pod Wazą, o cztery stopnie ku północy, na sześć stóp; pod Torneo zaś na ośm. Powolny wzrost wody i wysokie brzegi tych okolic uchroniły mieszkańców ich od największych klęsk. Ale dla nas, prawie wszędzie mających płaskie wybrzeża, cofnięcie się prądu wody, nieprzerwanie przez lat tyle dążącego na wschód, najokropniejsze miałoby skutki. Cofnięcie się to musi nastąpić przy silnéj północno-wschodniéj i wschodniéj burzy; szczególnie jeżeli ta potrwa dni kilka. Wówczas bałwany morskie, siłą huraganu pędzone na zachód, nadaremnie szukać będą przejścia do oceanu przez wązkie cieśniny Bełtu i Sundu do Kattegatu i Skagerraku. Jak zwierz drapieżny, ścigany zewsząd, rzucą się one wówczas na nasze brzegi, potoczą daleko w głąb kraju, obalając wszystko, co stanie na drodze ślepéj ich wściekłości, pola i łąki pokryją piaskiem i gruzami i wszędzie zaniosą spustoszenie, o którém wnuki i prawnuki drżąc jeszcze rozpowiadać będą.

Hrabia niecierpliwie gryzł wargi, słuchając tego wyjaśnienia; nie uszło to zawistnéj uwagi jego, że w ciągu mowy Reinholda jenerał i prezydent rzucali wciąż na siebie wzrokiem porozumienia; że szeroka twarz pana Strummina ze zdziwienia i strachu przedłużyła się niezwykle, i — co nadewszystko go gniéwało, że panie słuchały go z taką uwagą, jak gdyby chodziło o opis balu jakiego.

— Alež ów znakomity wylew jest w najlepszym razie hypotezą tylko! zawołał.

— Dla tych jedynie, którzy nie są przekonani o jéj konieczności, odpowiedział Reinhold.

— Niech i tak będzie, odpowiedział hrabia, przypuśćmy, że powódź owa nastąpi dziś, jutro, lub wreszcie kiedykolwiek; stanie się to jednak raz tylko na kilka stuleci, bo dla tak dalekiéj per-

spektywy nie możemy przecię zapominać o teraźniejszości i zaniedbywać tego, czego wymagają chwile obecne.

Ponieważ słowa te wyraźnie skierowane były tylko do prezydenta i jenerała, Reinhold przeto nie dał żadnéj odpowiedzi na nie.

Nastąpiło chwilowe milczenie. Nakoniec prezydent odezwał się.

— Rzecz dziwna! podczas kiedy pan kapitan głosem tak przekonywającym przepowiadał nam powódź morską,—mnie za każdém jego słowem przychodziła na myśl inna powódź, nie potrzebuję mówić panom jaka. I tu dawny porządek rzeczy niespodzianie przerwany został, i tu nastąpiło podniesienie się fal, które z zachodu na wschód rozlały ogromnym strumieniem, strumieniem złota. I tu znawcy przepowiadają, że tak nienaturalny stosunek nie może trwać ciągle, że nawet trwa już za długo, że musi nastąpić cofnięcie się wód,—reakcya—powódź, a powódź ta, jeżeli mamy się trzymać barw poprzedniego obrazu, tak dziwnie odpowiadającego temu, uderzy na nas jak tamta, burząc wszystko i niszcząc, i mętnemi wodami swemi pokryje miejsca, w których ludzie na zawsze już, jak się im zdawało, rozpostarli swe bogactwa i swoje panowanie.

— Co do mnie, panie prezydencie, rzekł hrabia, uważałem to zawsze za polityczną konieczność i dowód wysokich zdolności męża stanu, który dla przeprowadzenia wielkich idei swoich używał środków, których wolałby był uniknąć, chociażby dla tego samego, by nie mieć styczności z ludźmi wstrętnymi sobie niegdyś. Za konieczną, a nieszczęśliwą konsekwencyą tego uważam także to, że dla zapłacenia tych ludzi nieszczęsnemi miliardami, otworzył — musiał otworzyć nową erę szachrajstw i bezmiernéj chciwości. Tymczasem...

— Przepraszam, że przerywam panu, odezwał się jenerał; ja także układy te z owemi osobami, stronnictwami, warstwami narodu, klasami społeczeństwa—nazwij je pan jak chcesz, uważam jak pan za nieszczęście, ale nigdy za konieczność. Przeciwnie! Le rocher de bronze, na którém się opiera pruskie królestwo, lojalna szlachta, gorliwi urzędnicy i wierne wojsko miało dość siły, by wznieść cesarstwo, i to niemieckie, jeżeli już miało być niemieckie a nie pruskie.

— Tak panie jenerale, musiało być cesarstwo, i to niemieckie, a nie pruskie, odpowiedział Reinhold.

Jenerał posępnie spojrzał na młodego człowieka.

— Dla czego pan tak myślisz? zapytał.

— Mówię tu we własném imieniu, ale jestem pewien, że wszyscy, co długo i daleko od ojczyzny przebywać musieli, to samo co

ja czują. Wszyscy, którzy doświadczyli, co to jest należéć do narodu, który inne ludy nie uważają za naród; co znaczy w trudném położeniu, w jakiém się nieraz znajduje marynarz rachować tylko na siebie i nie módz spodziewać się żadnéj od innych pomocy. Doświadczyłem sam tego wszystkiego i wkrótce po wojnie przekonać się mogłem, jak wielka pod tym względem zaszła zmiana. Teraz już śmiało występowałem jak inni; Anglicy, Amerykanie, Chińczycy, Japończycy wiedzieli już teraz dobrze, że mają do czynienia nie z żadnym Hanowerczykiem, Oldenburczykiem itp. że nie prowadzą handlu i nie zawierają układu z Prusakami, ale z Niemcami, którzy stoją pod jednym sztandarem; że ten sztandar posiada wolę i siłę bronić i zasłaniać maluczkiego i ubogiego; jedném słowem każdego, co ma szczęście i honor nazywać się Niemcem.

Jenerał, do którego te ostatnie słowa zwrócone były, utkwił wzrok w mówiącego—widocznie czuła jakaś struna serca jego poruszoną została; prezydent słuchał z natężoną uwagą; panie nie spuszczały oka z człowieka, który tak żywo i z takim zapałem mówił o sprawie ojczystéj;—hrabia widział to wszystko, i gniew jego do tego człowieka wzrastał z każdém jego słowem.

— Przyznam się, odezwał się szydersko, że jeżeliby chodziło o to tylko, by łatwiejsze i większe korzyści zapewnić naszym handlarzom cukru i bawełny, to żałowałbym krwi przelanéj w téj wojnie. Łatwo jest mówić tym, co się znajdowali daleko od ognia, i przyjemnie jest korzystać ze sławy i honoru, które inni kosztem życia swego lub wolności dla nas zdobyli!

Jenerał zmarszczył czoło; prezydent upuścił trzymaną w ręku lornetkę; panie zaś z przerażeniem spojrzały na siebie.

— Nie wątpię, odezwał się Reinhold, że pan hrabia ma słuszne prawa do sławy niemieckiéj, do któréj się przyczynił zapewne osobistą zasługą; co do mnie, chętnie szczycę się tém, żem był również niedaleko ognia.

— Gdzie byłeś pan w dzień bitwy pod Gravelotte? panie kapitanie.

— Pod Gravelotte, panie hrabio.

Mieting o mało się nie rozśmiała na głos, widząc pomięszaną twarz hrabiego.

Reinhold potarł czoło. Okropne obrazy dnia tego stanęły mu w myśli. Zapomniał o krzywdzącém szyderstwie hrabiego i o ém, że chciał je odeprzeć, wyjawiając tylko, iż sam brał udział w boju.

— Odbyłeś pan całą kampanią? spytał jenerał; a w głosie jego dźwięczał szczególny, prawie serdeczny ton.

— Tak panie jenerale.

— W jaki sposób dostałeś się pan do wojska?

— Krótka to historya—zamknę ją w kilku słowach. Dnia 15 Lipca stałem z moim okrętem w przystani Southampton; po raz pierwszy mianowany kapitanem, miałem płynąć do Bombay. Ale 16 rano przyszła wiadomość o wypowiedzeniu wojny; w południe znalazłem zastępcę dla siebie na okręcie; wieczorem byłem w Londynie, w nocy z 16 na 17 w drodze do Koblencyi, gdzie przyjęty jako ochotnik, wyuczyłem się trochę robić bronią i przyłączony zostałem do 9 korpusu 18 dywizyi.... pułku. Z pułkiem tym odbyłem kampanią.

— Awansowałeś pan?

— Pod Gravelotte zostałem podoficerem; 1 Września, w dzień upadku Bazaine'a, podfeldfeblem; 4 Grudnia....

— W bitwie pod Orleanem?

— Tak, panie jenerale, tam zrobiono mię oficerem.

— Winszuję szybkiego awansu, rzekł jenerał śmiejąc się; po chwili jednak twarz jego zasępiła się. Dlaczego nie przedstawiłeś mi się pan jako kolega?

— Kapitan okrętu prosi pana o przebaczenie dla porucznika rezerwy.

— Masz pan order?

— Tak, panie jenerale; dano mi krzyż i patent.

— Dlaczego nie nosisz pan krzyża?

— Ubranie moje dzisiejsze tak źle jest dobrane, odpowiedział Reinhold.

Mieting wybuchła śmiechem. Reinhold szczerze jéj zawtórował; inni zaśmieli się także grzecznym, przychylnym, pochlebnym śmiechem, jak się zdawało hrabiemu.

— Lękam się, byśmy nie nadużyli cierpliwości tych pań, przemówił, wzywając gości do powstania od stołu.

Zaraz po wieczerzy panie przeszły do swoich pokojów. Pani Strummin czuła się zmęczoną i natychmiast udała się na spoczynek.

Mieting, zostawszy sam na sam z Elsą, rzuciła się jéj na szyję i stanowczo oświadczyła, że kocha na zabój pięknego kapitana, który właściwie jest porucznikiem.

— Oto człowiek, o jakim zawsze marzyłam! zawołała: młody, ale nie nazbyt, tak, że wzbudza szacunek; mądry, ale nie nadto, tak, że nie budzi obawy; odważny, ale nie samochwał. A co za śliczne zęby, kiedy się śmieje! a śmieje się tak chętnie i tak szczerze!

— Jakże mogłaś śmiać się z niego tak po raz drugi?

— Cóż miałam począć? Tak długo byłam poważna; musiałam się śmiać z czegokolwiek wreszcie. Ale wiesz co, kiedy mi mówił dobranoc, to mi się prawie na łzy zebrało—zdawało mi się, że go już nigdy nie ujrzę i że powinnam go przeprosić za wszystkie niedorzeczności. A widzisz! i ty spoważniałaś, przyznaj się, i ty go kochasz także!

— Zgadzam się na wszystko, co o nim mówisz; ale kochać go? daleko jeszcze do tego!

— To nie tak jak u mnie, zobacz jak mi serce bije! Sama nie wiem, jak się to dzieje, ale ujrzeć—pokochać, to u mnie jedno? Często się jednak przytém błądzi bardzo często!

Mieting usunęła się na taburet, zaczęła rozczesywać swoje blond włosy i tragicznym tonem mówiła daléj:

— Raz pierwszy było to dawno, bardzo dawno wiek temu— miałam może lat dwanaście—kochałam się w nauczycielu swego brata, bo trzeba ci wiedzieć, że mam brata. Mieszka w Pomeranii,— tam, gdzie za najmniejszą sumę pieniędzy można kupić największą ilość piasku. Nauczyciel ożenił się i został pastorem, naturalnie w Pomeranii także; téj zimy spotkałam się z nim u mego brata, na chrzcinach. Boże! jakże się wstydziłam!

Mieting skryła twarz w dłoniach i odrzuciła w tył włosy, które ją okryły niby gęstą zasłoną, spadając aż na dywan.

— Jakże się wstydziłam! to było okropnie! I gdybyż jeszcze skończyło się na tém! Ale ta sama historya powtórzyła się razy dwadzieścia przynajmniéj. Raz ostatni w lutym, w Berlinie na operze, w pierwszéj loży. Papa powiedział: że to jakiś spekulant na cudzy grosz, ale papa wszędzie widzi spekulantów, jak tylko jest w Berlinie i zatruwa każdą chwilę przyjemną, rozwiewa każde złudzenie; ah! a złudzenia tak słodkie są, kiedy się ma lat 17! Czy spisz już Elso?

— Nie, ale bardzo zmęczona jestem; pocałuj mię i idź spać!

Mieting odrzuciła włosy, objęła rękami szyję Elsy i szepnęła: Widzisz, jestem pewna, że zostanę starą panną, przygarbioną, z ogromnemi okularami na nosie i wieczną pończochą w drżących rękach! Widzisz! smutne to dla mnie, co mam gorące serce i natychmiast wzięłabym męża, byleby był dobry i poczciwy; byłabym mu

wierna do grobu i po za grób nawet, jeżeliby pierwéj odemnie umarł i chciał tego koniecznie. Bo to widzisz nasze te szlacheckie pretensye, to czyste głupstwo! Nie daje to szczęścia nikomu, szczególnie kiedy przytém nie ma nic więcéj i kiedy kto, jak ja, ma tylko nos płaski, czerwone włosy i oczy nie wiedzieć jakie, szare czy zielone, niebieskie czy brunatne! Ty masz cudowne kasztanowate włosy, śliczny nos i niebiańsko piękne piwne oczy, błyszczące nawet w półcieniu. Kiedy zostaniesz hrabiną musisz być bardzo dobrą dla biednéj, brzydkiéj Mieting, i pozwolić mi tu przyjeżdżać niekiedy, bym się mogła wygadać i naśmiać, to tak przyjemnie! ah, tak przyjemnie!

I dziwne dziewczątko ukryło płonącą twarzyczkę na łonie swéj nowéj przyjaciółki i gorzko załkało. Potém podniosła się nagle, odgarnęła włosy z czoła i powiedziała: zdaje mi się, żem zmęczona także, nie wiém już sama co mówię. Dobréj nocy! Ty śliczna, najdroższa!

Podniosła się, ale znowu oparłszy na brzegu łóżka, pochyliła się ku Elsie i zapytała szeptem: nigdyś jeszcze nie kochała? powiédz na przyjaźń naszę!

— Na naszę przyjaźń! nie!

I ja tak sądziłam. Śpij dobrze! śnij słodko!

Ucałowala przyjaciółkę raz jeszcze i wskoczyła do łóżka.

Po odejściu pań, panowie także niedługo pozostali razem i wszyscy udali się do siebie na spoczynek. Reinhold pożegnał hrabiego, mówiąc, że nazajutrz rano musi być na statku; jenerała zaś i pana Strummina prosił, by jego imieniem pożegnali panie. Jenerał, podając Reinholdowi rękę, powiedział tylko au revoir w Berlinie. Prezydent zaś szepnął mu: mam jeszcze z panem do pomówienia!

Słowa te zadziwiły Reinholda, ale jeszcze więcéj zastanowiła go uprzejmość, z jaką prezydent, dotychczas tak obojętnie względem niego zachowujący się, powitał go w swoim pokoju. Jak gdyby domyślając się tego, zaraz na wstępie oświadczył mu: że ma zwyczaj usprawiedliwiony poniekąd doświadczeniem, trzymać się bardzo zdaleka od osób, które spotyka po raz pierwszy; ale jeżeli osoby te zainteresują go, wówczas szczerze i zupełnie zajmuje się niemi.

— A pan, panie kapitanie, interesujesz mię. Masz niepodległą, silną naturę i pozostałeś jéj wiernym, chociaż uczyłeś się i pracowałeś więcéj, niż niejeden z kolegów twoich. Wszakże, nie dlatego, by powiedzieć to panu, prosiłem go tutaj. Mam do pana dwie prośby. W kajucie statku, na którym podróżowaliśmy razem, zostawiłem dokument jeden; przeglądałem go w drodze. Jest to memoryał do pana ministra, tyczący się owego projektowanego na wyspie téj portu i stanu naszych dróg wodnych, oświetlenia wybrzeży, projektów naprawy w tych wszystkich gałęziach i t. p. Nie chciałbym, żeby te papiéry wpadły w obce ręce, i zobowiążesz mię pan.

Z serca dziękuję panu za okazane mi zaufanie, przerwał Reinhold, papiéry te zostaną panu wręczone.

— Nie pierwiéj wszakże, aż je pan sam przejrzysz, rzekł prezydent. I to właśnie stanowi wstęp do mojéj drugiéj prośby. Rzecz jest taka: stary, poczciwy naczelnik locmanów w Wissow chce i musi podać się do emerytury. Na przyszłą wiosnę zatém miejsce to będzie wakujące; w dzisiejszym stanie rzeczy ma ono daleko większe znaczenie, aniżeli inne temu podobne. Może je zająć tylko człowiek pewny i inteligentny i który zechce popiérać moje plany, na mocy wszakże osobistych, podobnych moim przekonań. Jeżeli papiéry te natchną pana takiém przekonaniem, i zechcesz w jednym kierunku ze mną pracować, wówczas za przyzwoleniem pana, przedstawię go ministrowi. Naturalnie, jeżeli zgodzisz się pan także na warunki posady, nie świetne wprawdzie, ale dostateczne dające utrzymanie. Wiém, że nie możesz mi pan zaraz dać odpowiedzi na tę propozycyą, że potrzebujesz się namyślić nad nią, dla tego też proszę tylko, byś mię zawiadomił o tém, co postanowisz, gdy przybędziemy do Sundinu, i pan mi oddasz moje papiéry.

Prezydent powstał, jak gdyby kończąc rozmowę; Reinhold podziękował mu kilku słowami, z serca płynącemi, za okazane sobie zaufanie i życzliwość, poczém pożegnał go.

Znalazłszy się w swoim pokoju, począł rozmyślać nad niespodzianą propozycyą prezydenta. Tak, prezydent miał słuszność, miejsce to naczelnika locmanów ważniejsze było, jak się zdawało na pierwszy rzut oka. Szalony ów projekt portu wojennego o mało co nie doszedł do skutku. Któż wié, może nawet dojdzie jeszcze, jeżeli ludzie światli i uczciwi nie podniosą głosu przeciw temu i nie wykryją szkaradnego szachrajstwa. Warto było przecięż poświęcić swe siły dla takiego celu, warto ponieść niejednę ofiarę. A z jego strony byłaby to ofiara nie mała! Wielka hamburska firma ofiarowała mu najpiękniejszy ze swych okrętów na wieloletnie podróże między

południową Ameryką i Chinami. Daléj, musiałby zaniechać planu wyprawy do bieguna północnego, planu, który sam opracował, na najnowszych opierając się poglądach naukowych, i dla którego pozyskał już tylu zwolenników. Wreszcie, wyrzec się tylu widoków na przyszłość i zamknąć w tak ciasnym horyzoncie! I dla czego? Jakiż był wielki cel tak wielkiéj ofiary? Dlaczego miał ją ponosić? Dlatego tylko, by wprowadzić niektóre ulepszenia na tych wybrzeżach, by je piasek nie zasypał, by...

— Bądź szczerym Reinholdzie! Wyznaj prawdę! Dlatego, by kilka tysięcy mil nie było między tobą a nią, byś znowu mógł ją ujrzéć kiedy. I po co? na co? szlachetna córa jenerała ze zdziwieniem spójrzałaby na ciebie, gdyby się dowiedziała, że śmiesz myśl swoję podnieść ku niéj; dla ojca jéj pozostaniesz zawsze porucznikiem rezerwy, to znaczy niczém. A gdyby nawet nieprawdopodobne stało się możebném, gdybyś pozyskał jéj miłość, a ojca przyjaźń, czémże byłbyś w tém towarzystwie, które ich otacza i otaczać będzie? pariasem! A ludzie ci, taki Golm i jemu podobni czémże byliby dla ciebie?

Przystąpił do okna. Noc jeszcze była i niebo pokryte ciężkiemi chmurami.

— Nie mogę się opamiętać, nie umiém znaleść drogi, którą mam iść, kompas mój jéj oddałem. I gdybyż na tém ciemném niebie choć jedna gwiazdka, gwiazdka jéj miłości! Wiedziałbym wówczas, co mam czynić; wiedziałbym, gdzie iść pomimo skał i przepaści!

W téj chwili, jak gdyby czarem wywołana, gwiazdka jedna przedarła się przez chmury i jasno mignęła przed zachwyconym okiem zapatrzonego w nią Reinholda. Gwiazda! To Wenus, to musi być Wenus, na tém miejscu i w téj godzinie. Wenus tylko pojawić się mogła!

Przypadek to był, przypadek jedynie, a jednak serce Reinholda uderzyło radośnie. Nie wierzył nigdy w przesądy, ale też nigdy z nich nie żartował; miały one zawsze jakiś, chociażby ukryty urok dla niego; trzeźwy umysł jego nigdy jednak nie brał udziału w téj skłonności fantazyi. Ta gwiazdka, co mu błysnęła w téj chwili, to wskazówka nieba, to przestroga, że powinien się trzymać zasady, którą się dotąd zawsze kierował w życiu: nie dążyć z dziecinnym uporem do tego, co niedościgniоne, ale z całą odwagą, siłą i wytrwałością oddać się temu, co w istocie godne pożądania, co można zdobyć odwagą, wytrwałością i siłą.

Wenus skryła się między czarnemi chmurami, ale inne gwiazdy ukazały się na horyzoncie

Reinhold zamknął okno. Chciał jeszcze odpocząć z godzinę. W duszę jego wstąpił spokój, niby cisza po burzy; czuł, że odnalazł sam siebie, że nie potrzebuje już walczyć z sobą.

Zagasił świécę i rzucił się w fotel, stojący przed kominem. Chwil kilka patrzał na węgle, które tu i owdzie mignęły jeszcze światełkiem z pod grubéj warstwy popiołu, potém zapadł w cichy, głęboki sen.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NOWE MYŚLI O WYCHOWANIU,

PODŁUG

OGÓLNYCH ZASAD PEDAGOGIKI

HERBERTA SPENCERA,

STREŚCIŁ

Adolf Dygasiński.

Ażeby pedagogika stanęła na podstawach silnych, potrzebuje pomocy ze strony wszystkich tych umiejętności, które za przedmiot swego badania mają człowieka bądź jako jednostkę, bądź téż jako ciało zbiorowe. Nie dziw téż, że w ostatnich czasach w miarę rozwoju wspomnianych umiejętności—rozszerzył się znacznie pogląd na wychowanie człowieka. Od ściślejszego bowiem pojmowania fizycznego i umysłowo-moralnego organizmu człowieka zależéć tylko może jakość wychowania. Bo i jak wychowywać, gdy się dobrze nie wié, czém jest przedmiot wychowania. Herbert Spencer, którego genialnemu umysłowi ludzkość już nie jednę wielką myśl zawdzięcza, z bystrością nadzwyczajną wytknął pedagogice nowe tory. Daleką może jest jeszcze przyszłość, w któréj urzeczywistnione zostaną ideje znakomitego myśliciela, co zresztą on sam przyznaje. Zawsze atoli dążenie do takiéj przyszłości jest już moralnym obowiązkiem chwili bieżącéj. Ten obowiązek a nie inny obciążał nas, gdyśmy postanowili publiczności polskiéj, podać treść dzieła o wychowaniu.

Rozwinięcie idei wychowawczéj w całym planie i podług takiéj skali wymaga czasu znacznego; wymaga przedewszystkiém reformy stosunków społecznych, pomiędzy któremi szkoła jest tylko jedną funkcyą i nic więcéj. Szkoła wypływa tak dobrze z kierunków przejawiających się na różnych polach, jak i każda inna insty-

tucya. Trwały rezultat rozwoju jest ten, który każdą prawdę stosuje do życia siłą krwawéj pracy. Sam Spencer powiada, że wychowanie podług zakreślonego przezeń planu byłoby powodem nieszczęścia dla wychowańców wobec panującego porządku rzeczy. Wszak wielkie prawdy zawsze tylko od przyszłości uznania oczekiwać mogą.

I. Która nauka ma największą wartość?

W wychowaniu tak jak w życiu myśl o przyozdobieniu wyprzedza myśl o pożytku. U ludów dzikich przyodzianie ciała rozwinęło się z ozdobą, a i wśród nas wielu myśli raczéj o piękności materyału i o kroju niż o właściwym celu ubrania.

W greckich szkołach przedmiotami panującemi były: poezya, wymowa, muzyka i filozofia, która do wystąpienia Sokratesa bardzo mały wpływ miała na życie praktyczne,—zaniedbywano zaś wszelką wiedzę, któraby wspiérała często życiowe zadania człowieka.

Sądzimy, iż nie będzie błędem, jeśli powiémy, że i w naszych czasach zaledwie jeden raz na 10, chłopiec zastosuje swoję znajomość łaciny oraz greki do celów praktycznych życia. Albowiem ludzie przystrajają umysły swoich dzieci, tak jak ciała według panującéj mody.

Prawda tu występuje wyraźniéj jeszcze u drugiéj połowy naszego rodzaju, albowiem u kobiéty w wyższym jeszcze daleko stopniu spotykamy dbałość tak o upiększenie umysłu jak i ciała. Któż nie zna skombinowanego stroju niewiast, owego mnóstwa kolców i kolczyków, broszek, szpilek, bransolet itd?

Tak zwane *dobre wychowanie* kobiéty polega na tém, iż pożyteczność podporządkowaną jest pozorowi. Ileż to czasu zajmuje nauka tańca, śpiewu, gry na fortepianie, rysunku, manier dobrych itd! Języków zarówno jak historyi nauczane są kobiéty w tym tylko celu, że tego wymaga *dobre wychowanie.* U nas, kiedy się uczy kobiétę nawet czytać, pisać, rachować i szyć, czyni się to raczéj ze względu na opinią publiczną, aniżeli na rzeczywistą praktyczną użyteczność. Człowiek bowiem nie uspołecznił się jeszcze w tym stopniu, aby interesa swoje jednostkowe poświęcił dla wyższych towarzyskich zadań. Wznieść się po nad innych i być przez nich czczonym, oto jest powszechna walka, która zużywa najlepszą cząstkę sił naszych! Każdy na swoję rękę dobija się tego jak może, przez bogactwo, przez sposób życia, piękność, odzież a nawet wiedzę.

Nietylko naczelnik dzikiego pokolenia usiłuje natchnąć bojaźnią swoich podwładnych, zatykając sobie za pasem skóry czaszek

pokonanych nieprzyjaciół. Nietylko piękna kobiéta kusi się o podbicie serc męzkich za pomocą sztucznéj toalety i wykwintnego obejścia. I uczony filozof kieruje swoje naukowe zdobycze ku temu samemu celowi. Nikt nie stara się o spokojne rozwijanie swojéj człowieczéj natury, ale każdy trawiony jest pragnieniem wywyższenia się nad drugich i podbicia ich sobie. Jestto charakter naszego wychowania. A jak w całém życiu nigdy nie ma mowy o tém, czém my istotnie jesteśmy, ale za co nas uważają, tak samo w wychowaniu nietyle chodzi o to, co my istotnie umiémy, ale jaki skutek wywiera nauka nasza na innych.

Że stan naszego wychowywania jest istotnie jeszcze bardzo nierozwinięty i surowy, może posłużyć za dowód okoliczność, iż ocenienie i zbadanie stosunkowéj wartości różnych rodzajów wiedzy dotychczas metodycznie przedsięwziętém nie zostało. Nie zgodzono się na skalę takiéj wartości, więc widocznie nie uczuto potrzeby jéj istnienia. Słuchamy odczytów, czytamy książki, skąd dowiadujemy się, że tego i owego uczyć się powinny nasze dzieci, ale powodujemy się w téj sprawie upodobaniem, przywyknieniem lub przesądem, nie zastanawiając się bynajmniéj, jak ważną jest ta kwestya i co właściwie godném jest nauczania. Wprawdzie podnoszą się spory co do wartości wychowania klasycznego i realnego, ale spory te przyczyniają się do wyjaśnienia kwestyi tyle, ile, dajmy na to, dyskusye nad dyetetyką wpływają na pożywność chleba lub kartofli. Powtarzamy, że nie chodzi o to czy ten lub inny przedmiot nauki ma wartość, ale jaki jest stosunek téj wartości do innych nauk.

W dziale wiedzy ludzkiéj nie ma przedmiotu, któryby nie miał wartości jakiéjś. Rok czasu poświęcony np. nauce heraldyki może zaprawdę dać pogląd na obyczaje i zwyczaje. Ktoby znowu chciał badać odległości miasteczek jakiegoś kraju, ten miałby prawdopodobnie sposobność parę razy w życiu zastosowania swoich wiadomości do nakreślenia jakiegoś planu podróży.

Ale każdy się zgodzi, iż byłby tu zachowany bardzo zły stosunek pomiędzy wymaganą pracą a prawdopodobnym pożytkiem. Czas nasz ograniczony jest nietylko ze względu na krótkość życia, ale i na zadanie życia, należałoby go więc jak najkorzystniéj używać.

Zanim tedy poświęcimy lata na naukę przedmiotów, które nam moda lub upodobanie narzucają, bezpieczniéj jest rozpatrzéć się porównawczo w wartości ich rezultatów.

Zapytajmy, co jest użyteczném, a niebawem usłyszymy matematyków, filologów, przyrodników lub filozofów wykładających nam,

w jakim to wysokim stopniu przedmioty ich zajmujące wpływają dobroczynnie na życie, chronią od złego, zapewniają dobro, krótko mówiąc, prowadzą do szczęścia. Nawet nauczyciel kaligrafii będzie się długo rozwodził nad użytecznością swego przedmiotu nauczania, który, ponieważ jest koniecznie wymagalny w różnych gałęziach handlu, przeto prowadzi ucznia do szczęśliwego życia. Wszyscy bez wyjątku powołują się, pośrednio lub bezpośrednio, na ostateczny cel.

„Jak żyć?“ jest dla nas zasadniczém pytaniem. Zadaniem ogólném, mieszczącém w sobie wszystkie szczegółowe zadania, jest sposób życia właściwy pod każdym względem i wśród wszelkich okoliczności. Jak wykształcić ciało, jak umysłowość; jak żyć w rodzinie; jak się zachować jako obywatel; jak wyzyskać źródła szczęśliwości, które nam natura przedstawia; jak spożytkować wszystkie nasze zdolności ku największéj korzyści nas samych i drugich itd?

Jeżeli to jest przedmiotem ważnym, którego się uczyć należy, jest więc zadanie pedagogiki nauczyć tego ważnego przedmiotu. Dobroć zaś wychowania zależy od stopnia, w jakim ono powyższe zadania spełnia.

Koniecznością jest, abyśmy doskonałość życia mieli zawsze na oku i uważali ją jako cel naszych usiłowań, aby od celu tego zależał wybór nauki i metody dla naszych dzieci.

Winniśmy przedewszystkiém uporządkować główne czynności życia ludzkiego. Naturalny ich szereg tak się przedstawia:

1. Czynności bezpośrednio samozachowawcze.
2. Czynności pośrednio samozachowawcze.
3. Czynności mające za cel wychowanie potomstwa.
4. Czynności życia towarzyskiego.
5. Czynności estetyczne.

Rzecz prosta, iż zabezpieczenie osobistości jest pierwszym warunkiem egzystencyi człowieka mającego przed sobą życie. Następnie muszą iść koniecznie czynności drugiéj kategoryi, bo każdy przyzna, że spełnienie obowiązków innych, np. ojcowskich, najzupełniéj zawisło od dobrego obrotu interesów tego zawodu, jakiemu się dana jednosta poświęca. Rodzina znowu czasowo już rozwija się pierwéj niż państwo, a przez wychowanie dzieci zawarowane jest, pojęcie państwa. Boć ostatecznie zgodzić się trzeba, że dobroć jakiegoś społeczeństwa zależy zupełnie od natury jego obywateli, a natura ludzka nie może być opanowaną w żaden inny sposób tylko przez wychowanie, wychodzące z rodziny.

Różne rodzaje przyjemnych zatrudnień, zabijających, jak to mówią, resztę czasu pozostałego od poważniejszych zajęć są to rozkosze, które zawdzięczamy sztukom pięknym: muzyce, poezyi, malarstwu itd.

Przypuszczają one poprzedni stan społeczny, bez którego pomyślane być nie mogą, gdyż ich właściwa treść polega przeważnie na towarzyskich uczuciach i popędach.

Społeczeństwo dopiéro dostarcza im nietylko warunków istnienia, ale myśli i uczuć przez nie wyrażanych.

Nie chcielibyśmy atoli, aby ktoś mylnie pojmował ten podział; np. że człowiek rozległego rozumu w swoim zawodzie jest już przygotowanym niejako ideałem dla rodziny, państwa, literatury itd. lub że skromnie swoje interesa uprawiający przemysłowiec nie może być mądrym ojcem, dobrym obywatelem, nawet literatem lub artystą.

Ideałem wychowania jest wszechstronne i harmonijne rozwinięcie w człowieku czynności wszystkich tych kategoryj. Nie chodzi tu o wyczerpujące wykształcenie w jednym kierunku, jakkolwiek kierunek ten może być nadzwyczajnie ważny, ani téż o zwrócenie wyłącznéj baczności na dwa, trzy lub cztery najważniejsze działy. Skrupulatna baczność musi się rozciągać na wszystkie; największa tam, gdzie największa wartość;—mniejsza, gdzie mniejszą jest wartość;—najmniejsza, gdzie i wartość najmniejsza.

Przy regulowaniu wychowania powinniśmy się kierować tą zasadą, iż są wiadomości mające wartość rzeczywistą, a są i takie, których wartość jest względna.

Rzeczywistą wartość mają np. fakta, że chlor jest środkiem odwaniającym, że woda jest związkiem chemicznym dwóch pierwiastków: tlenu i wodoru, że kamień wyrzucony spada na ziemię podług praw ruchu jednostajnie przyśpieszonego itd. Te prawdy mogą tysiące lat przetrwać i mieć ciągły wpływ na życie ludzkie.

To zaś, co powszechnie nazywają historyą, a co jest zebraniem nazwisk, dat oraz nic nieznaczących faktów ma już wartość niezmiernie względną.

Nad pierwszym działem wychowania człowieka, tj. nad czynnościami bezpośrednio samozachowawczemi, sama natura niejako wzięła opiekę w ręce. Niemowlę płaczące na rękach mamki i ukrywające twarz swą na widok obcego zdradza instynkt, nakazujący mu, aby się chroniło przed tém, co jest nieznane i niebezpieczne być może. Czynności nasze samozachowawcze objawiają się codziennie w utrzymywaniu równowagi cielesnéj, kontrolowaniu ruchów, unikaniu przedmiotów sprawiających ból. Małą zaprawdę jest stosunko-

wo ilość osób, które wykraczają przeciw temu pierwszemu przykazaniu natury, odbierając sobie życie, gdy tymczasem spotykamy codziennie prawie grzeszników społecznych: bankrutów, złych mężów i ojców, niedobrych i niesumiennych obywateli, oraz nieuków pod względem literatury lub sztuk pięknych wogóle.

Ale uchronić ciało od zewnętrznych uszkodzeń nie jest to jeszcze wszystko, należy je zabezpieczyć od choroby i śmierci, które są naturalném następstwem przekroczenia praw fizyologicznych. Wskutek braku zdrowia i życiowéj krewkości niemożebném jest spełnienie obowiązków rodzicielskich, towarzyskich i wszelkich innych; dlatego téż w wychowaniu rozwinięcie czynności bezpośrednio samozachowawczych zajmuje najwyższe stanowisko. Gdyby człowiek zawsze słuchał w téj mierze głosu natury, mielibyśmy znacznie mniéj chorób oraz zboczeń fizycznych.

My jednak postępujemy częstokroć przeciwnie; po znurzeniu ciała lub umysłu niezawsze następuje u nas wytchnienie: pragnienie niezawsze jest powodem używania napoju, a głód przyjmowania pokarmu. Krótko mówiąc, jakkolwiek natura stworzyła prawa, któremi winniśmy się rządzić, jednakże nieświadomość praw tych z naszéj strony czyni je nieużytecznemi.

Ktoby powątpiewał o ważności obznajmienia się z głównemi prawami fizyologii, temu zwrócimy uwagę, jak mało jest ludzi cieszących się czerstwém zdrowiem w podeszłym wieku, chroniczne choroby, ogólne osłabienie, przedwczesna zgrzybiałość, są przecież tak powszechne, a mało jest zaprawdę ludzi, coby zapytani, nie wyznali, że téj lub owéj choroby uszliby byli, gdyby nie brak należytéj informacyi.

To także jest prawdą niezbitą, iż choroby, które albo po przodkach odziedziczamy, lub sami na siebie lekkomyślnie nieraz sprowadzamy, czynią nam życie prawdziwym ciężarem. Wielkim zaś fałszem jest utrzymywanie, że ktoś, uleczywszy się z choroby, będzie znowu równie zdrowym jak poprzednio.

Żadne zboczenie prawidłowego przebiegu procesów życiowych nie może ujść bezkarnie; rezultatem ostatnim w téj mierze jest skrócenie dni naszych.

Sądzimy tedy, że skoro czerstwość zdrowia i towarzysząca jéj rzeźkość życia przyczyniają się do szczęścia człowieka więcéj aniżeli cokolwiekbądź innego, przeto wiadomości pod tym względem są nadzwyczajnie ważne. Kurs fizyologii, przedstawiający ogólne prawdy téj nauki w sposób przystępny i w związku z życiem codzienném, stanowi główną część każdego rozumnie prowadzonego wychowania.

Zdawałoby się rzeczą dziwną, iż takiego w oczy bijącego twierdzenia potrzeba bronić i dowodzić, a jednak mamy powody mniemać, iż znajdą się tacy, którzy propozycyą naszę przyjmą z szyderstwem. Ludzie, którzyby się rumienili, gdyby ich kto złapał na nieświadomości jednego faktu z życia jakiegoś pół-boga, nie wstydzą się wcale, gdy im przychodzi wyznać nieświadomość swoję co do normalnéj liczby uderzeń pulsu, lub co do sposobu, w jaki oddychamy płucami.

Troszczą się oni, aby synowie ich obeznali się z faktami zaszłemi przed 2.000 lat, a nie chodzi im o to bynajmniéj, ażeby te dzieci poznały budowę i czynności własnego organizmu. Tak przeważnym jest wpływ raz ustalonego przesądu! Do takiego stopnia w wychowaniu wzięły pozory przewagę nad użytecznością!

Nie potrzebujemy tu następnie rozwodzić się nad wartością nauki, która, ułatwiając zarobkowanie na utrzymanie życia, prowadzi do czynności pośrednio samozachowawczych. Na tę wartość bowiem wszyscy się zgadzają; może nawet zbyt wyłącznie ogół uznaje ją jako ostateczny cel wychowania.

Podczas jednak, gdy każdy gotów jest dowodzić ważności nauki, uzdalniającéj młodzież do praktycznych życiowych zajęć, mało kto zajmuje się zbadaniem i przedstawieniem, jaka to jest mianowicie ta nauka. Może tylko czytanie, pisanie i rachowanie nauczaném bywa z rozsądném uwzględnieniem korzyści; ale jestto już i wszystko, podczas gdy mnóstwo różnych przedmiotów, jakich nas nauczano, nie wywiera najmniejszego wpływu na nasze praktyczne zajęcia.

Pominąwszy nieliczne klasy ludzi, widzimy, że reszta zajmuje się produkowaniem, przerabianiem i rozdzielaniem środków do utrzymania życia służących. Otóż wszystkie te zajęcia wymagają obznajmienia się z własnościami fizycznemi, chemicznemi, biologicznemi danych przedmiotów, to jest polegają one na wiedzy.

Poczynając od najbardziéj abstrakcyjnéj umiejętności, *logiki*, sądzimy, że ta za rękę prowadzić powinna każdego większego producenta lub kupca, jeśli tylko plany jego interesów mają być dobrym skutkiem uwieńczone. Najogólniejszy znowu dział *matematyki*, mający do czynienia z liczbą, opanowywa wszystkie gałęzie przemysłu; już to kiedy chodzi o wypracowanie oszacowań, już przy obliczaniu kosztów zakupna lub przy sprzedaży towarów, jakoteż przy prowadzeniu rachunków handlowych.

Dla wyższych znowu technicznych zajęć okazuje się niezbędną znajomość specyalniejszéj części matematyki. Cieśla wioskowy, który bez wykształcenia szkolnego prowadzi robotę, kierując się do

świadczeniem, musi się odnosić do prawd geometrycznych, zarówno jak budowniczy jednego z najpierwszych mostów w Europie. Te same prawdy kierują inżynierem, architektem, malarzem i rozmaitymi rękodzielnikami. Budowanie kolei żelaznych polega na geometryi od początku do końca; również wypracowywanie planów, wytyczanie linij, budowanie tam, mostów, wodociągów, tuneli, zakładanie portów, roboty górnicze i t. d. Nawet gospodarz wiejski, jeżeli ma zamiar przeprowadzić dobre drenowanie, musi się uciec do zasad geometryi.

A teraz, zwracając się od tych działów matematyki, które mają do czynienia z liczbą i przestrzenią, a które pobieżnie tylko w szkole są uprawiane, spotykamy inny dział mający do czynienia z siłą, którego traktowanie nawet powierzchowne zaniedbaném jest przez szkoły. Przecięż od zastosowania *mechaniki* zależą rezultaty dzisiejszych fabryk. Własności dźwigni lub koła na walcu działają w każdéj machinie. Od maszyn zawisła jest cała prawie produkcya czasów obecnych. Spróbujmy nakreślić historyą bułki, a przekonamy się, iż ziemia, z któréj ta bułka powstała, była drenowaną maszynowemi cegłami, oraną na swéj powierzchni przez maszynę i przez maszynę ziarnem zasianą. Następnie maszyna zżęła zboże ona je wymłóciła, wywiała, zmełła i przesiała. Odzież nasza została uprzędzona przez machiny, a nawet uszyta przez nie. Książka, którą czytamy, została zapełniona wyrazami za pomocą machiny. Machinom zawdzięczamy nareszcie środki komunikacyjne na lądzie i na morzu. Nie zapominajmy, iż złe zastosowanie praw mechanicznych wywołać może jednostkowe lub społeczne niepowodzenie. Inżynier, który źle obliczył wytrzymałość materyału, stawia most, którego przeznaczeniem jest rychła ruina. Fabrykant, którego aparat źle zbudowany został, nie jest w możności współzawodniczyć z fabryką, gdzie aparat pokonywa mniejszym kosztem opór tarcia. Okręt zbudowany podług starego modelu zostanie prześcignięty przez inny, nowszego zastosowania praw mechanicznych. Dzisiaj istotnie powiedzieć można, że potęga narodu od machin zawisła.

Od mechaniki przechodzimy do *fizyki*, któréj część traktująca o cieple nauczyła nas jak można oszczędności robić na opale. Stąd to nauczyliśmy się regulowania różnych czynności za pomocą termometru, uniknięcia eksplozyi przez użycie lampy bezpieczeństwa itd.

Druga część fizyki, zajmująca się światłem, udziela mocy oczom ludzi podeszłych, jakotéż krótkowidzących; za pomocą mikroskopu pozwala rozeznawać już choroby, już różne fałszywe podrobienia, a ulepszone latarnie morskie chronią okręty przed rozbiciem. Badania nad elektrycznością i magnetyzmem uratowały przez kompas

niezliczoną ilość życia i mienia ludzkiego; jako elektrotypia wsparły sztukę; jako telegrafy dały do ręki potężny środek łatwego i natychmiastowego regulowania stosunków handlowych oraz wogóle międzynarodowych. Zresztą mnóstwo sprzętów domowego użytku, począwszy od urządzenia kuchni a kończąc na stereoskopie w salonie, jest prostém zastosowaniem fizyki.

Ważniejszym atoli jeszcze jest wpływ *chemii* na te czynności ludzkie, które prowadzą do zapewnienia środków życia. Zajęcia takiego farbiarza muszą być stosowane do praw chemicznych. Chemia kieruje przetapianiem miedzi, cyny, cynku, ołowiu, srébra, żelaza. Rafinacya cukru, przyrządzanie gazu, mydlarstwo oraz wyrabianie prochu strzelniczego są po części procesami chemicznemi, podobnie jak fabrykacya szkła i porcelany. Kwestyą chemiczną stanowi fermentacya w zacierze gorzelnika, a piwowarzy prowadzący interes en gros w fabrykach swych utrzymują chemików. Proszę przejrzyć pierwszy lepszy podręcznik technologii, a można się przekonać, jak rozległém jest dzisiaj panowanie chemii. Dla rolnika potrzebną jest wielce analiza gruntu i nawozu, czego bez znajomości chemii nikt nie przeprowadzi. Wyrabianie zapałek, oczyszczanie kanałów po miastach, sztuka fotograficzna, wyrabianie środków toaletowych i t. d. zawisłe są od chemii.

Przechodząc do umiejętności innego działu, spotykamy się przedewszystkiém z *astronomią*, z której żeglarstwo wielkie odniosło korzyści.

Daléj idzie *geologia* silnie popiérająca przemysł, czego zaledwie dowodzić potrzeba, a dosyć rzucić okiem na wydobywanie węgli, nafty oraz na górnictwo wogóle.

Przypatrzmy się nauce zwanéj *biologią*; ma ona wprawdzie nie wielki wpływ na to, co się zwie rękodzielnictwem, ale przygotowywanie pożywienia jest z nią jak najściśléj złączone. Wszakże rolnictwo stosować się powinno do zjawisk życia roślinnego i zwierzęcego, przeto nauka traktująca te zjawiska może stanowić podstawę rozumnie prowadzonego rolnictwa. Wprawdzie różne biologiczne zasady czerpią gospodarze z doświadczenia, nie mają oni jednak pojęcia o umiejętności, jako takiéj.

Tu należą wiadomości, jakie gatunki nawozu dla jakich roślin są przydatne; jaki rodzaj gruntu służy pod ten lub ów zasiew; jaki pokarm należy dostarczać różnym domowym zwierzętom, jakie wreszcie są przyczyny rozlicznych chorób zwierzęcych. Rolnik przy skąpym nawet zasobie wiadomości biologicznych faktów prowadzi z powodzeniem nieraz swoje gospodarstwo rolne; cóżby to było,

gdyby się zwiększył ten ciasny jego zakrés, gdyby wiadomości były więcéj pozytywne i wyczerpujące!

Pozostaje jeszcze jedna umiejętność, mająca bezpośredni wpływ na rozwój handlu i przemysłu, jest nią *socyologia.* Nietylko fabrykant i kupiec wielki powinni liczyć się z potrzebami swojego społeczeństwa; obowiązanym jest do tego każdy handlujący, którego zyski lub niepowodzenia zależą nieraz od popytu i od przyszłych cen różnych towarów. Zrozumienie praw społecznych, rządzących rozlicznemi handlowemi czynnościami, nie tylko jest pożyteczne, ale także bardzo zajmujące.

Tak więc widzimy, że każda gałąź handlu lub przemysłu ma do czynienia z matematycznemi, fizycznemi i chemicznemi własnościami rzeczy; niekiedy potrzebuje odwołać się do biologii a zawsze do socyologii. Zapewnienie sobie środków do życia, co my czynnościami pośrednio samozachowawczemi nazwaliśmy, zależy po największéj części od znajomości prawd jednéj lub kilku z tych umiejętności.

To, co się zowie nauką rzemiosła lub interesu, jest w rzeczy saméj nauką prawd nieodłącznéj w tym razie jakiéjś umiejętności, choć może nie nosi nazwy umiejętności. Umiejętne przygotowanie człowieka do pracy jest niezmiernie ważne i daleko ważniejsze aniżeli uzdolnienie praktyczne. Co więcéj, powiemy, że w dzisiejszych czasach postępu człowiek powinien rozumiéć „*jak* i *dla czego*“ nietylko w tych rzeczach, które go blizko obchodzą, ale i w innych jeszcze. Teraz zwrócimy się do trzeciego działu ludzkich czynności.

Gdyby dziwnym zbiegiem rzeczy, w przeszłości dalekiéj od nas, ślady naszego obecnego życia pozostały jedynie w stosach książek i ćwiczeń różnych, to w szczególnym kłopocie znalazłby się starożytnik owéj epoki, nie znalazłszy najmniejszego znaku, czy badane przez niego pokolenie miało jakich rodziców. Wyobrażamy sobie, iż wniosek tego starożytnika miałby następującą formę:

„Jest to plan szkolny z peryodu, w którym nie było małżeństw. Widać tu pilność i dbałość z różnych rzeczy, zwłaszcza z zajmowania uczniów lekturą o żywych i umarłych narodach (czytanie w języku ojczystym nie bardzo było w modzie), ale nie znajdujemy nigdzie śladu rodzicielskiego wychowania dzieci. Może to i plan szkolny jakiego mniszego klasztoru.“

Porzucając żart na stronę, pytamy się poważnie, czy nie jest zatrważającym los nowéj generacyi, powierzany z pokolenia w pokolenie naszym nierozumnym przywyknieniom, humorowi chwili, wzruszeniom umysłowym a jednocześnie podszeptom ciemnych mamek i radom przesądnych babek?

Gdyby ktoś rozpoczął praktykę lekarską bez znajomości medycyny, natenczas powstawalibyśmy wszyscy przeciw takiéj bezczelności i litowalibyśmy się nad jego pacyentami. Ale gdy rodzice przystępują do wychowania dzieci bez najmniejszego przygotowania nikt się temu nie dziwi, ani nikt nie lituje się nad ofiarami.

Tysiące dzieci umiéra, setki tysięcy wynosi na życie słaby cielesny organizm a miliony wzrastają nie tak mocno i zdrowo, jak to powinno mieć miejsce, gdyby wychowaniem kierowali rodzice dobrze świadomi środków i warunków wychowania.

Częstokroć chwilowa decyzya rodziców co do ubrania dziecka lub wyboru dla niego rodzaju rozrywki stanowi w przyszłości źródło choroby, niedostatku sił, t. j. nieszczęścia. Rzecz godna uwagi, że jeśli synowie lub córki chorują nieustannie z winy rodziców, natenczas uważa się okoliczność taka, jako fatalność losu, żrządzenie Opatrzności i t. d.

Ale podobnąż nieświadomość i z niéj wynikające szkody zaznaczyć można także na polu moralnego wychowania. Przyjrzyjmy się bliżéj młodéj matce i jéj przygotowaniu do macierzyństwa. Skończyła ona pewien kurs nauk przy guwernantce albo w szkole: troszczono się nieposolicie, aby młodéj dziewczynie zagwoździć jak najmocniéj pamięć wyrazami, imionami, liczbami; władze myślenia rozwijano jak najmniéj, skądżeby więc w młodziutkiéj jéj duszy mogły się zrodzić pojęcia, jak to należy czuwać, aby się w małéj dziecinie rozwinął pierwszy kwiatek moralnego zdrowia? Zaprawdę mowy tu być nie może o powstaniu jakiéjś samodzielnéj metody wychowania. Muzyka, estetyczne ćwiczenia w niewieścim stroju, czytanie powieści oraz spędzanie czasu na składaniu i odbiéraniu wizyt, leżały w planie wychowania naszéj młodéj matki, jako antrakt między latami nauki a latami macierzyństwa. Ani jednéj chwili nie poświęcono tutaj myśli o ciężkiéj odpowiedzialności przyszłych obowiązków matki. Jakże taka kobiéta ma umiéć rozwijać pierwiosnki człowieczego charakteru, gdy ona nie ma najmniejszéj możności oryentowania się wśród mnóstwa psychicznych zjawisk, wprawiających w kłopot nawet znacznie lepsze głowy. Nie wié ona nic o naturze uczuć i wrażeń, o ich rozwoju, o ich czynności; nie pojmuje wcale tego, gdzie się ma skończyć zakaz a zacząć pozwolenie. W téj matce tkwi jedynie dogmat, iż pewne uczucia są dobre a inne są złe, chociażby nawet stanowczo inaczéj rzeczy się miały.

Jakąż to nieraz walkę matki z dziećmi zdarza nam się widzieć i to walkę na punkcie czynności całkiem prawidłowych, dobroczynnych, które matka usiłuje ograniczyć.

Z drugiéj strony znowu widzieliśmy niejednokrotnie czyny dzieci spowodowane przez dary, pochwały, albo groźby macierzyńskie. Każdemu wiadomo, iż takie środki czerpnięte w podręcznéj apteczce domowego wychowania otwiérają szeroko wrota obłudzie, bojaźni i egoizmowi. Zachęcamy dzieci, aby były łagodne i powściągliwe, tymczasem sami popadamy w gniew i wybuchamy w zelżywych wyrazach. Młoda matka, opuściwszy dom rodzicielski, aby zagrzać swoje własne gniazdko, nie rozumié prawdy wielkiéj, iż w pokoju dziecka jest tak jak na świecie, *to tylko jest prawdziwą i zbawienną karnością, co utrzymuje pod kontrolą dobre oraz złe czynności i tak za jedne jak za drugie dopuszcza naturalne następstwa.*

Rozważmy teraz sprawę rozwinięcia umysłu albo, że tak powiemy, wychowania rozumu. Na nieszczęście i ten w macoszą dostaje się rękę. Albowiem, jeśli się zgodzimy, że rozwój umysłowy wogóle następuje według pewnych praw i że rozwój inteligencyi dziecięcia również na prawach polega, natenczas winniśmy przyznać, iż bez znajomości owych praw o dobrém wychowaniu mowy być nie może. Byłoby nawet śmiesznością utrzymywać, że można dobrze regulować i prowadzić proces tworzenia się i rozwijania pojęć, nie znając natury tego procesu. Jakże więc różni się wychowanie to, jakie mamy, od tego, jakiém ono być powinno, gdy zaledwie tylko niektórzy rodzice i mała liczba nauczycieli wié cóśkolwiekbądź o *psychologii*. Weźmy pod uwagę samo uczenie się dzieci z książek, które przecięż są tylko środkiem nauczania dopełniającym i pomocniczym. Jestto środek przecięż pośredni, mogący być użytym, jeśli środków bezpośrednich zabraknie; jestto nauka, którą się bierze z drugiéj ręki, jeśli jéj z pierwszéj nabyć nie można.

Rozwój umysłowy idzie od poznania rzeczy konkretnych do abstrakcyjnych. A przecięż nauka tak wysoko abstrakcyjna jak gramatyka zwykle wykłada się dzieciom bardzo młodziutkim. Geografia państwowa, albo polityczna, stanowiąca przyczynek do socyologicznych badań, również nauczaną bywa bardzo wcześnie, jakkolwiek przedmiot ten jest dla dzieci nudny i pozbawiony interesu; przeciwnie zaś geografia fizyczna, zrozumiała, dostępna dla dzieci i zajmująca, bywa po większéj części zaniedbywaną. Strach bierze pomyśleć, jakim jest porządek nauczania każdego wogóle przedmiotu. Dzieci uczą się najprzód reguł, definicyj i zasad, które w naturalny sposób powinny wystąpić w ich umyśle dopiéro po przyjrzeniu się szczegółom. Téj ostatniéj zasady jednak nie przyjmie nigdy system pamięciowego nauczania, składający na cześć liter całopalenie ducha. Nie dziw, że tępieją władze spostrzegawcze, gdy im nie dozwolono pójść właściwą drogą, lecz zmuszano trzymać się książek;

powstaje chaos umysłowy, gdyż przedmioty pewne pierwéj były nauczane, zanim u dzieci wystąpiła możność ich zrozumienia; wszędzie zaś abstrakcyjne uogólnienia poprzedziły znajomość pojedyńczych faktów.

Wówczas uczeń stał się biernym odbieraczem myśli cudzych, a nie uzdolnił się bynajmniéj jako samodzielny myśliciel i nauczyciel samego siebie. Skoro raz nauka ustała, książki na bok rzucono i większa część źle przyswojonego materyału naukowego prędko zaczęła z pamięci uchodzić, co zaś w głowie pozostało, działa nieskutecznie, albowiem nikt się nie starał o wyćwiczenie w uczniu sztuki praktycznego zastosowania wiedzy. Cóż począć? Aby zostać szewcem, mularzem lub maszynistą, trzeba na ten cel poświęcić pewien czas fachowemu wykształceniu, ale rozwój fizyczny i duchowy istoty ludzkiéj uważanym bywa za proces tak prosty, iż ludzie przystępują do niego bez najmniejszego przygotowania. Ciekawi jesteśmy na co się przydała znajomość Eschilosa ojcu, który przez nieumiejętne wychowywanie przyczynił się do nieszczęścia swoich synów; jaką pociechę w czytaniu oryginalnego textu Danta znalazła matka, opłakująca śmierć pierworodnego dziecka, gdy jéj lekarz oświadczył szczerze, iż dziecko to byłoby wyzdrowiało, ale organizm jego został podkopany przez obarczenia nauką i przez to małą odporność przeciwstawił chorobie.

Tak więc przy trzecim dziale ludzkich czynności wymaganą jest znajomość praw życia, potrzebném jest obznajmienie się z najgłówniejszemi zasadami fizyologii i psychologii.

Z pola obowiązków rodzicielskich wstępujemy w zakrés życia obywatelskiego, aby oznaczyć: jaka umiejętność jest tutaj człowiekowi potrzebną. Przedewszystkiém spotykamy się z *historyą*. Nauka ta, jakeśmy już zaznaczyli, nauczaną tak bywa, jakbyśmy jéj do życia zupełnie nie potrzebowali. Opisy życia królów rzucają tylko cokolwiek światła na historyą.

Obznajmienie się z intrygami dworskiemi, spiskami, najazdami krajów oraz z osobistościami, biorącemi tu udział, nadzwyczajnie mało pomaga do wyświetlenia przyczyn narodowego wzrostu lub upadku.

Czytamy opis wojny toczącéj się o władzę, dowiadujemy się nazwisk różnych wodzów i ich podwładnych; widzimy, iż każdy z nich rozporządzał pewną ilością tysięcy piechoty, jazdy jakotéż armat; że gdy nadeszła chwila bitwy, szeregi należące ustawiły się w sposób taki a taki; że manewrowano, cofano się lub napadano; że przez jednę część dnia poniesiono porażkę, ale późniéj osiągnięto korzyści i że nareszcie ta lub owa strona odniosła zwycięstwo; przy-

czém tyle a tyle padło, tyle a tyle było rannych lub wziętych w niewolę. Jeżeli z tych szczegółów ktoś złożył sobie jednolitą całość, niechże stanowczo powié, co mu za korzyść wiadomość ta przyniesie jako obywatelowi. Ależ, powié kto może, sąto fakta, bardzo zajmujące fakta. Że to są fakta (o ile nie są powymyślane) nie przeczymy, a dla wielu mogą one być także zajmującemi.

Stąd jednak nie wypływa, aby znajomość ich miała mieć wartość rzeczywistą.

Wprawdzie różnym rzeczom nadaje się nieraz wartość sztuczną, np. amator tulipanów nie oddałby za wagę złota jakiéjś szczególnéj cébulki; kto inny uważa się za bardzo szczęśliwego, gdy posiadł skorupę naczynia ze staréj porcelany.

Mamyż powiedziéć, że gust tego rodzaju jest miernikiem wartości rzeczy?

Co do nas, ośmielamy się utrzymywać, iż tylko użyteczność może być skalą wartości. Cóż nam przyjdzie z tego, gdy się dowiemy, iż kot udusił wczoraj ptaka sąsiadowi, a jednak jestto faktem. Albowiem są fakta, z których stanowczo wniosków wyprowadzać nie można. Dobrze jest o tych faktach dowiedziéć się dla przyjemności, lecz nie należy się łudzić, jakoby one były pouczającemi.

Dopiéro w czasach najnowszych, historycy niektórzy wzięli się do dzieła przedstawienia historyi z należytego punktu widzenia, zajęli się oni mianowicie zjawiskami społecznego postępu. W takiéj historyi naturalnéj społeczeństwa obchodzą nas głównie fakta dające możność zrozumienia wzrostu i procesu organizowania się danéj narodowości. Wśród tych faktów musi być mowa i o rządzie. Chodzi tu o dokładne, o ile można, przedstawienie formy rządu, jego składu, podstaw, metod, przesądów lub zboczeń i t. d. Nietylko obraz taki skréślanym być winien co do rządu głównego, ale także co do jego najmniejszych rozgałęzień. Równie dokładne przedstawienie wymagane jest i co do władzy kościelnéj, jéj formy, działalności, potęgi oraz stosunku do państwa, a jednocześnie i opisanie zwyczajów miejscowych, religijnego wierzenia i religijnych idej. Następnie pragnęlibyśmy być poinformowani o pressyi, jaką jeden stan społeczny wywiera na inne i o ile to odźwierciadla się w towarzyskich formach obcowania. Wszelkie obyczaje, malujące życie narodu wewnątrz i zewnątrz, nie wykluczając wzajemnego do siebie stosunku rodów jakoteż stosunku dzieci do rodziców, ująć ma w sobie obraz historyczny.

Bardzo znaczącém jest ścisłe przedstawienie handlowego systemu, wykazujące w jakim stopniu prosperuje podział pracy, jaki jest

stosunek między robotnikami a chlebodawcami, jakie są środki komunikacyjne.

Toż samo co do rzemiosł i przemysłu. A kogóżby nie zajęły fakta duchowego stanu w społeczeństwie daném, nietylko co się tyczy rodzaju i zakrésu wychowania, ale także postępów na polu umiejętności i panujących przekonań. Pominiętém téż być nie może estetyczne wykształcenie, o ile się ono wyraziło w architekturze, rzeźbiarstwie, muzyce, poezyi oraz innych produktach fantazyi, do których i ubiór się zalicza. Prócz tego powinien tu wystąpić szkic codziennego życia narodu, określający nam rodzaj pożywienia, zamieszkania i narodowych rozrywek.

Nareszcie, aby zamknąć tę całość, należy przedstawić teoretyczny i praktyczny stan wszystkich warstw, o ile on odbija się w prawach, zwyczajach, w czynnościach.

Jedynie praktycznie wartościowém jest opracowanie historyi takie, któreby nazwać można było „Opisową nauką społeczeństwa,“ a najwyższém zadaniem historyka jest opowiedzenie życia narodów w ten sposób, iżby ono dostarczyło materyału do „porównawczéj nauki społeczeństw,“ jakotéż posłużyło do ustalenia praw, według których regulują się zjawiska społeczne.

Ale kluczem wiedzy historycznéj tak pojmowanéj jest biologia i psychologia.

Wszystko bowiem co dzieje się w społeczeństwie, dzieje się przez połączone czynności jednostek, przeto tylko w czynnościach jednostki należy szukać objaśnienia społecznych zjawisk.

Formułując się inaczéj, powiemy: Wszystkie zjawiska społeczne są zjawiskami życia, i ażeby je zrozumieć należy zbadać prawa życia.

Otóż i ten czwarty dział czynności ludzkich wesprzéć się musi na umiejętności.

Przedstawiliśmy już, jakie wychowanie prowadzi do samozachowania, do utrzymania życia, do spełniania obowiązków rodzicielskich a nareszcie społecznych i państwowych.

Pozostaje nam rozebrać teraz wychowanie, które ma na celu sztuki piękne.

Ponieważ piąty dział pomieściliśmy na końcu, przeto mógłby kto wyprowadzić stąd wniosek, iż nam o czynności te mniéj chodzi, iż je bardzo mało cenimy. Jednakże tak nie jest; owszem w ocenianiu estetycznego wykształcenia oraz wypływających stąd dla człowieka rozkoszy nie damy się nikomu wyprzedzić. Dalecy jesteśmy od tego, aby odmawiać znaczenia estetycznym popędom człowieka, mamy nawet przekonanie, że sztuki piękne kiedyś bardziéj

zajmować będą rodzaj ludzki, niż się to dzieje obecnie. Gdy siły przyrody oddane zostaną zupełnie na usługi człowiekowi, gdy środki przerabiania płodów surowych zostaną udoskonalone, gdy praca będzie w najwyższym stopniu opłacaną, a wychowanie stanie się tak systematycznem, iż przygotowanie człowieka do życiowych czynności da się przeprowadzić w krótszym czasie, wtedy okaże się znaczna oszczędność czasu i wtedy słusznie piękno sztuki oraz natury obszerniéj uprawiane będzie.

Ale co innego jest uważać wykształcenie estetyczne jako środek sprzyjający uszczęśliwieniu człowieka, a co innego mieć to za główny cel szczęścia ludzkiego.

Zwolennik kwiatów choduje roślinę, aby się z niéj kwiatu doczekać, kwiat jest ostatnim rezultatem jego oczekiwania, ale rozkwitnięcie kwiatu zależy od zabezpieczenia bytu korzeniowi oraz liściom. Sztuki piękne zaprawdę są kwiatami cywilizowanego życia, a każdy bezwarunkowo zgodzi się na to, że dla tych kwiatów nie można zaniedbywać innych spraw, dających się porównać z korzeniem i liśćmi u rośliny. Tu właśnie jest błąd rażący naszego systemu wychowania, które zaniedbuje roślinę dla kwiatu.

Nasza opinia jest taka: ponieważ sztuki piękne wypełniają wolne chwile życia, przeto należy im poświęcać chwile, zbywające od prawdziwego wychowania.

Nie ulega żadnéj wątpliwości, iż umiejętność jest podstawą każdéj ze sztuk pięknych i że tylko na takiéj podstawie powstać może doskonałe arcydzieło, jakotéż jego należyte ocenienie.

Młodzież ucząca się rzeźbiarstwa musi poznać budowę ludzkiego ciała, zbadać kości i muskuły, ich połączenia oraz ruchy.

Bez téj umiejętności dzieło rzeźbiarskie może być tylko pełnem błędów rażących. Podobnież wymagalną jest tutaj znajomość zasad *mechaniki*.

W malarstwie jaśniéj jeszcze występuje potrzeba umiejętnego przygotowania, jeżeli już nie nabytego teoretycznie i systematycznie, to praktycznie. W malowidłach chińskich uderza nas nienaturalność i lekceważenie praw, którym podlegają zjawiska świata zewnętrznego. Otóż jeśli najbaczniejszéj obserwacyi artysty nie wesprze umiejętność, to on nie uchroni się przed takiemi chińskiemi błędami. Każdy malarz może potwierdzić, że gdy się nie wié, jakie zjawiska wśród danych okoliczności wystąpić mogą, wtedy trudno te zjawiska dobrze ująć i przedstawić. Wiedzieć zaś jakie zjawiska występują, znaczy tyle, co mieć do czynienia z nauką tych zjawisk.

Komuż zresztą nie wiadomo, ile w obrazie znaczy wierność historyczna, światło, perspektywa, symetrya i t. d.?

Niechaj nikogo nie zadziwia, jeżeli powiemy, że i muzyka polega na umiejętności. Jest ona, że tak powiemy, zidealizowanym wyrazem naturalnéj mowy pobudzonych uczuć i wskutek tego może być dobrą lub złą, stosownie czy odpowiada prawom téj naturalnéj mowy lub nie. Rozmaite modulacye głosu, towarzyszące uczuciom różnego rodzaju i siły, są zarodkami, z których rozwinęła się muzyka. Można wykazać, iż zmiany oraz spadki dźwięku nie są przypadkowe lub dowolne, ale oznaczone pewnemi prawidłami życiowéj czynności i że od tego zależy ich wyrazistość. Motywa muzykalne oraz z nich powstałe melodye będą o tyle oddziaływały, o ile odpowiadają takim prawidłom.

To samo da się powiedziéć i o poezyi, która podobnie jak muzyka polega na naturalném wyrażeniu głębszych uczuć. Jéj rytm, jéj liczne metafory oraz hiperboliczne zwroty i przestawienia stanowią wzmocniony charakter języka pobudzonych wzruszeń. To téż poezya powinnaby zwrócić uwagę swoję na prawa czynności nerwów, którym posłuszną jest ta mowa wzruszeń.

Należy zachować symetryą we wzmacnianiu oraz grupowaniu wszelkich właściwości takiego języka. Gdzie myśl najmniéj do uczucia przemawia, tam trzeba oszczędnie stosować formy poetyckie; swobodniéj można ich użyć gdy pobudzone uczucie zaczyna w grę wchodzić; ale należy im dać nieograniczony rozwój, skoro uczucie występuje w całéj potędze.

Przekroczenie tych praw wydaje w rezultacie mniéj lub więcéj nadęte rymoróbstwo. Nie powinien téż obcym być artyście wpływ, jaki różne szczegóły jego dzieła wywierają na umysł widza lub słuchacza, a kwestya ta należy ściśle do zakresu psychologii. Pytanie, czy jakaś kompozycya jest dobrą, jest jednocześnie pytaniem, czy ona wywrze wrażenie i czy uczucia widza, albo słuchacza wzruszone przez nią zostaną.

Nie utrzymujemy tu wcale, ażeby umiejętność miała stwarzać mistrzów a znajomość wyliczonych praw mogła zastąpić naturalny talent.

Każdy bowiem artysta musi się jako taki urodzić, urobić go nigdy nie można. Ale wrodzony talent powinien być poparty wiedzą, bo talent znaczy wiele, jednak nie jest wszystkiém.

Wspomnieliśmy, że umiejętność nie tylko jest niezbędną przy wyprodukowaniu dzieł sztuki, ale także i przy ich ocenianiu. Na czémże się bowiem zasadza wyższa zdolność człowieka w porównaniu ze zdolnością dziecka przy pojmowaniu piękności obrazów? Skąd pochodzi, że człowiek wykształcony znajduje więcéj przyjemności w pięknym poemacie, aniżeli gburowaty wieśniak? Naturalnie, iż

wyższy umysłowy rozwój pierwszego pozwala mu odkryć w poezyi wiele rzeczy, których wieśniak nie dostrzega. Tylko znajomość przedstawionego przedmiotu może wywołać ocenę jego, a ta ocena wtedy tylko będzie dokładną, jeśli znajomość rzeczy przedstawionych była zupełną.

Jestto niezbitym faktem, że każda nowa prawda wyobrażona w dziele sztuki sprawia nowy rodzaj zadowolnienia obserwującemu, lecz zadowolnienie nie mogłoby mieć miejsca, gdyby prawda była całkowicie nieznaną. Im więcéj prawd sztukmistrz w dziele swojém przedstawia, tém więcéj wykazuje on zdolności, tém liczniejsze wyobraża myśli i tém większe wywołuje zadowolnienie. Ażeby czuć to zadowolnienie, potrzeba, iżby widz, słuchacz lub czytelnik obeznany był z prawdami przez sztukmistrza wyobrażonemi, to jest, potrzeba aby posiadał odpowiednią wiedzę.

Podnosimy tu jeszcze jednę kwestyą, mianowicie, iż nie tylko malarstwo, rzeźba, muzyka i poezya mają umiejętność za podstawę, ale umiejętność nawet sama jest poetyczną.

Pogląd, jakoby umiejętność i poezye były sobie wręcz przeciwne, jest fałszywy. Zapewne, że władze poznawania i uczucia jako stany świadomości wykluczają się wzajemnie i że silnie pobudzona czynność władz myślenia usiłuje przytłumić uczucia, gdy znowu z drugiéj strony znaczne naprężenie uczuć dąży do przewagi nad władzami myślenia.

Jednakże prawdą nie jest, ażeby rezultaty umiejętności miały być niepoetyczne, lub téż uprawianie umiejętności sprzeciwiało się swobodnemu rozwojowi fantazyi i zamiłowaniu piękna. Przeciwnie, umiejętność zawiera w sobie skarbiec poezyi, który zamkniętym jest tylko dla nieuka.

Alboż nie wiémy, że wielki poeta Goethe był jednocześnie mężem dużéj nauki? Czemużby kropla wody, która dla zwykłego oka jest tylko kroplą wody i nic więcéj, miała stracić coś w oczach fizyka, ponieważ ten wié, że jéj elementa utrzymywane są w spojeniu przez siłę, która nagle wyzwolona wytworzyłaby błyskawicę? Tylko naiwność ogromna może sobie wyobrażać, że płatek śniegu zawiera w sobie więcéj powabu i uroku dla nieuka, aniżeli dla człowieka, który za pomocą mikroskopu rozpoznał dziwnie piękne formy śnieżnych kryształów? Smutno to patrzéć, jak ludzie pracują nieraz nad małoznaczącemi i obojętnemi rzeczami, zaniedbując najważniejsze i najwznioślejsze. Z całym aparatem wielkiéj uczoności pisze się krytykę greckiéj ody, nie racząc nawet okiem rzucić na wspaniałą epopeję, którą palec boży spisał w ziemi, na ziemi i nad ziemią!

Celem całego naszego dotychczasowego badania było oznaczenie wartości téj lub owéj wiedzy ze względu na *kierunek* wychowawczy. Obecnie przychodzi nam oznaczyć porównawczo wartość różnych rodzajów wiedzy jako środków *ćwiczenia* władz umysłowych.

Na szczęście przekonaliśmy się, że co jest dobrém dla pierwszego celu, odpowiada także najzupełniéj osiągnięciu drugiego. W całém stworzeniu przebija się ta myśl, iż zdolności rozwijają się przez wykonywanie tych czynności, które ma się za zadanie spełniać. Czerwono-skóry Indyanin nabywa szybkości i zręczności, które go czynią dzielnym myśliwcem; osięga to przez ściganie zwierząt, a rozmaite jego zajęcia nadają mu lepszą równowagę sił cielesnych i pewniejsze ich opanowanie, aniżeli tego dokazać mógłby przez gimnastykę.

Z wprawą tropienia nieprzyjaciela i łupu łączy się bystrość oraz dokładność spostrzegawcza, która przewyższa wszelkie sztuczne pod tym względem wykształcenie. Wszędzie wprawa pełnienia obowiązków życia nabywa się przez samo wykonywanie tychże obowiązków. Otóż i wychowanie, które miało wartość, kiedy szło o wytknięcie kierunku, będzie miało dobre zastosowanie także, gdy idzie o przygotowanie do tegoż kierunku.

Niektórzy twierdzą, że języki są znakomitym środkiem wykształcenia pamięci, ale oczekujemy od nauczycieli języków faktów nie przypadkowych i dowolnie a bezładnie wybieranych, lecz koniecznych i rzeczywistych, jak to ma miejsce w innych umiejętnościach. Wprawdzie istnieje pod tym względem dążność ku lepszemu, jednak nie przeszła ona do szkoły jeszcze i nie bliskim jest czas, w którym przyczynowy związek faktów oraz właściwe prawa będą należycie przedstawione i pojmowane w językach.

Umiejętności, które tu zalecamy głównie, wpływają na wykształcenie sądu o rzeczach, czego brak, jak powiedział Faraday, jest najpospolitszym a powszechnym błędem intelektualnym: „społeczeństwo nie tylko jest nieświadome co się tyczy wykształcenia sądu o rzeczach, ale ono nawet nie wié, że jest nieświadome.“ Najrozleglejsza znajomość znaczenia wyrazów nie daje możności dobrego wnioskowania o przyczynach i skutkach. Przywyknienie do wyprowadzania wniosków z pewnych danych i sprawdzania tychże wniosków za pomocą obserwacyi oraz eksperymentów może jedynie wykształcić zdolność wydawania sądów.

Co więcéj, umiejętności, których już tyle zalet wykazaliśmy, wpływają bardzo i na wykształcenie moralne. Nauka języków pro-

wadzi do wiary w powagi i zabija poniekąd samodzielność człowieka.

Takie a takie są znaczenia wyrazów, mówi nauczyciel lub w zastępstwie jego słownik. Takie a takie jest w tym razie prawidło, mówi znowu nauczyciel lub gramatyka. Takie twierdzenia musi uczeń bezwarunkowo przyjąć, a umysł jego zostaje ciągle pod wpływem poddaństwa dogmatyzmowi, czego koniecznem następstwem jest skłonność przyjmowania z dobrą wiarą każdego twierdzenia. Prawdy czerpane z umiejętności może każdy sprawdzić, a w wielu razach wychowaniec zmuszonym jest własne wnioski z faktów wyprowadzić i nikt od niego nie wymaga, aby się na coś zgodził, czego za słuszne nie uznaje. Tym sposobem wychowuje się i wzmacnia wiara we własne siły oraz owa niezależność, będąca najcenniejszym przymiotem charakteru. A nie jestto jedyny moralny nabytek z umiejętnego wykształcenia; na téj saméj drodze albowiem kształci się wytrwałość i sumienność. Profesor Tyndall powiada: „umiejętność wymaga cierpliwéj pilności oraz skromnego a sumiennego zajęcia się tém, co natura przedstawia. Pierwszym warunkiem powodzenia jest uczciwy sposób czerpania faktów i dobra wola zniszczenia panujących przesądów, skoro te wystąpią w sprzeczności z prawdą. Częstokroć zapala się w cichym badaczu umiejętności iskra szlachetnego zaparcia się siebie, której blasku świat nigdy nie zobaczy.“

Z naszéj strony zrobimy jeszcze dodatek, który, o ile nam się zdaje, wywoła wielkie zdziwienie: mamy przekonanie, że umiejętność wpływa dobroczynnie na religijne wykształcenie człowieka. Rzecz prosta, iż religijności nie pojmujemy tu w zwykłém i ograniczoném tego słowa znaczeniu, ale w znaczeniu najwyższém i najobszerniejszém. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż umiejętność walczy z zabobonem, który często pod płaszczykiem religii przesuwa się w świecie; ale nie walczy ona nigdy z prawdziwą religią, którą zabobonne wyobrażenia zakaziły. Huxley mówi: „prawdziwa umiejętność i prawdziwa religia są to bliźnie siostry, rozdział ich między sobą sprowadza śmierć dla obu. Prawda powierzyła się raczéj cierpliwości, miłości, uczciwości i zaparciu samego siebie, aniżeli bystrości umysłowéj myśliciela i badacza.“

Nazywają umiejętność niereligijną tacy tylko, którzy mają wstręt do nauki. Dlaczegóżby miał być niereligijnym ten, kto zna cuda stworzenia, a religijnym drugi, który o nich nie ma najmniejszego wyobrażenia?

Nie jestto jeszcze jedyny wzgląd, ażeby umiejętność nazywać religijną istotnie. Ona jest religijną, o ile obudza szacunek i nie-

ograniczoną ufność względem zgodnie przejawiającéj się we wszystkich rzeczach prawidłowości. Za pomocą licznych doświadczeń badacz nabywa niewzruszonéj wiary w niezmienności zjawisk, w konieczność związku przyczyny ze skutkiem, w konieczność dobrych i złych skutków. Zamiast tradycyjnego wierzenia w nagrody, które pospólstwo mimo swego nieposłuszeństwa osiągnąć ma nadzieję, podobnie jak uniknąć kar—badacz jasno widzi, że zarówno nagrody jak kary są objęte w ustalonym porządku rzeczy. On widzi, iż prawa, którym podlegamy, są zarówno nieubłagane jak i dobroczynne; pojmuje, iż w zastosowaniu się do nich znajdujemy urzeczywistnienie doskonałości i osiągnięcie najwyższego szczęścia. W ten sposób uznanie wieczystéj prawidłowości rzeczy i niemożności działania przeciw niéj stanowią wewnętrzną religijność męża nauki.

Ale jest jeszcze jedna strona religijna w umiejętności, mianowicie, że ona sama jedna tylko może nam dać prawdziwe pojęcia o sobie samych i o naszym stosunku do tajemnicy bytu. Albowiem gdy nam jednocześnie ukazuje, co może być poznaném, przedstawia z drugiéj strony granice, po za które wyjść nie ma możności. Bynajmniéj nie dogmatycznie uczy nas ona niemożliwości pojęcia ostatecznéj przyczyny rzeczy, ale dozwala nam tę niemożliwość wyraźnie poznać, wiodąc za rękę w każdym kierunku aż do tych właśnie granic, których już przekroczyć nie można. Ona to, jak nic na świecie innego, daje nam widziéć ograniczoność ludzkiego poznania. Pełna dumy wobec tradycyi i powag ludzkich, jest pokorną wobec nieprzeniknionych zasłon, otaczających absolutną prawdę. A jestto istotna duma i istotna pokora!

Z tego wszystkiego można się przekonać, iż zarówno dla kierunku czynności, jakotéż dla ćwiczenia władz umysłowych człowieka, umiejętność ma największą wartość. Wszędzie przebija się to, że nauka: co rzeczy znaczą, zbawienniejszą i płodniejszą jest, aniżeli nauka: co znaczą wyrazy. Tak więc w umysłowém, moralném oraz religijném wychowaniu badanie otaczających nas zjawisk należy przełożyć nad naukę gramatyki i słowników.

(Dokończenie nastąpi).

GOETHE.

ZARYS BIOGRAFICZNO-LITERACKI.

Goethe. Vorlesungen gehalten an der Kgl. Universität zu Berlin von Hermann Grimm. Berlin 1877. 2 tomy.
Goethe und Schiller. Von Hermann Hettner. Dritte verbesserte Auflage. Braunschweig, 1876. 2 tomy.

Powyższe dwa dzieła streszczają wyniki najnowszych badań nad życiem i utworami jednéj z największych potęg świata poetyckiego. Różnią się one od siebie zarówno stanowiskiem autorów, jak i sposobem traktowania obranego przedmiotu. Hermann Grimm, niegdyś nowellista, zwolennik idealistycznych w estetyce zasad, nielekceważący jednak bynajmniéj rezultatów estetyki realistycznéj i posługujący się niemi bardzo chętnie, opowiada popularnie a uroczo, starając się w życiu Goethego i w ogólnéj atmosferze duchowéj zarówno europejskiéj, jak specyalnie niemieckiéj, odnaleść pierwotny materyał jego kreacyj poetycznych; dlatego téż daje przewagę biografii nad krytyką. Hermann Hettner, sławny autor dziejów literatury XVIII stulecia, umysł bardziéj realistyczny, w obrazie swoim, który stanowi jedynie odbitkę z owych dziejów, występuje bardziéj w charakterze krytyka niż biografa, zastanawia się więcéj nad dziełami niż nad sposobem ich powstania; a to z tego głównie powodu, że nakreśliwszy w poprzednich tomach historyą rozwoju myśli i twórczości europejskiéj, miał już tło gotowe do malowania na niém losów poezyi niemieckiéj.

W sprawozdaniu mojém, chcąc je o ile możności najmniéj suchem uczynić, trzymałem się głównie pracy Grimma, tak że najczęściéj własnemi jego słowami przemawiam. Gdzieniegdzie tylko uwa-

żałem za potrzebne dopełnić luki w opowiadaniu Grimma a z sądami jego o utworach Goethego zestawić sądy innych. Hettner, Kuno, Fischer, Lewes, tudzież pamiętniki samego poety w dopełnianiu tém i zestawianiu byli mi pomocą. Pierwszy okrés życia swego, t. j. tak zwane *czasy frankfurckie* Goethe opisał bardzo szczegółowo i bardzo zajmująco w „Dichtung und Wahrheit“ (*Poezya* i Prawda) (1), nie rozszerzałem się więc nad nim zbytecznie, te przedewszystkiém z dzieła Grimma uwzględniając ustępy, w których on prostuje pomyłki pamięci i naprawia psoty fantazyi poety. Radziłbym więc czytelnikom, ażeby dla wypełnienia i ożywienia obrazu, który im przedstawiam, zwrócili się do świetnego pod każdym względem utworu Goethego.

Zrobiwszy to ogólne wyznanie, nie będę potrzebował cytować w dalszym ciągu słów Grimma i wtedy tylko wyraźnie zaznaczę myśli jego, kiedy albo zanadto indywidualnemi mnie się wydadzą, albo też wyrażać będą sąd, którego sprawdzić nie mogłem.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

1749—1775.

I.

Położenie Niemiec około 1750 r. Owczesne mieszczaństwo.—Lata dziecięce Goethego w domu rodzinnym.—Uniwersytet Lipski.—Gottsched.—Gellert.—Francuszczyzna.—Powrót do domu.—Panna von Klettenberg.

Miasta niemieckie w połowie XVIII stulecia nie były już wcale tém, czém za czasów średniowiecznéj świetności. Reformacya rozpoczęła a wojna trzydziestoletnia dokończyła dziejów ich upadku. Po zawarciu pokoju Westfalskiego, spostrzeżono tylko, że się wszystko ku starości pochyliło, ale nic więcéj. Księstwa i miasta, jednakowo zmęczone, jednakowo wyczerpane, istniały wprawdzie jeszcze obok siebie. Powoli, bardzo powoli wznosiła się potęga książąt a zniżała się potęga miast: potém nastała w Niemczech cisza. Zdawało się, że żadne wypadki w świecie nie będą w stanie przyśpie-

(1) Tak nazwał pamiętniki swoje sam Goethe. Sekretarz jego Riemer przestawił wyrazy i odtąd w świecie literackim znaną jest „Wahrheit und Dichtung“ (*Prawda* i poezya). Dopiéro najnowsze i najlepsze wydanie tego dzieła przez Loeper'a nosi tytuł pierwotny, najlepiéj myśl poety wyrażający. (Grimm, I, 25).

szyć rozwoju narodowego. Zamiast istotnéj wielkości, był tylko jéj pozór; zamiast rzeczywistości bytu politycznego — jego udanie. Miasta, otoczone murami, najeżone wieżami, zaparte bramami, wierzyły jeszcze w swą wolność i nietykalność. Ich obywatele występowali z całą tradycyjną pompą aparatu państwowego, otaczając się blaskiem starożytnéj, odwiecznéj wspaniałości. W najwyszukańszych formach starano się codziennie zadosyćuczynić olbrzymim wymaganiom wzajemnego szacunku i poważania. Zaprowadzić zmianę w tych formach równałoby się zdradzie. Ale wystawić sobie tych poważnych obywateli jako rzeczywistych wojowników, w pełnéj zbroi za mury swoje walczących, albo idących na wojnę, nawet we śnie byłoby niepodobieństwem. Dobrze upieczeni we własnym tłuszczu, jak wspaniałe wyroby piekarskie, posypane cukrem i natkane rodzynkami, panowie ci uważali się za dostatecznie ubezpieczonych, jeżeli umieli sobie poradzić w zawikłanych stosunkach prawnych, które stanowiły jedyną podstawę ich istnienia. Urzędy nie miały inicyatywy a mieszkańcy poczucia, że coś zmienićby można. Myśl politycznego zjednoczenia Niemiec, jakiegoś ruchu spólnego, leżała po za granicami ich pojętności. Ani reprezentacyi interesów, ani uprawnionych rozpraw, ani stronnictw w dzisiejszém znaczeniu, ani nawet publicznych, ogólnych życzeń nie było. Każde miasto żyło dla siebie, każdy dom dla siebie, każdy mieszkaniec dla siebie.

Jedynym, niezależnym wówczas pierwiastkiem życia była literatura. Niemcy nie posiadały instytucyi politycznéj, w któréjby mógł się rozwinąć swobodny i energiczny charakter męża, ale posiadały „rzeczpospolitą uczonych.“ Uczoność tylko i poezya dawały sposobność zetknięcia się z ludem w ogólności; one to jedynie dozwalały okazywać zapał publicznie i wywnętrzać się z nim wobec spółczującego literackiego kółka, które naówczas nie było tak nieokreślone i bezkształtne jak dzisiaj; ale, zostając w ścisłym związku osobistym z mężami, którzy już zdobyli zaufanie publiczne, z pewną karnością entuzyazmowało się nimi, popiérało ich i nawzajem od nich w zależności zostawało.

Ojciec Goethego był radcą cesarskim. Wyrobił on sobie tę godność, ażeby przez nią zastąpić blask, na którym mu wobec mieszczańskiéj znakomitości starych frankfurckich patrycyuszów zbywało; rodzina jego bowiem nie należała do najznakomitszych. Ponieważ sam pozostawał zdala od urzędów miejskich, podczas gdy krewni jego żony byli ławnikami i sołtysami; synowi więc miało przypaść w udziale to, czego ojciec nie osiągnął. Inne dzieci wcześnie pomarły: Wolfgang tedy (urodzony 28 Sierpnia r. 1749) i siostra jego Kornelia stanowili jedyną troskę wychowawczą, która ojca oży-

wiała jeszcze. Wzrastali oni wśród takiéj czujności, jakiéj dzieci dzisiejsze rzadko kiedy doznają. Młodziutki Goethe ulegał tak natężonemu wychowaniu, żeby ono dla dzisiejszych postrachem było; nie mówi się tu o surowości bynajmniéj, ale o nieustanném pilnowaniu. Żadna władza państwowa nie mogła sobie wtedy rościć pretensyi do nakazywania, jak miano z dziećmi postępować, przynajmniéj w rzeczach głównych, tak żeby pewna ilość świéżego powietrza wprowadzona była do każdego pokoju dziecinnego z natchnienia państwa. Goethe opisuje w „Dichtung und Wahrheit“ wśród jakich dziwnie krzyżujących się wpływów wzrastał duchowo. Na ciepłém łonie rodziny nie uczuwał on najmniejszego powiewu szorstkiéj rzeczywistości, jaką np. była ta, wśród któréj Schiller dobijał się sławy. W dzieciństwie Goethego nie ma ani śladu niedostatku Lessinga albo rozpaczliwéj nędzy Winckelmanna, którzy wyjątkowo tylko doznawali ciepła łagodnych słonecznych promieni, jakikolwiek zresztą byłby stan nieba. Goethe miał nadmiar dostatków tego świata. Ale z tym nadmiarem łączył się brak swobody osobistéj, na który niepodobna było zaradzić, gdyż on jak subtelny eter całe istnienie Goethego otaczał. Goethe, pobierający wiele nauk wspólnie z siostrą, przygotowywał się do obcowania z kobiétami raczéj niż z mężczyznami. Wśród wszechpotężnego miejskiego plotkarstwa, zastępującego wówczas dzienniki i życie publiczne, wcześnie się uczy jak wytrawny dyplomata uwijać między domami, z któremi miał stosunki z powodu związków krwi. Wkrada się do serca wielu oryginałów, żyjących w dziwnie zamkniętych kółkach, których niczyja ręka rozerwaćby się nie poważyła. Przetrząsa zaułki miasta, zapoznaje się coraz dokładniéj z całym organizmem, którego częścią sam siebie uznać musi; rzecz oczywista, iż z téj znajomości wypływa powoli wniosek, że i jego losem będzie zostać, wcześniéj lub późniéj, jedną ze sprężynek owego dziwacznego mechanizmu. Bo gdzież indziéj mogła się przyszłość jego rozwinąć, jeżeli nie we Frankfurcie? W Niemczech nie było ani jednego punktu, do któregoby mógł młody talent przylgnąć z tajemniczą nieprzepartą siłą. Nie było tu ani Paryża, ku któremu zwracali się Corneille, Racine, Molière, skądkolwiek przychodzili; nie było Londynu, do którego zdążał Szekspir ze Stratfordu; nie było Berlina, przyciągającego dzisiaj młode niemieckie zdolności. Któreż miasto mogło naówczas przywabić z Frankfurtu na czas dłuższy bogatego mieszczańskiego syna? Wiedeń leżał daleko: a prócz tego była to katolicka, na pół włoska, na pół hiszpańska stolica. Berlin był biedny i wydawał się wtedy daléj od bogatych środkowych Niemiec położonym, aniżeli dzisiaj Petersburg.....

Tak więc Goethe w szesnastym roku życia nie miał nic lepszego do wyboru nad wyjazd do Lipska, ażeby tu odbyć studya prawne i plan życia na całą przyszłość ustalić: zostanie doktorem, powróci do domu, obejmie adwokaturę, ożeni się z bogatą patrycyuszką miasta Frankfurtu, wejdzie powoli w skład dostojników miejskich, potém dostanie dom swego ojca i prawdopodobnie dojdzie do godności.... burmistrza....

Jako student lipskiego uniwersytetu (1765—1768) Goethe płynął tylko daléj wąskiém korytem rozpoczętego we Frankfurcie życia. Wprawdzie Elba i Pleissa płynęły po przez inny kraj niż były te okolice, którędy Men i Ren fale swoje toczyły: wszystko w Lipsku niby innéin było, a przecież całkowicie podobném! Nawet w czcigodnym starym uniwersytecie nie znajdowało się nic żywotnego prócz gnuśnéj wegetacyi, oparkanionéj ochronnemi deskami uszanowania... Ogólny ruch duchowy, który z Francyi wyszedłszy, pierwsze lekkie wstrząśnienie w Europie sprawił, nie mógł bezwątpienia i Lipska ominąć. Lessing i Herder wtedy właśnie wydawali swe prace i zwracali na siebie w Niemczech uwagę. Głównemi atoli osobistościami pozostali w Lipsku: Gellert i Gottsched jako dwie wyrocznie, których postanowieniom student, chcący się poświęcić literaturze, poddać się musiał. Gottsched, to pedantyczny, bezmyślny przedstawiciel starego francuskiego wykształcenia, wybornie przedstawiony póżniéj przez Goethego w całéj swojéj bezczelnéj wielkości, a Gellert, stary i nieruchomy, to człowiek pełen poloru, śledzący bacznie wszelką nowość, ale jéj nierozumiejący nawet wtedy, kiedy ją naśladował. Gellert pisał swoje patryarchalne sztuki w nowéj formie *płaczliwéj komedyi* (la comédie larmoyante, stworzona przez Diderota), miał mowę na jéj pochwałę, a nawet w romansie swoim p. n. „Hrabina szwedzka" utworzył coś tak szalonego, że może spółzawodniczyć z najnowszemi sensacyjnemi romansami:—a jednak wszystko u niego jest przestarzałe. W jego charakterze była nieznośna mięszanina dobrotliwości i przyjacielskości z umysłem poddańczym i suchym; brakowało mu zupełnie swobodnego polotu myśli. Goethe uwielbiał Gellerta; ale się z nim nigdy nie zbliżył. Gniewało go to, że Gellert w swoich odczytach o literaturze zupełnie nie wspominał o nowszych pisarzach, ku którym się młodzież wtedy zwracała. Zawdzięczał mu natomiast zwrócenie uwagi na polepszenie własnego pisma, czego od słuchaczów swoich wymagał Gellert, dowodząc, że w staranności takiéj kryje się wyższa moralność. Goethe chętnie się takim napomnieniom poddawał. Pomimo bowiem namiętnego „używania życia" zawsze w nim dostrzedz można było pilne baczenie na uporządkowanie życia wewnętrznego. Najstarszy jego list, jaki do-

tychczas odkryto, z r. 1764, zawiera prośbę o przyjęcie do jednego ze stowarzyszeń, które się natenczas w Niemczech zawiązywać zaczęły, a których celem była „cnota“. Wyraz ten, który dziś, nic nie straciwszy ze swéj szlachetności, z powodu przecież pewnéj ogólnikowości, graniczący niemal z brakiem treści, coraz rzadziéj zaczyna się używać; posiadał w owe czasy znaczenie ogromne, w treść niezmiernie bogate i oznaczał najwyższe duchowe dobro, jakie się ukształconemu człowiekowi możliwém do osiągnięcia wydawało.

W Lipsku panowała wzmocniona wprawdzie odblaskiem drezdeńskiego dworu, lecz zarazem prawdziwa rodzinna specyalność— lipska „galanterya“. Studenci nie mogli tu gburowato występować jak np. „renomiści“ w Jenie i Halli. Goethe zastosował się jak najlepiéj do reguł tego delikatniejszego, ukształceńszego pożycia. Szukał domów, do czego był przywykł, w których się przyjemnie i swobodnie czas przepędzało; zawiązywał kobiéce znajomości i stosunki miłosne (1). W tém, co tworzył, hołdował panującemu smakowi i wrócił do domu niewiele innym, jak był z niego wyjechał.

Dramata Szekspira wzbudzały podziw Goethego już w Lipsku, ale wpływu na jego własne prace ówczesne nie wywarły wcale. Nazywa on wprawdzie już wtedy Wielanda i Szekspira swoimi mistrzami w poezyi; w rzeczywistości jednak pisze jako nieodrodny uczeń Gottscheda i Gellerta. Rozpoczyna przekład „kłamcy“ Kornela. Pisze aleksandrynami swoich „Spółwinnych“ (die Mitschuldigen). Gdyby ta sztuka, dla któréj Goethe dziwnym sposobem przez cały ciąg życia zachował pewną słabość i z którą chętnie się popisywał, nie pochodziła od niego; dzisiaj z trudnością możnaby kogokolwiek skłonić do jéj odczytania...

W lirycznym rodzaju napisał szereg piosenek, które jako podkład pod kompozycye muzyczne były pierwszemi drukowanemi utworami Goethego. Gdyby każdéj z nich odnaleziono francuski oryginał—powiada Grimm, toby mię to wcale nie dziwiło. W swoim czasie zaledwie na nie zwrócono uwagę; nawet bliżsi przyjaciele poety warunkowo tylko je cenili; o ile zaś weszły do ogólnego zbioru pieśni Goethego, uległy wielkiéj przeróbce. W drobnostkach tych, „galanteryą“ po większéj części przesiąkniętych, przebija się po raz pierwszy zachwycający talent mistrza, który w kilku prostych wyra-

(1) O tych stosunkach, jak nie mniéj o pierwszéj miłości (o Gretchen) dowiedzieć się można szczegółowo w „Dichtung und Wahrheit“ a także w polskim przekładzie Życiorysu Goethego przez Lewesa (1860, str. 15—28).

zach albo zdaniach uczucie jakieś zlekka zaznacza; wyczerpuje a równocześnie jako niewyczerpane przedstawia.

Wielce zastanawia zależność Goethego od francuskiego smaku w zewnętrznéj formie ówczesnych jego listów. Niektóre są poprostu w języku francuskim ułożone, przyczém się nawet wiersze francuskie jego wyrobu napotykają; wszystkie zaś zarówno w dyspozycyi jak i w myślach są odbiciem panującego wówczas żartobliwego tonu, który tak był potężnym, że nawet Voltaire i Fryderyk II, mówiąc o rzeczach najpoważniejszych, nie potrafili się wznieść po nad tę manierę, ponieważ innéj nie znali. Goethe pod tym względem nie utworzył nic szczególnego. Czytanie tych jego listów działa nader przygniatająco; owe tak miłe w „Dichtung und Wahrheit“ wyglądające postaci, lipskich dziewcząt i młodych kobiét, którym Goethe hołd składał, przedstawiają się w korespondencyi jako osóbki dziecinne, pospolite i nudne. Takiemi zapewne wydały się wkrótce i samemu Goethemu. W siedm lat po swoich studyach uniwersyteckich, przyjechawszy znowu do Lipska, patrzył już na tameczne stosunki niepospolicie wytrzeźwionemi oczyma.

Niektórzy niemieccy literaci, powodowani patryotyzmem powiatowym, chcieli nietylko obronić sławę lipskiéj twórczości Goethego, ale nawet podnieść ją do wyżyn doskonałości; tak że powstał rodzaj kultu, przeceniającego wartość ówczesnych poezyi mistrza. Nawet tak trzeźwy pisarz jak Herman Hertner, nie zasłaniając zresztą stron słabych, unosi się nad pięknością i popędem do prawdy w malowaniu uczuć i scen, jakie odnajduje w tych młodzieńczych płodach umysłu Goethego (1). Zapał ten, powiada Grimm, można porównać z ubóstwieniem pierwszego okresu Rafaelowskiéj działalności w Perugii i Florencyi. Atoli rozważmy: gdyby Goethe i Rafael przestali tworzyć przed odjazdem do Weimaru i Rzymu, to o ich pracach młodocianych, jak o nich samych wogóle, niewieleby już dzisiaj mówiono. Kto w początkowych dziełach wielkiego artysty chce się koniecznie dopatrzéć wspaniałéj treści późniejszych arcydzieł, ten sile lat dojrzałych, które same jedne skończoność wytworzyć mogą, odejmuje część sławy artysty. Młodociane utwory Goethego mogą się należycie ocenić tylko w związku z całą jego działalnością i muszą pozostać w cieniu, rzuconym przez prace z epoki jego dojrzałości.

Znajomości, któreby mogły mieć wpływ stanowczy na życie późniejsze, Goethe w Lipsku nie porobił. Filozofią uniwersytecką

---

(1) Goethe und Schiller. 1877, tom I, 116, 117.

lekceważył, bo mu się zdawało, że o takich rzeczach jak świat lub Bóg wiedział tyleż, co i sami nauczyciele. W rysunku, który studyował pod kierownictwem dyrektora akademii rysunkowéj Oesera, postąpił niewiele, gdyż profesor nawet co do twarzy i ciał podawał raczéj poglądy niż formy, raczéj giesta niż proporcye; a przedstawiając same pojęcia o postaciach, żądał od uczniów, żeby je oni w ciało przyoblekali.

W Lipsku przebył Goethe lat trzy, zżył się doskonale z miastem, a nawet wyjeżdżając na ferye jesienne r. 1768 do domu, zamierzał powrócić do „wesołego" grodu. Główną zdaje się przyczyną wyjazdu było to, że z powodu nieregularnego życia dostał groźnego krwotoku, którego następstwa nie chciały zniknąć natychmiastowo. Chory i pochmurny przywlókł się do rodzinnego gniazda, ażeby wzdychać za minioném życiem studenckiém. Już 13 Lutego 1769 pisał do Fryderyki Oeser: „Jakżebym pragnął przepędzić kilka wieczorów u kochanego ojca Pani; miałbym mu tyle do powiedzenia! Mój obecny sposób życia poświęcony jest filozofii. Zamknięty, sam jeden; cyrkiel, papiér, pióro i atrament i dwie książki—oto cały mój rynsztunek. A jednak tą prostą drogą zachodzę w poznaniu prawdy tak daleko a nawet i daléj niż inni ze swoją umiejętnością biblioteczną. Wielki uczony rzadko bywa wielkim filozofem; kto z mozołem wiele przewertował książek, pogardza łatwą naiwną księgą natury, a przecież to tylko jest prawdziwém, co jest naiwném (einfältig)."

Gdy się stan zdrowia trochę polepszył, zabrał się Goethe do studyów alchemicznych. Sprowadził sobie pismo *Wellinga*: Opus magokabbalisticum i największém jego staraniem było pilne zestawienie tych ciemnych wskazówek, któremi autor chciał wzajemnie rzecz zawikłaną wyjaśnić. Pomimo jednak takiéj baczności, pomimo zapisywania odnośnych miejsc na marginesach, książka pozostała dosyć ciemną i niezrozumiałą. Ponieważ Welling ze czcią wspominał poprzedników swoich, zwrócił się Goethe wraz z panną von Klettenberg do dzieł Teofrasta Paracelsa i Bazylego Valentina jak nie mniéj do von Helmonta, Starckeya i innych, których nauki i przepisy, mniéj lub więcéj na naturze i wyobraźni osnute, starali się zrozumieć i wykonać. W ten sposób nuda długich wieczorów zimowych, podczas których Goethe siedzieć musiał w pokoju, została zażegnana: on, jego matka i panna von Klettenberg znaleźli w owych tajemnicach większą zabawę, niżby ją sprawić mogło samo ich wytłómaczenie. Późniéj zajął się poeta, przykładem panny von Klettenberg zachęcony, doświadczeniami chemicznemi; zainteresował go wielce podręcznik chemii przez sławnego Boerhave'go napisany

i skłonił go do poznania innych utworów tego męża. Wielki też wpływ na umysł Goethego wywarła książka Arnolda, przedstawiająca dzieje kościoła i kacerstwa. Najwięcéj go bawiła ta okoliczność, że przy czytaniu tego dzieła nabiérał korzystniejszego pojęcia o niejednym kacerzu, który do owego czasu uważany był za szalonego lub bezbożnego...

Wśród takich i tym podobnych zajęć przepędził Goethe półtora przeszło roku w mieście rodzinném. Potrzeba jednak było dokończyć nauki prawne, z któremi w Lipsku żył niezbyt poprzyjacielsku. Miał to powetować w Strasburgu. Podróż do Paryża a może nawet do Włoch, gdzie natenczas ojciec jego bawił, miała zaokrąglić jego wykształcenie. Dnia 2 Kwietnia 1770 wybrał się do Strasburga. Miał już wtedy lat dwadzieścia z górą. Odtąd każde słowo pióra Goethego staje się pomnikiem historycznéj wartości.

II.

Towarzystwo stołowe w Strasburgu.—Aktuaryusz Salzmann.—Lerse, Wagner.—Jung.—Stilling mistyk.—Przyjazd Herdera.—Nowe idee XVIII stulecia.—Sielanka Sesenheimska. Otrzymanie stopnia licencyata.

W Strasburgu rozpoczynała się wtedy, robiąc zresztą dość szybkie postępy, przemiana stosunków niemieckich na francuskie, przemiana, którą następnie przyśpieszyła pierwsza rewolucya. W staréj monarchii francuskiéj prowincye żyły właściwém sobie życiem. To téż żołnierze alzaccy zwali się *les troupes allemandes de Sa Majesté*, a Alzatczycy—*les sujets allemands du Roi de France*. Przepisy mody, niektóre zwyczaje, język francuski przenikały już wówczas do klas zamożnych, jak to się zresztą praktykowało i w krajach, niezostających pod panowaniem Ludwików. Uniwersytet strasburski tém się różnił od niemieckich wedle zeznania Goethego, że w nim patrzano przedewszystkiém na *praktykę*, załatwiając się z teoretycznemi poglądami jak najszybciéj i w sposób jaknajbardziéj formalistyczny.

Początkowe miesiące przepędził Goethe w Strasburgu podług lipskiego trybu. Bogaty, miły, rozmowny umiał się podobać. Zjednał sobie przedewszystkiém aktuaryusza przy zakładzie dla siérot *Salzmanna*, a ten wprowadził go do strasburskich towarzystw, w których wesoło czas spędzał. Z kupnym harbajtlem (gdyż miał zbyt krótko przystrzyżone włosy), w trzewikach i pończochach, upudrowany przez dzień cały, z kapeluszem pod pachą również przez dzień cały, Goethe, naśladując Salzmanna, chodził po „wykrzywionych" ulicach Strasburga i bawił się w jego domach. Objady schodziły

mu również bardzo przyjemnie w towarzystwie z początku dziesięciu, później dwudziestu spółstołowników, którym nadawał ton ów Salzmann, stary kawaler, znający doskonale miasto i wzbudzający powszechne zaufanie. Ubogim, ale niezmiernie chędogim, uczciwym i dzielnym spółtowarzyszem był Lerse, któremu Goethe wystawił pomnik w swoim „Götzu,“ chociaż nawet w najwcześniejszym zarysie tego utworu z wysmukłego, błękitnookiego teologa zrobił małego giermka o czarnych oczach. Być może, że Lerse sam reklamował, gdyż Goethe w drugim zarysie „Götza“ zamiast „małym“ nazwał go „słusznym,“ pozostawiwszy zresztą czarne oczy. Był tam także Leopold Wagner, który według mniemania Goethego dokonał na nim złodziejstwa literackiego, spożytkowawszy myśl Fausta w dramacie: „Dzieciobójczyni.“ Jestto utwór, jak powiada Grimm, zawierający namiętne, nadzwyczaj żywo pisane sceny, ale tak mało do Fausta podobny, że dzisiaj gdyby Goethe nie był wyraźnie zaznaczył plagiatu, trudnoby było wpaść na taki domysł. Sądzono, że Goethe sam chciał się zemścić na Wagnerze, nazywając Wagnerem faustowego famulusa, przedstawiciela ograniczonéj pedantycznéj uczoności; ależ Wagnera jako towarzysza Fausta znajdujemy już w staréj sztuce jasełkowéj, z którą się Goethe w dzieciństwie zapoznał.

Z całego towarzystwa najznakomitszym duchowo był *Jung*, zwany zazwyczaj Jung-Stillingiem. Syn chłopa, potém krawczyk i guwerner został w końcu profesorem i sławnym okulistą. Żył on całkowicie w myślach i był jednym z głównych przedstawicieli szeroko rozprzestrzenionego pod koniec XVIII stulecia pietyzmu, którego zwolennicy sądzili, że zostają w bezpośrednim stosunku z potęgami, rządzącemi światem. Goethe z istotami tego rodzaju od dzieciństwa żył blisko: panna von Klettenberg, która wywierała tak wielki wpływ na rozwój jego młodocianego umysłu i któréj pamięć na całe życie drogą mu pozostała, była najczystszą i najszlachetniejszą przedstawicielką tego kierunku chrześcijaństwa, który tak zniszczony został przez rewolucyą francuską, że pozostałe resztki nie mogą dać żadnego pojęcia o dawniejszém jego znaczeniu Możnaby z nim porównać obcowanie z duchami spirytystów angielskich i amerykańskich, gdyby nie ta ogromna różnica, że zgodnie z całym nastrojem poprzedniego stulecia, zamiast prozaicznéj gburowatości, z jaką dziś takie rzeczy się odbywają, panowała wówczas pewna delikatność, charakteryzująca życie europejskie przed rewolucyą francuską. Goethe zyskał sobie zaufanie i przyjaźń Junga zaraz przy pierwszém widzeniu się. Jung nosił starą okrągłą perukę, którą z oszczędności chciał donosić do ostatniego włoska. Otóż raz przy wspólnym stole znajdował się jakiś aptekarz z Wiednia, który rzuciwszy okiem na

głowę Junga, zażartował sobie pytaniem: czy też Adam w raju nosił okrągłą perukę. Goethe załatwił to pytanie w sposób, który mu zjednał przyjaciela, a ten wiernym mu pozostał nazawsze. Goethe był wydawcą jego autobiografii, należącéj według Grimma do liczby tych książek, których czytania nikt nie pożałuje.

Tyle o życiu towarzyskiém. Co się nauk tyczy, to Goethe przy pomocy „repetenta," który mu swoich zeszytów udzielił, szybko przygotowywał się do zdania egzaminu; a tymczasem chodził przysłuchiwać się wykładom nauk przyrodzonych i medycyny; przypatrywał się wspaniałéj budowie katedry strasburskiéj, któréj styl gotycki umiał pierwszy należycie ocenić, zapoznawał się z rafaelowskiemi utworami, kopiowanemi na dywanach i pisał poemacik francuski z powodu okropnego wypadku w Paryżu przy uroczystości zaślubin Maryi Antoniny z Ludwikiem XVI.

Dopiéro późniéj, zapewne pod wpływem „towarzystwa niemieckiego," założonego przez Salzmanna, porzucił wiersze francuskie i uczuł, że literatura francuska już się przeżyła. Owoczesne polityczne przejawy w téj literaturze nie działały ani na niego, ani na jego spółtowarzyszów. Sławny *Contrat social* Roussa był dla nich dziełkiem obojętném, z którego nie umieli nic wyciągnąć. Czcili natomiast Szekspira, którego siła i oryginalność zdawała się przewyższać wszystko, czego dostarczała ówczesna literatura.

Potrzeba było wpływu niepospolitego człowieka, ażeby otworzyć Goethemu oczy na znaczenie i doniosłość „nowych pojęć" XVIII stulecia. Człowiekiem tym był Herder. Kiedy przybył do Strasburga (w jesieni 1770), ażeby znaleść lekarstwo na chorobę oczu, miał lat 27 i był już sławnym pisarzem. Goethe z pewną natarczywością pragnął się z nim zaznajomić, bo chciał znaleść mistrza, któremuby mógł się poddać. Herder przywykł był do objawów podobnego poddaństwa; w staraniach Goethego nie widział nic osobliwego i traktował go obojętnie. Czasami się nawet zdaje, że Herder poczuwszy siłę Goethego, przykładał starania może bezwiednie, żeby się on zanadto obok niego nie wyniósł. Ta obojętność jednak, podniecając przywiązanie Goethego, nie osłabiała bynajmniéj wpływu mistrza. Herder przemawiał z zapałem, a będąc duchownym, miał dar kaznodziei i przy każdéj sposobności usiłował myśli swoje do duszy innych przelać. Herder był poetą i teologiem: chciał przekonywać i opanowywać serca, ale ich nie ranić. W głębi jego duszy było spokojne zwierciadło, w którém dzieje ludzkości odbijały się jako dzieło sztuki. Najprzód pod wpływem głębokomyślnego *Hamanna*, potém własną rozwagą, wreszcie zapoznaniem się z pojęciami ówczesnych francuskich pisarzy, wyrobił on w sobie pogląd

na całość wszechświata i stał się takim propagatorem nowych idei, jakiemu równego w Niemczech wtedy nie było.

Na czele ruchu umysłowego w Europie stali natenczas Voltaire, Rousseau i Diderot. Znajdowali oni przystęp nawet tam, gdzieby się tego najmniéj spodziéwać można było. Słuchały ich masy, które w połowie XVIII wieku zaznaczyły nagle swą dojrzałość; słuchała ich nadto szlachta, urzędnicy i dwór królewski. Od lat kilkudziesięciu tak się przyzwyczajono w wyższych sferach do istniejącego porządku rzeczy, do zupełnego braku życia politycznego, do doskonałéj uległości mas, że ani przypuszczano możliwéj zmiany. To też apostołowie ludzkości, urządzający państwa, w których „wolność“ była jakby we własnym domu a „filozofowie“ rządzili sami sobą apostołowie ci nie znajdowali oporu ze strony władzy, używającéj dóbr tego świata z niepojętą lekkomyślnością i rozpustną ironią. Ci co podkopywali fundamenta staréj budowy byli pożądanemi gośćmi w jéj salonach. A tymczasem to, co Defoë w formie niewinnego romansu wystawił, stawało się myślą popularną. Jak Robinson, wyrzucony na wyspę bezludną, musiał wszystko niby drugi Adam na nowo rozpoczynać; tak zdawała się wielu nadchodzić chwila, w któréj każdy, uległszy rozbiciu, nowy sposób życia będzie musiał dla siebie wymyśléć. Voltaire napatrzywszy się na instytucye angielskie i wystudyowawszy filozofią angielską, za powrotem do ojczyzny z właściwym sobie popularyzatorskim talentem zaczął wygłaszać nowe polityczno-moralne poglądy, które się wielce podobały i pociągnęły za sobą wiele umysłów. Przygotował on grunt dla Roussa. Voltaire, przyjęty do towarzystwa arystokratycznego i lubiący w niém bawić, w pismach swych zwracał się przeważnie ku niemu. Rousseau przeciwnie przemawiał do każdego; każdy też czuł w nim równego sobie. Voltaire mógł Niemców tylko interesować; Rousseau poruszył ich do głębi. Idee Roussa wdarły się do pokrewnéj sobie duszy Herdera, kiedy ten jako biédny młodzieniec gdzieś daleko na wschodzie (w Rydze) starał się na wierzch wydostać. Wystąpił on przeciwko Roussowi, krytykował go; ale go nosił w duszy. Rousseau widział jednę tylko drogę wyjścia z pod tyranii uciskającéj ludy, oto każdy powinien był poznać, jakie prawa i obowiązki wypływają dla niego z tego faktu, że on jest częścią swego ludu. Każdy naród był w jego oczach jednostką odpowiedzialną za własne swe losy. Wielkie dzieje rozwoju ludzkości, które przy każdéj pracy Herdera jako idea zasadnicza występowały, nie mogłyby się w duszy jego wytworzyć bez pomocy Roussa. Myśl Roussa, że każda cywilizacya jest pogorszeniem doskonałego pierwotnie stanu tak dalece odpowiadała poczuciu ogólnemu, że ją przyjęto bez dowodu. O ile dzisiaj nauka

o stopniowém rozwijaniu się ludzkości ze stanu zwierzęcego łatwy przystęp do umysłów znajduje, nawet bez mozolnego przytaczania dowodów naukowych; o tyle wówczas nauka o pierwotnéj doskonałości rodu ludzkiego takąż wiarę obudzała. W pewnym stopniu nie przedstawiała ona nic nowego: teologia oddawna już opowiadała o raju utraconym; lecz Rousseau chciał pokazać, jak filozofia bez chrześciaństwa napowrót do tego raju ma ludzi doprowadzić. Herder z nauki téj wyciągnął przedewszystkiém wnioski odnoszące się do poezyi. Poeci winni byli powrócić do „czystéj“ natury. Natura znaczyła tu tyle co siła twórcza, słuchająca tylko głosu wewnętrznego. Po wzory należało się zwrócić ku owym poetom, którzy jak bohatérowie stali na czele swych narodów. Winckelmann wykazał już był, że sztuka grecka była kwieciem całego życia ludowego; Herder rozważa przedewszystkiém psalmy, utwory Homera, Pindara, Ossyana i Szekspira; a obok nich pieśni ludu jako kwiaty polne, które bez pomocy ręki ludzkiéj około tych olbrzymich dębów wyrosły. Podczas gdy wśród wyniosłych konarów słychać było ryk burzy, to na dole ponad trawami drżał cichy powiew tęsknych westchnień przyrody... Wyniosłe konary, to wielkie imiona poetów; trawy—to lud bezimienny.

Goethe, jak wiémy, nie wiedział, co począć z pismami Roussa. Wielki człowiek potrzebuje nieraz proroków, którzyby światu myśli jego wytłómaczyli. Herder był takim prorokiem Roussa. Przez zastosowanie myśli jego do poezyi, znalazł właściwą drogę wprowadzenia do Niemiec towaru, który dotąd lekceważono. Goethe, który dotąd przeczuwał tylko nowy kierunek twórczości, dopiéro od czasu poznania się z Herderem rozpoczął istotny okrés poetycznego tworzenia.

Wszystkie te atoli wypadki i znajomości z ludźmi stanowią w „Dichtung und Wahrheit“ ramy tylko dla spotkania, które stanowiło punkt zwrotny w pobycie Goethego w Strasburgu. Gdyby Goethe został był wielkim filozofem, statystą, uczonym, to opowiadając w starości zdarzenia swego życia, możeby małą tylko wzmianką Fryderykę Brion zaszczycił. Ale Goethe jako poeta czuł, pisząc swe wspomnienia, że w rozkwicie pierwszéj wielkiéj miłości, któréj wonią dawno już zwietrzałą raz jeszcze miał się napawać, wyjawiły się największe chwile jego życia. Goethe wiedział zanadto dobrze, że ta miłość miała dla niego wartość większą, niż wszystkie inne wypadki. Względem Fryderyki najwięcéj zawinił i jéj najwięcéj zawdzięczał. To téż użył całéj swéj sztuki, ażeby postać dziewczęcia tego wystawić tak pięknie i tak czysto, jak tylko był w stanie. W opowiadaniu Goethego jest coś nieopisanie wzruszającego, jak

gdyby i jemu i Fryderyce młodość raz jeszcze wróciła i jak gdyby raz jeszcze stało się możliwém, żeby się nie rozłączyli. Postać jéj nie jest, jak się mówi, z natury odrysowana, a jednakże wydaje się najprawdziwszą w świecie. Najznakomitszym skutkiem każdéj sztuki jest to, że artysta utworom swoim nadaje pozór rzeczywistości, jak gdyby nie on, ale natura sama nad niemi pracowała. Im więcéj mu się to uda, tém doskonalszą będzie jego kwestya i tém silniéj działać będzie; gdy tymczasem ten, co tylko z trudem i mozołem kopiuje przedmioty przyrody, w najlepszym razie może utworzyć zastraszającego sobowtóra przyrody, który patrzéć będzie na nas z wyrazem niemoty i sztywności, gdyż mu mowy i ruchu nie nadano. Goethe, malując Fryderykę, umiał dokazać, że jéj postać wydaje nam się najwierniejszą kopią rzeczywistéj córki pastora z Sesenheimu. Możnaby na to przysiądz, że ona istotnie tak wyglądała, z tym wszakże dodatkiem, że skłonni jesteśmy wystawiać ją sobie jeszcze powabniejszą, niż ją Goethe mógł opisać. Zdaje się, jakby on za mało dla niéj zrobił. I to również jest skutkiem prawdziwie udatnych artystycznych postaci; przypatrujący się im sądzi, że je zna lepiéj, niż sam poeta. Poeta odgrywa tu rolę wybranego narzędzia, którém kierowała ręka jakiéjś wyższéj potęgi, ażeby powołać do bytu istotę, żyjącą życiem własném. Jak dzieci, występujące obok swych rodziców jako odrębne jednostki; tak postacie Julii np. Hamleta, Fausta mogą, zdaje się, rościć sobie prawo do pewnéj niezależności względem swych twórców, tak, że w końcu osoby obce mogą się stać dla nich bliższemi niż ci, co im życie dali.

Chcąc wyrozumiéć stosunek, jaki zachodzi pomiędzy Fryderyką, odmalowaną przez Goethego a Fryderyką rzeczywistości, przyjrzyjmy się artystycznym środkom, których użył poeta, przedstawiając zdarzenia Sesenheimskie.

Ażeby zaraz z początku obudzić w czytelniku przeczucie tragicznego zakończenia, podaje poeta jako wstęp opowieść o swojéj awanturze z córkami starego Francuza, u którego w Strasburgu lekcye tańca pobiérał. Jest to małe zaokrąglone w sobie opowiadanie, zakończone wzruszającą dramatyczną sceną. Treścią jego jest, że z dwu córek tancmistrza młodsza zainteresowała Goethego a starsza, Lucynda, pałała dla niego miłością, któréj on nawet nie podejrzéwał. Następuje wyznanie Lucyndy, poparte gorącym pocałunkiem i przekleństwem, żeby ta co pierwsza swemi usty go zetrze, marnie zginęła. Goethe opuszcza dom tancmistrza na wieki. Czytelnik zaś z pewną obawą oczekuje, na kogo spadnie to przekleństwo.

Pragnąc atoli uczucie to ukołysać, zanim się Fryderyka przed nami ukaże, i przygotowywać nas niejako do widoku plebanii sesen-

heimskiéj i jéj mieszkańców, opowiada Goethe o czytanym przez Herdera „Wikarym Wakefieldzkim.“ Romans ten, znany dzisiaj jako książka odwieczna, z któréj się wielu uczy angielskiego, podobnie jak francuskiego z „Pawła i Wirginii,“ albo włoskiego z „Promessi sposi;“ posiadała wówczas wdzięk nowości. Goethe opisując, jak ją Herder swoim młodym przyjaciołom odczytywał i jaką rozmowę przy tém prowadzono, ukazuje nam nową stronę jego charakteru. Herder umiał sprawić najżywsze wrażenie i równocześnie je zniszczyć; w duszy jego już w tak młodym wieku była mięszanina entuzyastycznéj siły i oziębiającéj a zniechęcającéj ironii; mięszanina, która z czasem coraz zgubniejszą dla niego się stawała. Wikary Wakefieldzki jest głową rodziny, która wraz z nim po przez różnorodne nieszczęścia przychodzi do najwyższego udręczenia, aż nakoniec, kiedy się już wszystkie charaktery wśród tych prób losowych wzmocniły i oczyściły, wraca powoli uśmiech na ich twarze i widzimy całą rodzinę w słonecznym blasku szczęścia tak, jakeśmy ją poraz pierwszy poznali.

Bez wiedzy naszéj przygotował nas tym sposobem poeta do odwiedzin w Sesenheimie. Zdaje się nam, jakobyśmy rozpoczynali nowy rozdział, niemający żadnego związku z poprzedniemi. Byłoto na wiosnę r. 1771. Herder ze Strasburga odjechał, Goethe powinien był zająć się na seryo swojém „prawem,“ gdyż w jesieni chciał zostać doktorem. Ale wspaniała okolica ma swoje prawa a wrodzony Goethemu pociąg do szczegółowego oglądania miejscowości, w których przebywał, prawom tym uszczerbku nie mógł zrobić. Piękna Alzacya, zamknięta między Renem a Wogezami, pociągała go ku sobie. Wśród jego znajomych był także rodowity Alzatczyk, który go namawia do odbycia wycieczki do Sesenheimu, gdzie krewny jego Brion był pastorem. Goethe miał zawsze skłonność do przebiérania się i występowania pod cudzém nazwiskiem. W Maju 1771 chciał wystąpić jako „jeżdziec łaciński;“ zarzucił więc na siebie ubogie ubranie, włosy przyprowadził do najprostszego nieładu i wyjechał ze swoim przyjacielem. Przejażdżkę opisuje Goethe z taką dokładnością, że czytelnik uważać się może za trzeciego, który obok nich kłusuje. Przedewszystkiém podług zwykłéj maniery Goethego: wyborna szosa. Wspaniała pogoda. Bliskość Renu. Kraj urodzajny: równina z wonnemi wzgórzami w dali. Nakoniec oba jeźdźcy okręcają z gościńca na powabną ścieżynę ku Sesenheimowi, zostawiają konie we wsi i udają się do plebanii.

Po dokładném opisaniu domu, jak ma zwyczaj Goethe, idzie opowiadanie jak ich przyjmuje pastor. Córki wyszły. Z jakiém wyrafinowaniem opisane pierwsze wystąpienie Fryderyki na widownią!

Tu się poznaje rozważnego pisarza a nawet dyrektora teatru.... Najprzód każe „wpadać“ starszéj siostrze i pytać o Fryderykę. Lekka niecierpliwość nas opanowuje a zarazem oczekiwanie, że we Fryderyce odnajdziemy coś, co z tém „wpadaniem“ przeciwieństwo stanowić będzie. Ale poeta jeszcze ją zatrzymuje. Po raz drugi starsza siostra „porywczo“ wchodzi do pokoju i pyta o Fryderykę. „Daj jéj pokój, powróci i sama,“ uspakaja ojciec. Fryderyka zapóźniła się na przechadzce. Teraz budzi się w nas obawa, czy jéj coś złego nie spotkało. Wreszcie ukazuje się. Więc téż, zaspakajając pragnienie czytelnika, daje poeta w kilku mistrzowskich, choć prostych rysach obraz pięknego dziewczęcia. Fryderykę wprowadza jako bohatérkę i osobę główną, chociaż dotychczas nic innego jeszcze nie zrobiła prócz tego, że kazała na siebie czekać.....

Ojciec, matka i córki starają się ugościć obu „niezamożnych“ studentów. Rozpoczyna się „wdzięczne świegotanie sióstr“ o całém sąsiedztwie. Następnie gra Fryderyka na rozstrojonym klawikordzie „jak grywają na prowincyi“.... „Wyjdźmy — odezwała się — a wtedy usłyszycie Panowie moje pieśni alzackie i szwajcarskie.“ W téj chwili przychodzi Goethemu na myśl podobieństwo z rodziną Wikarego Wakefildzkiego: przez to czytelnik ostatecznie się zapoznaje z osobami. Jednocześnie atoli przeczuwamy, że tym spokojnym ludziom może zagrażać jakiś niebezpieczeństwo. Wieczorem obaj przyjaciele rozmawiają o wypadkach dnia: konsekwencye podobieństwa owego zaczynają niepokoić duszę Goethego. I w romansie na łono cnotliwéj rodziny wśliznął się Burchell, uwodziciel jednéj z córek wikarego. Poeta porównywa się z Burchellem. Nie było jeszcze wtedy ani cienia winy; ale samo porównanie wydaje mu się dostateczném, ażeby wywołać najgwałtowniejsze wyrzuty sumienia. Uczucie to nietrudno pojąć. Niewinność i prawość spokojnych mieszkańców plebanii stanowiły zbyt wyraziste przeciwieństwo ze sztuczkami Goethego, który pod zmyśloném imieniem i w dziwaczném przebraniu przybył w odwiedziny. To téż nazajutrz przejęty niewłaściwością swéj roli, siada na koń i odjeżdża. Chce wrócić do Strasburga. W miarę jednak jak wspomnienie szczegółów uwydatnia się w jego umyśle, jedzie powolniéj i nakoniec zawraca. Zatrzymuje się w Drusenheimie. Przed oberżą spotyka syna oberżysty w stroju świątecznym, mającego zanieść pani pastorowéj z Sesenheimu kołacz chrzestny. Goethe zamienia z nim ubiór, zamierzając nową maskaradę. Z kołaczem w ręku wstępuje w progi Sesenheimskiéj plebanii. Nikt nie zauważył podejścia. Fryderyka nawet bierze go za syna oberżysty i pyta poufale: „Jerzy, co tu ro-

bisz? Wtedy dopiéro poznaje omyłkę: „jéj *bladawe* policzki zabarwiły się najpiękniejszą różowością“....

I tak dowiadujemy się powoli o dalszych zdarzeniach w Sesenheimie: jak Goethe oczarował rodzinę; jak z każdym po szczególe zawiązywał stosunki; jak niekiedy oddawał się aż do swawoli uczuciu szczęścia.... Poezye, które naówczas do Fryderyki pisał, dziś jeszcze wzruszają.

Herder pierwszy zwrócił jego uwagę na pieśni ludowe. Obecnie słyszy je śpiewane przez Fryderykę, zbiéra je z ust ludu i tworzy w duchu i tonie pieśni ludowéj. Fryderyka bez obawy odpowiadała uczuciu Goethego, miała dla niego zaufanie siostrzane. Obcowanie młodzieży płci obojéj było w owych czasach wielce swobodne. Jak dzisiaj przy dźwięku muzyki młodzieniec bierze dziewicę pod rękę, ażeby się z nią podług taktu poruszać: tak wtedy ogólna niemal w Europie czułostkowość pozwalała na zbliżenie się obu płci, dziś poczytywane za nieprzyzwoite. Chodzono razem, pisano do siebie, obgadywano mnóstwo rzeczy, o których dzisiaj młodzi ludzie zazwyczaj nie mówią. Nawet granic między stanem narzeczonych a nie narzeczonych nie zbyt ściśle przestrzegano. Im swobodniéj jednak wolno się było poruszać, tém staranniéj należało w szczegółowym wypadku rozróżnić, jak daleko się zachodziło. Otóż Goethe, którego Fryderyka, jéj rodzice i krewni wkrótce zaczęli uważać i traktować jako zdeklarowanego kochanka, zajął to stanowisko, nie porozumiawszy się ani z Fryderyką, ani témbardziéj z jéj rodzicami. Nie był więc zobowiązany i w każdéj chwili mógł odejść, jak przyszedł. Goethe tedy opowiada, jak wśród pełni swéj miłości dla Fryderyki zaczął uczuwać, iż wszystko spoczywało w jego fantazyi jedynie. Odkrycie to zrobił wprzód, nim się związał słowem. Wśród pewnéj uroczystości wiejskiéj sprzeczność owa dosięga najwyższego punktu. Goethe, niezdecydowany, czy ma uciec, czy zostać, skłania Fryderykę do wyznania, że go kocha: pierwszy pocałunek przyjęły i oddały te usta, na które Lucynda przekleństwo rzuciła. Goethe w téj chwili przypomina je sobie. We śnie ukazuje mu się Lucynda i powtarza przekleństwo, podczas gdy Fryderyka, stojąc naprzeciwko niéj, patrzy z milczącém przerażeniem, nie pojmując, co się dzieje. Opowiadanie wznosi się do wysokiéj dramatyczności; oczekujemy sceny najgwałtowniejszéj. Zamiast tego znowu sztuczka, ażeby wzbudzić wiarę, że to, co opowiada autor, nie jest wcale romansem, ale rzeczywistością. Rozwlekłym starym tonem rozpowiada poeta, jak życie z dziewczęciem i jéj rodzicami płynęło daléj. Goethe uchodził za narzeczonego Fryderyki i cieszył się rosnącém zaufaniem rodziny.

Przyjeżdża często do Sesenheimu, mieszka tam po całych tygodniach, albo pisuje do Fryderyki. Coraz spokojniéj jednak w jego sercu. W jednym z listów do Salzmanna przedstawia ówczesny stan swój w dziwny sposób: „W duszy mojéj,“ pisze, „niezupełnie wesoło; zanadto czuwam, abym nie miał czuć, że za cieniem gonię.“ Ostatni cios zadają miłości odwiedziny sióstr Brion w Strasburgu, gdzie je Goethe widział wśród towarzystwa, do którego nie były wychowane. Pomimo to Fryderyka, jak opowiada poeta, umiała właściwie postępować, starsza natomiast siostra czuła się w nieswoim *ży*wiole i pragnęła wracać co prędzéj. Goethemu zrobiło się lżéj na sercu, kiedy je widział odjeżdżające; musiał wyznać przed sobą, że sen jego ulatnia się.

I teraz jednak nie ma żadnéj gwałtownéj sceny, co nadaje zakończeniu nadzwyczaj smutny odcień. Wszystko się rozwiewa cicho jak ton w oddali ginący; powoli, jak opadają z drzew liście w jesieni. Stara zażyłość utrzymuje się aż do końca. Ani jednego słowa wyrzutu, kiedy Goethe, mając opuścić Strasburg, po raz ostatni pożegnać się przybył; kiedy po raz ostatni już z konia podał dłoń Fryderyce, która miała łzy w oczach.... Późniéj dopiéro na swoje piśmienne pożegnanie, odbiéra od niéj list rozdzierający serce. Poeta pozwala nam przypuszczać, że list ten pozostawił bez odpowiedzi.

Postępowanie Goethego z Fryderyką rozmaicie było oceniane po wyjściu „Dichtung und Wahrheit,“ jedni usprawiedliwiali je, drudzy gwałtownie potępiali. Dzisiaj możemy na nie patrzéć jeżeli nie chłodniéj, to w każdym razie krytyczniéj. W znakomitych ludziach nie dopatrujemy samych cnót, wiémy bowiem, że oni bez wad być nie mogli. Powtóre opowiadanie Goethego w „Dichtung und Wahrheit“ o Sesenheimskiéj przygodzie jest sielanką, w któréj ogół tylko jest prawdą, a szczegóły—poetycznéni zmyśleniem. Goethe według własnego zeznania zapisał w swojéj autobiografii to, *czego* w życiu doświadczył, ale nie to, *jak* go doświadczył. Z rodziną pastora Sesenheimskiego zapoznał się on inaczéj aniżeli opowiada; rodzina ta inną była jak on ją opisuje; a prawdopodobnie i rozstanie się z nią odmienny miało przebieg.

Dowiedzioną jest rzeczą, że pierwsze odwiedziny Goethego w Sesenheimie przypadają nie na wiosnę 1771, ale w Październiku r. 1770, kiedy Wikary Wakefieldzki, któremu tak ważną rolę daje poeta w opowiadaniu swojém, był mu zupełnie nieznany. Tym sposobem upadają podwaliny całego opowiadania. Co do dalszych wypadków sam Goethe powiada, że mu niezbyt dobrze odrysowują się w pamięci ostatnie dni jego stosunku z domem pastora i nie ręczy by-

najmniéj za prawdziwość pojedynczych rysów, dodając, że one miejsce mieć *mogły*. Wiémy zaś napewno, że w Sesenheimie znalazł on miłą, dobrą rodzinę, do któréj się przywiązał niby na wieki, w któréj obecnością swoją sprawił zamięszanie i którą opuścił tak, że sobie tego sam przez czas długi darować nie mógł. Z Fryderyką zostawał on w stosunkach, będąc już nawet w Wejmarze. Z Frankfurtu posyłał jéj pierwsze swe drukowane prace. W Wejmarze odebrał od niéj list. W 1779 widział się z nią: nie poszła za mąż. Z tego czasu posiadamy list Goethego do pani von Stein. „Dzień niezwykle piękny, okolica szczęśliwa; wszędzie zieloność, zaledwie tu i owdzie zżółkły liść buku albo dębu. Wierzby w swojéj srebrzystéj jeszcze piękności, łagodne przyjemne powietrze po przez kraj cały, winogrona z każdym krokiem i z dniem każdym lepsze. Przy każdym domu wieśniaczym winna latorośl aż pod dach pnie się, w każdém podwórzu wielka obrośnięta altana. Powietrze miękkie, ciepłe, wilgotnawe; w duszy czuje się dojrzałym i słodkim jak winogrono. Gdyby Bóg chciał, mieszkalibyśmy tu razem. Ktoś nie takby prędko w zimie zamarzał, a w lecie wysychał. Ren i świetne wzgórza w pobliżu; zmieniające się lasy, łąki i pola do ogrodów podobne, sprawiają miłe na człowieku wrażenie i dostarczają mi rodzaj przyjemności, któréj długo brak mi było.“

Tak pisał w południe 25 Września. Wieczorem udał się do Sesenheimu, o czém w trzy dni potém dał następne sprawozdanie:

„25 wieczorem pojechałem trochę w bok ku Sesenheimowi, gdy inni podróż swoję w prostym przedłużali kierunku; znalazłem tam całą rodzinę, jak ją przed ośmiu laty zostawiłem; zostałem poprzyjacielsku i dobrze przyjęty. Ponieważ jestem obecnie tak czysty i spokojny jak powietrze, więc mi tchnienie dobrych i spokojnych ludzi jest bardzo pożądane. Druga córka z téj rodziny kochała mię kiedyś, piękniéj niż na to zasługiwałem i więcéj od innych, którym ja wiele namiętności i wierności poświęciłem; musiałem ją opuścić w chwili, kiedy ją to życie niemal kosztowało; zlekka o tém napomknąwszy, ażeby mi powiedzieć, co jéj jeszcze pozostało po chorobie z owych czasów; postępowała jaknajżyczliwiéj z tak serdeczną przyjaźnią od pierwszéj chwili, kiedym niespodzianie stanął przed nią na progu i kiedyśmy się nosami zetknęli, co mi wcale miłém było. Dodać muszę, że najlżejszém nawet dotknięciem nie zapragnęła obudzić w méj duszy dawnego uczucia. Oprowadzała mię po altankach, gdzie siedzieć musiałem i tak dobrze było. Mieliśmy najpiękniejszą pełnią; wypytywałem się o wszystko. Sąsiad, który nam dawniéj pomagał do bawienia się w sztukę, został przywołany i zaświadczył, że jeszcze przed tygodniem zapytywano go o mnie; balwierz musiał

przyjść także; znalazłem stare pieśni, którem tu komponował, karetę, którą namalowałem, przypominaliśmy sobie niektóre figle z owych czasów i znalazłem wśród nich wspomnienie o mnie tak żywém, jak gdybym się zaledwie przed półrokiem rozstał z nimi. Starzy byli serdeczni; utrzymywano, żem odmłodniał. Zostałem na noc a nazajutrz o świcie odjechałem pożegnany przyjaznemi twarzami, tak że znowu z zadowoleniem myśléć mogę o tém ustroniu i żyć w pokoju z duchami tych przejednanych.“

Fryderyka więc przebaczyła Goethemu. A jednak poeta po latach tylu doznawał dręczących wyrzutów sumienia. Dlaczego? Młode ośmnastoletnie dziewczę było chore na piersi. Oddalenie się Goethego spowodowało groźną chorobę.... Sądzono, że Gretchen z Fausta przedstawia Fryderykę; ale właściwiéj jest Maryą Baumarchais z Clavigo wziąć pod uwagę. Wszystko to, co Goethe miał sobie do zarzucenia z powodu Fryderyki, odnajdujemy w charakterze Claviga, podczas gdy bohatérska łagodność Maryi w kruchym ziemskim objawie, tak pięknie odpowiada nawet temu, co pisze poeta o postępowaniu Fryderyki w roku 1779.

Fryderyka w „Dichtung und Wahrheit“ jak i cała Sesenheimska sielanka jest mięszaniną, powstałą ze słabych wspomnień i nadzwyczaj silnéj fantazyi poetyckiéj; jest zatém takim utworem sztuki, jak np. Lotta w Werterze. Fryderyka jednak rzeczywista nie była odrodną siostrą Fryderyki idealnéj....

Pośród wzruszeń miłosnych przygotowywał się Goethe do egzaminu. 6 Sierpnia 1771 roku otrzymał stopień *licencyata* nie zaś doktora, jak go odtąd zazwyczaj tytułowano. *Tezy*, których bronił, posiadamy; rozprawa atoli, dobrą łaciną napisana, nie doczekała się druku. Ojciec Goethego żądał „dzieła.“ Młody doktor powinien był wrócić z tomem poszanowanie nakazującym. Starzec pochwalił nawet temat i opracowanie; ale wydział uniwersytecki miał pewne wątpliwości. Praca Goethego traktowała o tém, że prawodawca obowiązany jest ustanowić pewien kult religijny, od któregoby nie wolno się było uchylać ani duchownym, ani świeckim. Z tego tematu, natchnionego przez Roussa i Herdera, widzimy, jak były naówczas rozpowszechnione idee, które w dwadzieścia lat potém tak szalone wydały we Francyi owoce. Rzeczpospolita francuska nie tylko burzyła, jak dzisiejsza komuna, lecz miała również pomysły budownicze. Znosząc religią katolicką, nie chciała przecięż pozostawić ludu bez żadnego kultu. Prawodawstwo zaprowadziło kult rozumu, któremu na ołtarzach publicznych zapalano ognie ofiarne. Rousseau w końcu swego *Contrat social* rzucił myśl o religii państwowéj a w końcu *Emila* nadał téj religii przyszłości poraz pierwszy

formy zewnętrzne. Na wyspach błogosławionych odnajduje się u niego cała oczyszczona, odrodzona ludzkość i w świątyniach greckich czci najwyższą Istotę. Wyraz *grecki* znaczył wtedy tyle co *czysto-ludzki*.

O ile Goethe w rozprawie swojéj rozwinął własne idee, a o ile poszedł za Roussem, nie wiémy. On sam zawiadamia nas, że ustanowienie wszystkich religij za skutek działalności prawodawczéj poczytywał a powstanie protestantyzmu jako ostatni tego dowód przytoczył. Że dziekan nie chciał, ażeby praca ta wyszła na świat jako uniwersytecka rozprawa, przyczyną to być miało, iż w niéj znajdowało się kilka wycieczek przeciwko głównym zasadom chrześcijańskim.

Otrzymanie stopnia odbyło się szczęśliwie. Towarzystwo, z którém Goethe obiad jadał, dostarczyło oponentów. Nastąpiła zwykła w takich razach biesiada (Schmaus) i Goethe wyjechał ze Strasburga.

III.

Goethe jako adwokat.—Pobyt w Darmstadzie.—Panna Flacksland.—Scena niemiecka.—Götz.—Zachowanie się Herdera.

Powróciwszy do Frankfurtu, został Goethe adwokatem. Ponieważ bardzo pilnie urzędowemi czynnościami się zajmował, ojciec nie miał nic przeciw literackim zebraniom, które do domu jego wielu niepospolitych ludzi wprowadzały. Następstwa ówczesnego przewrotu umysłowego przedzierały się nawet do stosunków prawnych. Zamiast dotychczasowego pedantycznego ich wykładu i traktowania miały wejść w użycie czysto ludzkie zasady. Goethe powiada, że za wzór wziął sobie obrońców francuskich; zdaje się jednak, że ich o wiele przewyższył... Przy pierwszym procesie obrońca strony przeciwnéj tak się uniósł, że spór prawny przekształcił się w osobistą kłótnię, w któréj do obelg prawie przyszło. Obaj adwokaci dostali naganę od sądu; gwałtowne odpowiedzi Goethego wzbudziły w prokuratorze obcą mu zresztą porywczość. Poeta wygrał proces: ale w późniejszych sprawach mniéj się utożsamiał ze stronami, których bronił. Zajmował się on adwokaturą głównie dla dogodzenia życzeniom surowego i zrzędnego ojca, który lubił porządek, żądał praktyczności i rozumu w interesach majątkowych. Matka przeciwnie była umysłem gienialnym: umiała zrozumieć swego syna i każdém jego powodzeniem literackiém niezmiernie się cieszyła. Plotek nie cierpiała; wszystko natomiast, co było wielkie, świat wstrząsające,

co mianowicie miało znaczenie literackie, chętny posłuch u niéj znajdowało.

Ważniejszą atoli od wpływów ojca i matki, Frankfurtu i praktyki prawnéj była znajomość z człowiekiem, którego w Mefistofelesie unieśmiertelnił, a którego znaczenie dla duchowego rozwoju poety da się jedynie porównać ze znaczeniem Herdera. Człowiekiem tym był Merck.

Herder zaprosił Goethego do Darmstadtu, gdzie mieszkała jego narzeczona Karolina Flachsland. Panna ta należała do wyższego towarzystwa, ocierającego się o dwór. Ledwie z romansów Jean Paula można wyrobić sobie pojęcie o charakterze tego towarzystwa. Przewaga życia duchowego, kołysanie się w krainie wyższych idei energia zwrócona na wewnątrz; a obok tego prostota i zaufanie wzajemne, jakich świat dzisiejszy przedstawić nie może: oto cechy najważniejsze. W kołach tych Goethe wkrótce zasmakował i tu po raz pierwszy wystąpił tylko jako poeta i nic więcéj. Tu spotkał Mercka, który był punktem środkowym towarzystwa darmstadzkiego. Towarzystwa takie wtedy dopiéro czują się doskonale zjednoczone, kiedy który ich członek, mający bezwzględne zaufanie, weźmie na siebie rolę nielitościwego krytyka. Taką rolę grał w Darmstadzie Merck, z wystającym nosem a tygrysim wzrokiem. W charakterze jego dziwna odbiła się sprzeczność: z natury dobry i uczciwy tak się rozgoryczył na świat, że czuł w sobie nieprzezwyciężoną skłonność do uchodzenia za franta i nicponia. Rozumny, spokojny w jednéj chwili, mógł w następnéj zrobić coś takiego, co oburzało, raniło lub nawet szkodziło. Umysł szeroki, rozwinięty, wykształcony, dawał sąd zdrowy i trafny, który zastosowany będąc do sarkazmu ciął dotkliwie. Był miłym i pożądanym gościem dla tych, dla których jego dowcip przestał być strasznym. W charakterze jego było coś, co Goethemu dawało wiele do myślenia i domagało się koniecznie jakichś wyjaśnień. Wywierał on wpływ ogromny nietylko na innych, ale na samego poetę; a jednak ten pisząc w starości swoje wspomnienia i przyznając mu wszystkie umysłowe zalety, przymiotu „szlachetności“ mu odmawia. Szlachetność zaś według Goethego ma *pospolitość* za przeciwieństwo i to właśnie w Mefistofelesie jest istotnie szatańskim rysem, że pomimo braku twórczości z własnéj inicyatywy, tak jest niezbędny dla Fausta: ażeby być czynnym albo wogóle objawić osobistość swoję, musi Mefistofeles przeciwstawić się myśli obcéj. Jeżeli takiéj sposobności nie ma, to umysł jego nie objawia fosforescencyi, jak gdyby nie istniał wcale.... Podobnież Merck był rodzajem wybornego słownika, w którym można się dowie-

dzieć o każdym wyrazie, ale w którym nie znajdzie się ani jednéj myśli dla niéj saméj. Był to duch przeczenia.

Taki człowiek był duszą towarzystwa darmsztadzkiego. Kiedy w niém bawił Goethe, czytano razem, spacerowano, marzono, pito poncz, który był wtedy rodzajem ambrozyi drugiéj klasy, znajdujący się z konieczności wszędzie, gdzie się bogowie téj ziemi zgromadzali, tańczono, a wreszcie i całowano się. Mówiąc ten ostatni wyraz, nie wyłącza się wcale kobiét. Karolina Flachsland należała oczywiście do tych zebrań i była ważną dla Goethego osobistością. Wzniosła namiętność i skłonność do płaskiéj wyrachowanéj rzeczywistości: oto niezbyt miła mięszanina, która wydała jéj charakter. W roku atoli 1772, będąc młodą, energiczną, czując, że ją kocha jeden z najpierwszych mężów ówczesnych w Niemczech (Herder), bardzo wdzięcznie się przedstawiała ze swojém burzliwém usposobieniem. Była szczególną przyjaciółką Goethego; broniła go wobec Herdera i robiła mu „honory“ w Darmstadzie. Wtedy to powstało wiele najpiękniejszych wierszy Goethego a między innemi: Śpiew wędrowca podczas burzy (Wanderers Sturmlied). Herder zdaje się czuł już naówczas, że potęga duchowa Goethego o ziemię go powali; żartem nazywa on Goethego w jednym z listów to „zanadto wróbelkowatym“ to znów „wielkim Goethem.“ Takie dowcipy nie powstają w niezamąconém usposobieniu.

W duchu poety rozwinęła się w tym czasie niezmierna produkcya myśli; wchodzi on w stosunki z najznakomitszemi wtedy w Niemczech ludźmi, czyta wszystkie nowości, przyswaja je sobie, opuszcza drogi zwykłe i ulatnia się niemal przed rozwagą naszą. Niepodobna dokładnie odrysować człowieka takiéj siły w téj chwili najświetniejszego rozwoju, kiedy nawet dość pospolici ludzie zwykle przybierają pozór nadzwyczajnego talentu. Gdyby wszystkie młode dziewczęta zostały w dalszém życiu tém, czém się po większéj części między 16 a 18 rokiem wydają; gdyby wszyscy młodzieńcy dotrzymali tego, co między 20 a 25 obiecują: to piękność, dowcip, gienialność, niewyczerpana siła życia w latach późniejszych nie wzbudzałyby tak wielkiego podziwienia. Szczęściem każdy rozkoszując się owém kwieciem życia, wierzy w jego wiecznotrwałość. Wiarę tę we własną niewyczerpaną siłę młodości, podniesioną do potęgi, musimy mieć na uwadze, ażeby sobie wyobrazić to nadzwyczajne zjawisko, jakie przedstawiał Goethe w tych właśnie latach i jakiém być nie przestał aż do końca.

Herder wiedział doskonale, że bywają ludzie wznoszący się dziwnie po nad resztę ludzkości; lecz jako umysł krytyczny nie chciał przyznać własności téj Goethemu bez prób stanowczych. Goethe na-

pisał *Götza z Berlichingen.* Sposób, w jaki sztukę tę przyjął Herder, da nam poznać to, co możnaby nazwać „nawróceniem“ Herdera w stosunku do Goethego, którego do téj pory lekko traktował...

Götz z Berlichingen był pierwszą pracą we Frankfurcie dokonaną. Jestto dzieło, które Goethego odrazu wielkim poetą w Niemczech uczyniło, odtąd nie mogło być sporu o jego miejsce w rzędzie wieszczów. Składano mu hołd jako temu, który pierwsze zabiérał miejsce, zanim nazwisko jego poznano, gdyż Götz wyszedł bezimiennie. Przeciwników miał on jeszcze w tych jedynie, którzy mu zazdrościli, oczy przymykali, albo téż byli za starzy, ażeby mogli uczuć, jaki duch wiał ze sztuki. Do tych ostatnich należał Fryderyk II.

W Niemczech nie mógł się wyrobić teatr narodowy taki, jaki spotykamy w Hiszpanii, Anglii, Francyi, Włoszech. Brak było życia politycznego, brak stolicy skupiającéj w sobie bogactwa materyalne i umysłowe, brak ukształconéj szlachty, którаby chciała i umiała popiérać scenę. Rozwój Niemców odbywał się w sercach i mózgach, ale nie w czynie. Gdy Niemiec jest wzruszony, najchętniéj trzyma ręce w kieszeni, podczas gdy Włochowi np. zamałoby było w podobnym razie tuzina ramion. Największe burze duchowe przechodzą w Niemczech, nie tworząc fal na powierzchni; wszystko odbywa się w głębi. W Niemczech masy nie działały. Poeta nie mógł się naocznie przypatrzéć ludowi w tych zapasach, z których śmierć, albo życie wynika. Maszyna polityczna była dla niego gęstą zasłoną przykryta. Jeżeli poeta niemiecki chciał stworzyć bohatéra, to fantazyi jego przedstawiały się tylko znakomitości książkowe; dlatego téż w jego utworach tylko papiérowi bohatérowie występować mogli.

Lessingowi jedynie poszczęściło się widziéć cokolwiek świata. Miał on przed sobą życie obozowe wojny siedmioletniéj, pracował na życie w Berlinie za Fryderyka II; krwawym trudem musiał się sławy dobijać. To téż poznawszy scenę francuską, hiszpańską i angielską, o ile uczony niemiecki poznać ją mógł w kraju własnym; zdobywszy doświadczenie, którego ówczesny nędzny teatr niemiecki mógł dostarczyć, zelektryzowany Diderotowskim sposobem tworzenia, napisał *Minnę von Barnhelm*, pierwszą niemiecką kreacyą sceniczną po długotrwałym chaosie. W niéj miał aktor charaktery, do których serce mu się rwało. Mimo to Lessing z początku pełen nadziei co do przyszłości sceny, przesyciwszy się i aktorami i publiką, skończyć musiał na dramatach do *czytania* przeznaczonych.

Goethe odebrał pierwsze teatralne wrażenia we Frankfurcie, gdzie bawili aktorzy francuscy. W Lipsku znalazł Gottscheda, przedstawiciela sceny francuskiéj, któréj utwory on sam wraz z żoną

tłómaczył. Dlatego też Goethe napisał swoich „Spółwinnych“ i tłómaczył aleksandrynami „kłamcę“ Kornela. W Strasburgu znowu miał scenę francuską z tą tylko różnicą, że grali na niéj lepsi aktorowie. Ale wtedy właśnie działa nań Szekspir i naiwna mowa dawnego teatru niemieckiego. Wszystko to nie wywołało w nim ani na chwilę myśli pisania dla sceny. Götza pisze bez zamiaru przedstawienia go, lecz tylko jako romans dyalogowany; bez doświadczeń Lessinga, własném przeczuciem zajął ostateczne jego stanowisko. Pisał dla téj jedynie sceny, którą każdy w fantazyi swojéj może urządzić. Stąd też pierwotny tytuł sztuki był następny: „Historya Gottfryda z Berlichingen o żelaznéj ręce, dramatyzowana.“

Goethe czytał autobiografią Götza (ur. 1480 † 1562), która wyszła w Norymberdze 1731. Był to najczystszy produkt natury. Człowiek, co przez życie całe miał do czynienia tylko z szablą i końmi, wśród przymusowego odpoczynku, zaczyna spisywać dzieje swego życia dziką niemczyzną, bez składni, bez przecinkowania, z kréskami tylko, jakby tam, gdzie musiał odetchnąć na chwilę; drukować tego nie myślał, ani nawet odczytywać, pragnął jedynie dalekim potomkom pozostawić prawdziwą opowieść o swoich dobrych zamiarach i o niesprawiedliwém ze sobą postępowaniu.

Życie jego, poświęcone w połowie ciągłym wyprawom wojennym, a w połowie przymusowemu spoczynkowi, gdy za przewodniczenie powstaniu chłopów w r. 1525 złożył przysięgę spokojnego zachowania się, nie przedstawiało nic tragicznego. Goethe w utworze swoim, porobiwszy dowolne dodatki i opuszczenia, doprowadził Götza do 30 roku życia i kazał mu umrzéć w więzieniu z zawiadomieniem, że w chwili śmierci, gdy już zapóźno było, otrzymał uniewinniający go wyrok. Dlaczego dopuścił się tak krzyczącéj niezgodności z dziejami?

Pierwsza myśl o Götzu powstała podobno jeszcze w Strasburgu; ukształtowała się jednak dopiéro we Frankfurcie, kiedy Goethe dla zadowolnienia ojca adwokaturą się zajmował. Znienawidził on to zajęcie, przeklinał je, ale, zwyczajem poety i Niemca w dodatku, nie miał dostatecznéj siły do wyrzeczenia się go i sprzeciwienia się życzeniom ojca. Wówczas położenie swoje we Frankfurcie porównywał z więzieniem Götza w Hornbergu. Osobiste swoje uczucia połączywszy z ogólném przekonaniem młodzieży, że ówczesne stosunki niemieckie były nieznośne a jednakże zmienić się nie dawały; wybrał Götza dla wypowiedzenia tego, czego jemu samemu wypowiedzieć nie było wolno. Słowa Götza nabiérają tajemnego znaczenia jakiegoś manifestu, który był wyrazem uczuć młodego pokolenia. Z drugiéj strony obudzone przez Roussa dążenie do stanu na-

tury, kazało widzieć w Götzu przedstawiciela prawdziwéj, wielkiéj, szlachetnéj niemieckiéj natury, która została zgnębiona i zdeptana przez obce romańskie wpływy. W walkach reformacyi nie dopatrywał wówczas Göthe nastania lepszego porządku rzeczy, ale upadku świeżych i zdrowych pierwiastków. Widząc swój naród w opłakanéj zależności zarówno politycznéj jak estetycznéj od obcych narodów, dostrzegał poeta zwrot ku złemu w przyjęciu cudzych instytucyj, co miało miejsce w okresie reformacyi; i dlatego otoczył gloryą czasy feudalne, w których indywidualizm wygórowany sam o sobie myśléć musiał, udręczonych bronił, złych karał; dlatego ze zwykłego wojownika, spokojnie umierającego na swém łożu, zrobił bohatéra-męczennika. Goetz, przedstawiciel najczystszéj niemieczczyzny, popada w zawikłania z powodu wpływów romańskich. Pojęcia jego mięszają się, zostaje mimo chęci buntownikiem a mimo wiedzy — przestępcą. Wobec rzymskiego prawa, które dawny niemiecki samorząd zniosło, staje się winowajcą, *Weislingen* zaś ginie na dworze, na który wkradła się romańska delikatność i przewrotność. Wszystko wreszcie poddaje się intrygom i powabom Adelajdy, któréj krew niemiecka zepsuta została. Wszędzie uczciwość przegrywa wobec machiawelskiego rozumu; a romańska bezosobowa formuła zwycięża indywidualną myśl prawa niemieckiego. Jedność życia z naturą zrywa rycerz niemiecki, właściwy według Goethego przedstawiciel narodu, i idzie do miast lub na dwory książąt i królów.

Stosunki ogólne z okresu reformacyjnego przedstawiły się Goethemu jako odwzorowanie tego, co za jego czasów istniało z tą tylko różnicą, że za jego czasów wszystko poszło na gorsze. Na czele społeczeństwa spostrzegł cesarza, najwyższego władcę kraju, wszechpotężnego, którego praw żaden dokument objąć nie mógł, a który jednak, chcąc powagę swoję w jakimkolwiek czynie urzeczywistnić, wszędzie *uprawniony* opór spotykał. Obok cesarza duchowieństwo. Podług zasady podległe cesarzowi i papieżowi, faktycznie niezależne ani od jednego, ani od drugiego; podług teoryi biédne i bez majątku; faktycznie w posiadaniu najtłustszych części Niemiec; podług teoryi: wyraziciele ruchu duchowego; faktycznie — najgwałtowniejsi przeciwnicy postępu.

Obok cesarza i duchowieństwa—miasta, jądro Niemiec, na zewnątrz jedyne potęgi, mogące reprezentować ojczyznę i bronić spółobywateli. Były to miejscowości, napełnione złotem, które pożyczać musieli i cesarz i książęta, ażeby jakkolwiek ruszać się mogli. I te miasta, zaprzestawszy już oddawna działać wspólnie, były

skazane na stagnacyą polityczną i bezpłodne zachowawcze istnienie.

Obok nich znowu książęta świeccy, pragnący zostać samoistnemi władcami kraju, ale niemogący doczekać się sposobności rozszerzenia swojéj potęgi. Obok nich rycerstwo, *enfants terribles*, ówczesnego wieku, najniebezpieczniejszy, najdumniejszy, najniezbędniejszy element. Teoretycznie zobowiązani stawać zbrojnie na zawołanie cesarza i panów lennych; faktycznie niezależny dziki tłum, z którym potrzeba było pojedynczo po szczególe wchodzić w układy, jeżeli się pomoc jego mieć chciało. Tłum ten zawsze oczywiście zastrzegał sobie pocichu możność przejścia na tę stronę, która jego interesom najwięcéj korzyści zapewnić mogła. Pomiędzy sobą w wiecznych zatargach; zawsze gotów wystąpić przeciw każdéj władzy zwierzchnicznéj; ale duchem kastowym tak przejęty, że cesarz musiał dla niego mieć największe względy, jeżeli chciał wojnę jaką prowadzić.

Słowem dziwny chaos. Nikt nie jest zuchwały. Każdy żąda tylko swego prawa; nikt samowiednie nie chce ukrzywdzić drugiego; ale nikt nawzajem ukrzywdzić się nie daje. Każdy chce dobrowolnie poddawać się prawom i sądom, które mają prawo go sądzić; ale nikt nie chce praw narzuconych, którychby sam za słuszne nie uznał. A w końcu każdy zachowuje sobie możność przejrzenia sprawy wobec własnego sumienia; a jeżeli wyrok wydany przez obcych nie znajdzie sankcyi tego trybunału, to go poprostu kasuje powagą własną.

Wszystkie te pierwiastki życia niemieckiego w XVI stuleciu odbiły się w Goetzu z Berlichingen, który tak dalece był wytworem swego czasu, że mógł zostać jego wyobrazicielem, chociaż ze wspomnieniem jego nie łączyło się nic, coby „czynem“ dziejowym nazwać można było (1).

Goetz był parę razy przerabiany. Jednę z przeróbek posłał Goethe Herderowi. Herder, któremu się sztuka podobała, nie chcąc jednak uznać jeszcze wyższości młodzieńca, długo mu nie odpisy-

---

(1) Ogromne historyczne znaczenie „Götza“ jest niezaprzeczone. Co do artystycznéj jego wartości na dzisiaj, zdania się rozchodzą. Jedni nazywają go arcydziełem; niewierność dziejową tłómacząc tém, że w Götzu nie tyle przedstawione są Niemcy w XVI stuleciu ile *niezmienne* Niemcy w istocie swojéj, luźność zaś scen i brak jedności akcyi wyjaśniając orzeczeniem, że Götz jest dramatem do czytania. Tak robi Hermana Grimm. Inni zaś (jak np. Hettner I, 148), uznając w Götzu dotknięcie ręki mistrza, odmawiają mu dramatyczności w kompozycyi, nazywając jego rozwiązanie smutném, nie zaś tragiczném.

wał, wreszcie odpowiedział ostro i z góry, że dramat jego jest zimny, że go zepsuł Szekspir. Goethe przyznał mu we wszystkiém słuszność i—nie zmieniając w niczém pierwotnego rękopismu, napisał Goetza poraz drugi, obcinając wszystkie zbyt bujnie wyrosłe konary pierwszéj redakcyi.

W Czerwcu 1773 roku książka wyszła z druku. Herder był dosyć szlachetnym, ażeby otwarcie wyznać wielkie wrażenie, jakiego doznał przy jéj czytaniu; odtąd pozwala Goethemu istnieć obok siebie a może nawet panować nad sobą.

Utwór Goethego podobał się ogólnie. O nieznanym poecie mówiono ze czcią prawdziwą. Bürger, przeczytawszy Goetza, unosił się nad prostotą i naturalnością bohatéra, winszował autorowi, że wolał słuchać głosu przyrody niż „tyrańskiéj sztuki;“ dowiadywał się o jego nazwisko, ażeby mu ołtarz w sercu swojém zbudować. Egzemplarze rozchodziły się szybko; ale Goethemu, który wraz z Merckem dał nakład, korzyści pieniężnéj nie przyniosły, gdyż znalazł się księgarz, co je bezprawnym przedrukiem silnie podciął.

IV.

Pobyt Goethego w Wetzlarze. — Karolina Buff i Kestner.—Pani Laroche i jéj córka. — Brentano.—Samobójstwo Jerusalema.—„Cierpienia młodego Werthera“ i Nowa Heloiza.—Znaczenie Werthera.

Zanim Goethe ostatecznie wykończył Goetza i do druku go podał, zaszły wypadki, które mu dostarczyły materyału do nowego utworu. Na wiosnę 1772 roku postanowiono we Frankfurcie, ażeby młody „doktór“ przerwał rozpoczętą praktykę prawniczą i udał się do Wetzlaru na praktykanta przy najwyższym trybunale krajowym (Reichskammergericht). Trybunał ten był punktem centralnym, w którym schodziły się wszystkie procesy, prowadzone w niezliczonych państewkach świętego Cesarstwa rzymskiego. Obfitość atoli aktów nie odpowiadała w Wetzlarze ilości prawników; stąd pochodziły rozmaite nadużycia. Głównem w końcu staraniem procesujących się było, ażeby sprawa kolei się doczekała. Stan taki trwał lat 160, a rewizya zarządzona przez Józefa II odkryła jego haniebne strony. Dla początkującego prawnika, którvby chciał zrobić karyerę, nie było lepszéj sposobności, jak wziąć udział w pracach Wetzlarskich. Goethe udał się tedy do Wetzlaru. Tam znalazł się w kółku, które go tak otoczyło i zamknęło, jak plebania w Sesenheimie; rozpoczął się jego stosunek do Lotty. Idąc za popędem, skłaniającym go do zżycia się z miłą choć obcą rodziną, uczuł się

Goethe jakby u siebie w sławnym „domu niemieckim,“ który dotychczas stoi w Wetzlarze. Lotta, córka najstarsza ekonoma Buff, była prawie zaręczona, a Kestner, który coraz bardziéj w prawa narzeczonego wchodził, był ścisłym przyjacielem Goethego. W sercu poety powstaje walka, czy ma wyrugować Kestnera z serca Lotty, coby mu się może udało, czy téż nie. Trwa to kilka miesięcy, aż nakoniec potrzeba było Wetzlar opuścić. Pewnego dnia odjeżdża Goethe nie bez ostentacyi; atoli jako rezultat walk wewnętrznych pozostaje serdeczna przyjaźń między nim a całą rodziną Buff, przyjaźń zaświadczona wzajemnemi listami.

Lotta, która „domem niemieckim“ zarządzała, a potem Kestnera zaślubiła, nie dorosła w prostocie swojéj do wysokości bohatérki romansu. Potrzeba było samobójstwa człowieka obcego zarówno Goethemu jak Lotcie, ażeby utworzyć zewnętrzną romansu osnowę. Ale i to jeszcze nie wystarczało do napełnienia téj osnowy treścią wewnętrzną. Goethe musiał przybrać jeszcze inną, zupełnie różną od Lotty postać, ażeby je w idealnym stopić kształcie. Przypatrzmy się dokładniéj tym pierwiastkom składowym „Cierpień młodego Wertera.“

Od 9 Czerwca do 10 Września 1772 a zatém kwartał cały żył Goethe z Lottą i Kestnerem w Wetzlarze. Podobnie jak w opowiadaniu Sesenheimskiéj sielanki tak i w przedstawieniu tego pożycia Goethe nie oddaje w „Dichtung und Wahrheit“ rzeczywistości wypadków, ale je kreśli w rysach mistycznych. Z kilku świadectw autentycznych wnieść się godzi, że Goethe marzył o ideale kobiéty niemieckiéj i ideał ten widział w Lotcie. *Merck* zdaje się odegrał tu rolę Mefistofelesa. Przybywszy razu pewnego do Wetzlaru, zaczął wystawiać na próbę bezwzględny podziw Goethego dla Lotty i potrafił go o tyle ochłodzić, że tenże opuścił Wetzlar. Widząc, że Lotta skłania się ku niemu, że Kestner szlachetnie ustępuje mu z drogi; a nie czując w sobie siły przyjęcia ani miłości ani poświęcenia nie chciał unieszczęśliwić dwojga serc i postanowił się oddalić. Obojętność atoli, z jaką Lotta rozmawiała o jego odjeździe i o nadziei widzenia się w przyszłém życiu, obudziła w jego sercu coś, czego sam się nie domyślał. Był dosyć silnym, ażeby z własnéj woli opuścić Lottę; lecz zobaczywszy, że to postanowienie nie pozostawia w sercu dziewczyny żadnego niepokoju, przekonał się, że zanadto sile swéj zaufał; obudziła się w nim namiętność, którą wyraził w dwu biletach pisanych do Lotty i Kestnera w wieczór rozstania się, listy, przepełnione rozpaczliwém natchnieniem i mową, która później w „Werterze“ się odbiła. Nazajutrz patrzy już na rzeczy spokojniéj i w tém usposobieniu dodaje parę wyrazów; następnie bez

troski już podróżuje wzdłuż rzeki Lahny, a w pół roku potém sam z siebie lekko żartuje. Lotta być może była jego kochanką, o ile on ją podniósł i wyszlachetnił w swojéj imaginacyi; obojętność wszakże Lotty nie mogła go nie podrażnić — pozornie na krótko, w gruncie jednak na dość długo.

Merck, chcąc dokończyć otrzeźwienia Goethego, zaproponował podróż, któréj ostatecznym wynikiem była możliwość napisania „Cierpień młodego Werthera.“ Zaprosił go w odwiedziny do pani Laroche, mieszkającéj nad Renem. Pani ta była czytaną w swoim czasie powieściopisarką, choć dzisiaj mało który Niemiec zna jéj utwory. Los miotał nią na różne strony, lecz nigdy nie pozwolił jéj rozwinąć się w całéj pełni ducha. W młodości z pięknym Włochem zaręczona, z woli ojca rozeszła się z nim dla różnicy religii. Miała potém nieszczęśliwe pożycie małżeńskie z Wielandem, który całe życie pozostał jéj przyjacielem, ale z powodu swojéj matki mieszkać z nią nie mógł. W dziesięć lat potém z zewnętrznych względów, zaślubiła pana von Laroche i miała już dorosłe dzieci, kiedy wyszło pierwsze jéj dzieło wydane przez Wielanda p. n. „Dzieje panny von Sternheim,“ romans sensacyjny, który ją wsławił. Rozbiorem tego romansu Goethe jako recenzent pierwsze niemal literackie wawrzyny otrzymał. W „Gelehrte Frakfurter Anzeigen“ pojawiła się 14 Lutego roku 1772 jego recenzya drugiéj części powyższéj powieści. Goethe tak pochlebnie osądził ją, dawszy naprzód odprawę recenzentom pierwszéj części, że prawdopodobnie zjednał sobie autorkę, z którą się poraz pierwszy zapoznał na wiosnę 1772. Goethe został rozczarowany; bo zamiast prostéj, naiwnéj duszy, jaką była bohatérka romansu, znalazł damę, znającą dobrze świat i nie bez pretensyi do piękności zajmującą pierwsze miejsce w salonie; był więc na nią „gniewny jak lew“ wedle wyrażenia narzeczonéj Herdera. Goethe w „Dichtung und Wahrheit“ o téj pierwszéj znajomości wcale nie wspomina, a mówiąc o odwiedzinach w nadreńskim zamku pani Laroche w bardzo pochlebnych przedstawia barwach zarówno ją jak i cały skład domu. Z jego opowiadania zdawałoby się, że bawił u pani Laroche dosyć długo, gdy tymczasem wiadomo, że był tam tylko dni pięć. Zamiana ta tłómaczy się po części tém, że sławna Bettina była córką najstarszéj córki pani Laroch Maksymilianny, dla któréj poeta miał pewną serdeczną skłonność.

W domu pani Laroche zetknął się Goethe poraz pierwszy z tém co nazywamy „panującą literaturą.“ Dotąd zostawał on pod wpływem albo profesorów, albo też młodszego pokolenia, walczącego z przyjętemi tradycyjnemi zasadami, będącego nową firmą, re-

prezentowaną przez nowych ludzi. Pani Laroche przeciwnie pod opieką Wielanda brała udział w korzyściach staréj wypróbowanéj firmy, mającéj doświadczenie i potęgę. Wieland był człowiekiem, który coś znaczył w Niemczech, którego wpływ nie od wczoraj datował. A jak on sam czuł się zupełnie pewnym i bezpiecznym na gruncie niemieckim, tak i ci, co mieli zaszczyt należéć do jego firmy, mieli niepłonną otuchę. Stosunek Goethego i Wielanda w tych czasach polegał na cichéj walce. Wieland ze zręcznością człowieka obeznanego z rzemiosłem chciał utrzymać swoję powagę, aż wreszcie poddać się musiał.

Życie w domu pani Laroche było bardzo miłe, dopóki Merck nie przybył. On sarkastycznym swoim dowcipem zaniepokoił i skwasił towarzystwo. Szczęściem prędko pomyślano o odwrocie. Goethe „powracającym jachtem“ reprezentantki urzędowéj komunikacyi na Renie pojechał do Moguncyi a stamtąd w najlepszém usposobieniu do domu i entuzyastycznie dziękował pani Laroche za doświadczone od niéj dowody przyjaźni....

We Frankfurcie tak mu dokuczyły wszystkie stosunki a między innemi i domowe, że nie widząc żadnego środka do wybrnięcia z błota powszedniego życia, nosił się z myślami samobójstwa, które zwalczać musiał. Wśród takiego usposobienia odbiéra list od Kestnera, z którym zawsze jak najserdeczniéj korespondował, list donoszący, że młodzieniec znany mu i z Lipska jeszcze i z Wetzlaru, syn sławnego teologa, nazwiskiem Jerusalem, zakochawszy się w żonie Wetzlarskiego urzędnika, zastrzelił się zrozpaczony (w Październiku 1772). Kestner sam pożyczył mu pistoletów. Wypadek ten był uderzeniem piorunu dla poety, ale bynajmniéj nie z powodów odnoszących się do Lotty lub Jerusalema. Fantazya jego wystawiła mu, że Jerusalem i on sam stanowią jednę osobę: widzi się teraz jakby w zwierciedle. Równocześnie kochanka Jerusalema przybiéra rysy i postać Lotty. Tym sposobem dwie główne postacie romansu: Werther i Lotta wywalczają sobie odrębne istnienie. Teraz rozpoczyna się wewnętrzna praca nad temi postaciami. W Listopadzie z powodu jakichś interesów jedzie Goethe do Wetzlaru, widzi się tam z Lottą, zbiéra dokładniejsze wiadomości o życiu i charakterze Jerusalema. Zdaje się, że wtedy powstała już myśl napisania romansu, któryby pamięć Jerusalema potomności przekazał. Ale na tém się na teraz skończyło. Poeta zajął się na nowo Goetzem, na wiosnę brał przyjacielski udział w ślubie Kestnera i Lotty. Gdy ci do Hannoweru wyjechali, nastąpiły naturalnie przerwy w ich stosunkach. Sława, którą sobie Goetzem zdobył, pobudza go do pracy. W rok dopiéro po śmierci Jerusalema pisał do Kestnera, że pracuje nad romansem,

ale rzecz idzie powoli. Dopiéro nowy wypadek ostatecznie zdecydował treść poematu. Maksymilianna Laroche, siedmnastoletnia dziewczyna, wyszła za Włocha Brentano i przeniosła się do Frankfurtu, gdzie Goethe musiał z nią zwiedzać miasto i wogóle pobyt uprzyjemniać. Goethe spostrzegł natychmiast, co z takiego stosunku wyniknąć mogło, i co rzeczywiście nastąpiło. Brentano był zazdrosny do tego stopnia, że Goethe pomimo prośb pani Laroche i pomimo przyjaźni dla Maksymilianny musiał się z nią rozstać. Otóż z cierpliwą pełną ufności postacią Kestnera połączył Goethe podejrzliwą figurę Włocha, męża Maksymilianny i utworzył owego nieznośnego Alberta, który potém Kestnerowi tyle zmartwienia sprawił a którego poeta napróżno złagodzić się starał w późniejszych wydaniach.

Takie były historyczne osoby i wypadki, które złożyły się na utworzenie szkieletu dzieła. Aby jednak ten szkielet powlec piękném ciałem i tchnąć w nie duszę, potrzeba było fantazyi poety, wrażliwéj na wpływ ówczesnéj atmosfery duchowéj. W całéj Europie sławne wtedy były dydaktyczne romanse Roussa. Nowa Heloiza (1760) i Emil (1762). Wpływ obu tych utworów jest największym, najrozleglejszym wypadkiem dziejowym nowszéj literatury. Wśród zepsutego francuskiego świata wprowadziły one zachwycające rozprawy o cnocie i niewinności. Romans został przez Roussa podniesiony do nowéj nieprzeczuwanéj dotąd wysokości, którą cześć otaczała. Richardson i powieściopisarze angielscy wogóle stworzyli lekturę dla kobiét, obszernie wyłuszczającą najprostsze stosunki i przepisy moralne; Rousseau rozprawia o kwestyach, które ówcześni filozofowie uznali za najważniejsze, i rozwiązuje je gruntownie a jednak jakby igrając. Nie suchy rozum, który się mylić może, ale czułe serce, które zawsze jest pewne swego, otrzymało rolę sędziego w sprawach moralnego porządku świata: i nikt przeczyć temu się nie ośmiela. Świat podziwiał St. Preux i Julią jako wielkich przedstawicieli tego, czém stulecie oddychało. Wierzono w nich tak samo jak w ideały Richardsona. Najwyższém pragnieniem było czuć jak oni i patrzéć na świat tak jak oni. Powietrze, którém Goethe oddychał, było przepełnione duchem Roussa. Porównajmy tylko Werthera z St. Preux a Lottę z Julią a przekonamy się, że bez kreacyj Roussa nigdyby postacie Goethego na świat nie przyszły.

Werther jest wyrzutkiem nie ludzkości, ale zepsutych stosunków ludzkich. Umié on odczytywać najniewyraźniejszy rękopism serca, ale odczytawszy go, idzie daléj, potrząsając głową. Pojęcie pracy w dzisiejszém znaczeniu wyrazu jest mu nieznane. On je, pije, ubiéra się jak gentleman i krytykuje. Świat jest zbyt nędzny, ażeby

mógł skłonić do innéj działalności takiego ducha jak jego. Bujając w powietrzu po nad kościołami i pałacami rozpatruje on melancholicznym wzrokiem, to co na niskiéj ziemi się dzieje. Najszlachetniejszém zajęciem najwyżéj ukształconego człowieka wydawało się naówczas niezadowolenie ze wszystkiego i szukanie powodów tego niezadowolenia, obrażanie się wszystkiemi instytucyami ludzkiemi bez najmniejszéj nawet próby przeciwdziałania.

Takim też człowiekiem jest St. Preux. Bohatér Nowéj Heloizy i Werther tak we wszystkich liniach przystają do siebie, jak dwa trójkąty równoramienne. Gdyby się byli kiedy w życiu spotkali, to patrzeliby na siebie z przestrachem, z jakim człowiek patrzy na swego sobowtóra. Energia obu zależy najzupełniéj od tego, co inni czynią, zostawieni sami sobie nie byliby w stanie kroku nawet postąpić.

Większa wartość Werthera polega na większéj sile poetycznéj Goethego. Pisząc „Cierpienia młodego Werthera“ nie pragnął on być ani filozofem, ani kaznodzieją. Poeci angielscy chcieli poprawić moralność, Rousseau chciał przekształcić całą ludzkość, w obu razach romans byłto środkiem do celu prowadzącym. Goethe zaś ani chciał zalecać samobójstwa, ani od niego odstraszać, pragnął tylko wydobyć ze swéj fantazyi to, co się w niéj narodziło, co go dręczyło i chciało przybrać kształt zewnętrzny. Chciał się wywnętrzyć, gdyż inaczéj pierś by mu rozsadziło. Utwór jego jest poematem. Stąd wyszła potęga jego wpływu i źródło żywotności.

Rousseau jednak wpłynął nietylko na ukształtowanie się postaci Werthera, ale również i na obrobienie. W Wertherze poraz pierwszy objawia się kult miejscowości i pogody, który zdaje się tak naturalnie wypływać z usposobienia Goethego, a który przecięż poeta niemiecki zapożyczył od Roussa. Rousseau pierwszy postawił człowieka w ustawicznéj zależności od potęg przyrody. Wpływowi słońca, nocy, pięknéj miejscowości przyznaje on zmianę w usposobieniu ludzi. Romanse Roussa pełne są malowideł natury martwéj, którą ożywiać umié. W Goethem znalazł ucznia, który o wiele mistrza swego przewyższył. Prawda, że oprócz Roussa działał nań w tym kierunku Herder, Ossyan, Homer. Ale Herder sam czerpał dopiéro z Roussa, tak że bez niego zarówno Herder jak i Goethe nie byliby się zagłębili w tajemnicze piękności Ossyana i Homera.

Postać Lotty o tyle od romansu Raussa zależy, że stając do pary z Wertherem jest nieszczęśliwą kochanką i że działa według natchnień serca a nie podług narzuconych jakichś zasad. Postać ta tak szczęśliwie jest utrzymana, że każde dziewczę może w niéj siebie odnaléść, a jednak powiedzieć sobie musi, iż ideału tego nigdy

nie dosięgnie. Tyle naturalności, dobroci i zdrowia nie posiadała żadna inna. Cała Europa była zachwycona i ciekawemi oczyma szukała pierwowzoru tego uroczego zjawiska, obok którego ani Pamela Richardsona, ani Julia Roussa nie mogły porównania wytrzymać. Lotta pozostała księżną zarówno w kole przyjaciółek Göthego jak i wśród jego poetycznych postaci. Jéj rodzina nawet tak rzecz tę rozumiała a wnukowie Lotty tak się zachowywali, jakby ich z Goethem łączyło pokrewieństwo duchowe, równoważne z cielesnem. Aż do czasu wstąpienia na tron Lotty wśród publiczności najwyższém idealném zjawiskiem w Niemczech była *Fanny* Klopstocka. Pani profesowa Heyne z Getyngi pisała do Herdera „pozdrów Pan swoję Fanny,“ tj. pozdrów pan swoję narzeczoną, któréj ja imieniem Fanny przyznaję najwyższe estetyczne szlachectwo. Ale skoro romans Goethego się ukazał nie było już nic doskonalszego nad Lottę. Młode dziewczęta, nazywające się Lottami, nie chciały nosić tego imienia, gdyż czuły się tego niegodne... Lotta była zupełnie innego pochodzenia niż Fanny. Brak jéj najlżejszéj nawet przymieszki sentymentalności i najmniejszego znaku skrzydeł anielskich, które w każdéj z postaci Klopstocka były widne. Lotta nie ma ani sladu jakiegoś wyniosłego od zwykłych mieszczanek wyróżnienia się, które jest właściwe idealnym damom dworskim Jean Paula a nawet wśród późniejszych postaci Goethego przedstawicielki znajduje. Lotta jest najprostszą i najmilszą niemiecką dziewczyną, o któréj nie da się powiedziéć nic szczególnego. Chętnie tańcuje, chętnie czyta poezye, umié marzyć; ale zaledwie posłyszy najmniejszy szelest w domu, odrazu spada z obłoków i staje się najzwyklejszą gospodynią. Tak jest gospodynią, nawet kiedy jest młodém dziewczęciem, gdyż około niéj kupi się gromadka młodszego rodzeństwa, któremu ona matkę zastępuje. Ta właśnie okoliczność najwięcéj zachwycała, najprostsza nawet gąska mogła ją wziąć za ideał i nie czuć się zanadto od niéj oddaloną. Żywioł ten rozbroił tych nawet, którzy w postaci Werthera widzieli coś szkodliwego. Lotta wszystko naprawiła. Co w domowym trybie życia Götza przeniósł Goethe do czasów minionych, to przedstawił obecnie w obrazie własnéj swéj epoki i poezyą domowego ogniska. Wikary Wakefieldzki Goldsmitha nie przedstawia takiego ideału; życie rodzinne jest tu tylko polem próby, na którém robią się doświadczenia. Tak samo w romansie Roussa: późniejsze szczęśliwe małżeństwo Julii z panem Wolmarem nie stanowi właściwéj treści utworu. W obu wypadkach cel dydaktyczny stanął na przeszkodzie. Goethe zadowolnił się prostém przedstawieniem tego, co miał przed oczyma, pozwalając czytelnikom wyciągnąć z obrazka dobrą naukę, jaka się w nim zawierać mogła.

Lata w których Werther został napisany, były latami najżywszéj produkcyjnéj siły Goethego. Chętnie mu wierzymy, gdy mówi, że po napisaniu Götza mógłby był „wytrząść z rękawa“ cały szereg dramatów, gdyby ich żądano. Wówczas to napisał jeszcze Clavigo, Stellę, Klaudynę Villa Bella w pierwotnéj postaci i mnóstwo najpiękniejszych pieśni swoich i ballad. Rozbiérać tych rzeczy nie ma potrzeby, gdyż powtórzyćby tylko wypadało to, co się już powiedziało. Clavigo nietylko co do treści, ale i co do formy powstał z naśladowania Beaumarchais'go, który jako dramatyk wyszedł ze szkoły Diderota. Początki Egmonta również należą do tego czasu. Nie należy także zapominać o Fauście, który naówczas gotów już był do odczytania na jakiém zebraniu. I wszystko to w 1774 i 1775 roku. Ludzie i prace tak tłumnie w téj epoce około Goethego przeciskają się, że dokładne wyśledzenie tych rzeczy jest niemożliwe. Ci co najstaranniéj uporządkowany materyał razem zgromadzili, zmuszeni są wyznać otwarcie, że podwójne i potrójne bogactwo wiadomości nie wystarczyłoby tu jeszcze.

Goethe był bezwątpienia w owym czasie najbardziéj zadziwiającém zjawiskiem, jakie Niemcy na polu literatury wykazać mogli. Klopstock, Wieland, Lessing i Herder byli to już ludzie starsi; droga ich w ogólności dawała się przewidzieć: Goethe zaś był siłą świéżą. Głębia jego ducha zdawała się niezgruntowaną, fantazya—niewyczerpaną. A między osobistością jego i dziełami panowała taka harmonia, że jedno bez drugiego nie wydawało się zrozumiałém. Potrzeba było z nim żyć, ażeby go pojąć; potrzeba było siedzieć i mówić z nim dni i nocy całe. Kto tylko ze znaczeniem jakiemś do Frankfurtu przybywał, śpieszył zabrać z nim znajomość. Posiadamy wiele relacyj o takich spotkaniach: zawsze opisują Goethego jako rzadki fenomen, jako geniusz nadzwyczajny, od którego można się wszystkiego spodziewać. Sława zdobyta ukazaniem się Werthera była najwyższém uznaniem, jakie mu świat objawił. Zuchwałego szczęścia tych chwil nigdy już poraz drugi nie doświadczył. Imię jego było w ustach każdego. Wydania dzieła jego następowały jedne po drugich. Ukazywały się pisma polemiczne, dalsze ciągi, przeróbki na dramata, tłómaczenia. Ubiór Werthera niebieski frak i żółte spodnie, jak się nosił Jerusalem i jak się zazwyczaj noszono w niższych Niemczech. został uniformem młodzieży. Tak wystąpił Goethe w Weimarze; a kto na tamecznym dworze książęcym nie mógł z własnych funduszów sprawić sobie takiego ubrania, dostawał je od panującego. W Wetzlarze natomiast śledzono krok za krokiem drogi, po których chodził nieszczęśliwy Jerusalem, nie domyślając się, że będzie przedmiotem badań pośmiertnych. Do tego naturalnie przy-

łączyło się poszukiwanie ścieżek i miejsc odpoczynku Goethego. Studnia przed bramą Wilsbachcką, gdzie ceber na głowę służącéj włożył, nazywa się studnią Werthera. W Garbenheimie pokazują historyczne miejscowości. Wystawioną tam urnę kamienną zabrali jako relikwią oficerowie jednego rosyjskiego pułku, przechodzącego tamtędy w r. 1814. Na zwykłém miejscu odpoczynku Goethego wzniesiono piramidę z białego marmuru.

Każdy młodzieniec, zastanawiający się naówczas nad sobą, musiał w sobie dojrzéć kawałek Werthera. Nietylko Niemcy, ale Francuzi, Włosi, Anglicy rozumieli go doskonale, jak gdyby był wyrósł na ziemi celtyckiéj, romańskiéj lub sasko-normandzkiéj (1). Wiadomo, że Napoleon, będąc młodym, czytał Werthera i prawdopodobnie innego dzieła Goethego nie znał; a przecięż śpiesząc w pochodzie tryumfalnym przez Niemcy, kazał sobie przedstawić Goethego jako największego niemieckiego poetę i o Wertherze z nim rozmawiał.

Najstarszym przedstawicielem takiego charakteru jak Werther jest Hamlet Szekspira; w inny sposób starał się go Molière w Misantropie przedstawić; następnie ukazał się St. Preux Roussa a w końcu bohatér Goethego. W Werterze są zawarci trzej jego poprzednicy. Starsze pokolenie niemieckie jak Lessing, Kant, Möser, Lich-

---

(1) Na gruncie Polski ówczesnéj, po pierwszym podziale, Wertherowski „Weltschmerz" ani zaszczepić, ani przyjąć się nie mógł. Nie pozwalała na to najprzód niezbyt wyrafinowana gruntu tego kultura w stosunku do innych, a powtóre życie polityczne dostępne dla całéj szlachty. Wykształconych mieszczan i włościan, którzyby gorzko odczuwali swoje podrzędne lub pognębione w Rzeczypospolitéj położenie, było jeszcze niewielu. Przeciętny szlachcic owych czasów gdyby był wziął do ręki „Werthera," parę ustępów z niego przeczytał, cisnąłby książkę w kąt i rzekłby swoim zdrowym, ale prozaicznym tonem: „Dyabli wiedzą czego ten Pluder skomli a skomli..." Ale i takiego wypadku być nie mogło, jeżeli tak ciekawy, w Berlinie tak długo żyjący, tak ukształcony dostojnik i pisarz jak Krasicki, wspominając pobieżnie nazwisko Goethego, mówi jedynie dwa słowa dość obojętne a Götzu, a o Wertherze ani wzmiankuje nawet; przytaczając zaś tytuł sztuki Lessinga, pisze: „Minna *de* (!) Barnhelm" (o Rymotwórstwie i Rymotw. Część VIII, § 9). Wyżéj wykształceni ludzie mogli wtedy wszystkie porywy swéj duszy nawet najwyższe zaspokoić w życiu państwowém; a przynajmniéj nie mogli narzekać na niemożność działania. Dopiéro późniéj, kiedy nastały mniéj więcéj takie polityczne stosunki, jakie w Niemczech lub we Francyi istniały za czasów pojawienia się Werthera, zrozumiano go u nas i przetłómaczono (1822 r.). Możnaby rozumowaniu temu zarzucić jedno, że w Anglii, cieszącéj sie swobodą polityczną i wartkiem życiem politycznem, rozumiano jednak Weltschmerz. W odpowiedzi atoli na zarzut dość zauważyć skłonność Anglików do *spleenu* i przypomniéć sobie, że już na dwa wieki niemal przedtém posiadali oni swego rodzinnego Werthera—Hamleta...

tenberg widzieli w Wertherze, tylko chorobliwego, próżnego, awanturniczego fantastę, tém niebezpieczniejszego, że łatwo w nim było piękność poetyczną pomięszać z moralną. Młodzież, przeciwnie, widziała w nim jedynie bohatérsko odważnego bojownika poezyi, idealizmu i tragicznego męczennika praw serdecznych. Zobaczymy, jak werterowski kierunek znalazł w Fauście zaokrąglenie i zharmonizowanie z innemi pierwiastkami.

V.

Znajomość z Lavaterem.—Przejażdżka po Renie.—Basedow.—Fryderyk Jacobi w Pempelfort.—Goethe jako „Allwill."—Dokładne zapoznanie się z systemem Spinozy.—Klopstock.—Stosunek do Lilli Schönemann.—Bracia Stolbergowie.—Podróż do Szwajcaryi.—Wyjazd do Weimaru.

W przerwach między zajęciami poetycznemi Goethe pędził życie wesołe, hulaszcze, niczém nieskrępowane. Mieszczanie frankfurtcy byli zgorszeni: nazywali poetę niedźwiedziem, Huronem, Indyaninem i t. p. Według listu Mercka możnaby spisać całą księgę o tém, ile niedorzeczności i niegodziwości opowiadano sobie o Goethem we Frankfurcie i w trzechmilowéj okolicy. Pomijając drobnostki téj strony życia, która w najściślejszym jest związku z ówczesnym burzliwym, na idei „powrotu do natury" opartym trybie postępowania młodzieży, należącéj do okrésu „burzy i wrzenia" (Sturm-und Drangperiode), zaznaczymy tu tylko zdarzenia brzemienne wielkim na Goethego wpływem.

Do zdarzeń takich należy zapoznanie się poety z Lavaterem i Jacobim. Obaj ci sławni ludzie w tém byli do Herdera podobni, że chcieli opanować Goethego; a w tém różni, że zamiast go ku sobie pociągnąć, ulegli jego oddziaływaniu. Jacobi stawiał oddziaływaniu temu opór; stosunki ich zerwały się, pozostała atoli cieniutka niteczka, za pomocą któréj Jacobi późniéj silnie się do Goethego przyczepił. Lavatera zaś Goethe odepchnął całkowicie, widząc w nim potężniejszy od Jacobiego charakter.

Z początku jednak było inaczéj: Goethe tak dalece uległ wpływowi Lavatera, że jego styl i sposób mówienia naśladował. Przed poznaniem się osobistém Goethe napisał wcale niepochlebną recenzyą dzieła Lavatera: „Poglądy w przyszłość" (Die Aussichten in die Ewigkeit); potém z uznaniem i uszanowaniem mówił o jego kazaniach, à propos księgi Jonasza, widząc w nim „wielki, samoistny geniusz." Znajomość z Goethem spowodowało przedsięwzięcie Lavatera, dotyczące wydawnictwa sławnych „Fragmentów fizyognomicznych", które wychodziły od 1775 do 1778 roku. Syn lekarza,

Lavater odznaczał się od dzieciństwa usposobieniem marzycielskiém, połączoném wszakże ze zmysłem spostrzegawczym niezwykłéj bystrości i z niepospolitą umiejętnością wkradania się w kryjówki serc ludzkich. Pochodzenie jego Szwajcarskie zyskiwało mu przyjaciół; trzeba bowiem pamiętać, że wolność w owe czasy zaczęła mieszkać na górach, a każda krowa szwajcarska, jak mówi Grimm, dawała odrazu najczystszą śmietankę, w któréj czuć było smak wolności i alpejskiego powietrza. Poczciwi Szwajcarowie, przez Roussa wsławieni, uchodzili za pierwowzór „człowieka natury.“ Lavater to drugi Rousseau tém się jedynie różniący, że osiągnięcie wszelkiéj doskonałości poczytywał za możebne, przez pośrednictwo modlitwy. Zwracał on baczną uwagę na cechy zewnętrzne ludzi i ze studyów nad nimi wielkie obiecywał sobie korzyści. Ażeby pomysł swój przywieść do skutku, użył środka, którybyśmy dzisiaj najlepiéj obmyślaną reklamą nazwać musieli. Zapowiedział wydawnictwo „Fragmentów fizyognomicznych celem udoskonalenia znajomości i miłości ludzi.“ W tytule tym skromność jego zawarła z ówczesnym kierunkiem duchowym najserdeczniejsze małżeństwo. Nie obiecywał systemu, tylko luźne urywki; nie dbał jedynie o naukę, ale także o miłość ludzkości. Filantropia była natenczas w modzie; „przyjaciel ludzkości“ doznawał najwyższego poszanowania a „przyjaciel ludzkości na tronie“ był upragnionym ideałem. Każdy, wysoko czy nisko położony, kobiéta czy mężczyzna, powołany został nietylko do czytania książki Lavatera, ale także do współpracownictwa. Lavater udawał się do wszystkich z prośbą o portrety, które mu rozumié się chętnie nadsyłano, prosząc o odgadnięcie charakteru osoby portretowanéj. Sprawa fizyognomiki nie była całkowicie pozbawiona gruntu naukowego; ale sposób, w który się do niéj brano, dosyć dziecinnie się przedstawiał. Z portretu, o którym nawet nie wiedziano, czy dobrze był zrobiony, czy był podobny, usiłowano odgadnąć zarówno zdolności moralne jak i przyszłą karyerę jakiegoś dziecka. Lavater albo znał osobistości, których charakter miał opisać, albo nie znał. W pierwszym razie zapuszczał się w najdrobniejsze szczegóły; w drugim, zbywał rzecz najpospolitszemi ogólnikami. Jako człowiek bystry i doświadczony umiał wiele nietylko rozumnych, ale téż dowcipnych i miłych rzeczy powiedzieć; a uwagi jego nieraz były bardzo trafne. Nic więc dziwnego, że ludzie pragnący się uwiecznić chętnie przyjmowali zaproszenie i z entuzyazmem mówili o Lavaterze.

Goethe był już wtedy autorem „Götza“ i zwrócił na siebie uwagę Lavatera, który poprosił go o portret. Goethe nietylko zadośćuczynił żądaniu, posławszy portret swój, swego ojca, panny

von Klettenberg, ale nadto zobowiązał się doglądać druku dzieła, w którém znajdują się także i utwory jego pióra. Lavater napisał w swoich „Fragmentach" charakterystykę Goethego, arcydzieło w swoim rodzaju. Z doskonałą przebiegłością obsypał go tu pochwałami, które wśród krętych zwrotów każą się domyślać, że Goethe to nadzwyczajny człowiek stulecia, chociaż dotychczas dał tylko „niedoskonałe i niedostateczne próby" swéj wielkości...

Kiedy po pierwszych listownych stosunkach w Kwietniu i Maju 1774 r. Lavater przyjechał do Frankfurtu (w Czerwcu), to znalazł już Goethego w zupełném oczarowaniu swoją osobą: poeta przyjął jego sposób wyroczniowego myślenia i mówienia, jego serdeczność i pozorne wylanie się dla innych. Spotykają się poraz pierwszy: „Bischt's?" (1) woła Goethe. „Bin's", odpowiada Lavater. Potém ściskają się i rozpoczynają rozmowę: najgłębsze kwestye rozbiérają w sposób jaknajnamiętniejszy. Matka Goethego wielbicielką Lavatera została. Cały zresztą Frankfurt czekał na znakomitego męża, od którego spodziéwano się zbawienia i błogosławieństwa. Lavater znał już mechanikę przyjazdów: zapowiadał się naprzód, tak, że publiczność miała czas się przygotować. Lavater lubił liczne zebrania, które umiał zarówno bawić jak uczyć; poznawał odrazu, co komu do gustu przypadało i grając na téj strunie, potrafił zjednać sobie gorliwych słuchaczów. Spojrzenie głębokie a łagodne, usta przyjemne, mowa poufna, któréj uroku dodawał odcień prowincyonalny, działały dziwnie uspokajająco na zmysły słuchaczów; a cokolwiek pochylona postać zmniejszała przedział, jaki istniał pomiędzy sławnym człowiekiem a zwykłymi śmiertelnikami. Umiał panować nad umysłami, nie dając uczuć swojéj władzy.

Kiedy wyjeżdżał z Frankfurtu, Goethe mu towarzyszył, ażeby dokończyć na osobności rozpoczęte z nim a wielce rozrzewniające rozmowy. Odprowadziwszy Lavatera do Ems i zostawiwszy go w licznem towarzystwie, powrócił poeta do domu. Wkrótce jednak zamówiony przez Basedowa, jednego z „odrodzicieli ludzkości", sławnego zwolennika wychowawczych zasad Roussa, założyciela filantropinu, niedługo poraz drugi do Ems pojechał. Basedow stanowił zewnętrznie zupełne z Lavaterem przeciwieństwo. Miał głos nieprzyjemny, gwałtowny, mówił prędko; odpowiadał ostro, przeskakiwał w rozmowie z jednego przedmiotu na drugi, śmiał się szydersko i palił niegodziwy, śmierdzący tytuń. To też podróż z tym zarażającym powietrze wychowawcą ludzkości podwoiła przyje-

---

(1) Jestto dyalekt szwajcarski; coś podobnego jak nasze wyrażenie: jezdeś?

mność obcowania z Lavaterem, z którym kilka tygodni w Ems i okolicy najmiléj Goethe przepędził. W środku Lipca pojechali daléj. Z Ems popłynęli okrętem w dół Lahny ku Renowi, a potém odbyli przejażdżkę po téj rzece. Życie na wodzie nastroiło wysoko całe towarzystwo. Lavater spisywał ciągle, co się działo, w krótkich, urywanych zdaniach, jakoby to były telegramy wielokrotnie w ciągu dnia wysyłać się mające. W Kolonii rozstali się.

Jeszcze w roku 1779 zostawał Goethe pod urokiem Lavatera i uważał go za „kwiat ludzkości", za najlepszego z najlepszych; potém dopiéro zaczął się rozczarowywać i dopatrywać w uwielbianym mistrzu śladów miałkiéj ambicyi, przezornéj chciwości i nierozumnego marzycielstwa. W podeszłym już wieku, rozmawiając z Eckermannem, zbył proroka krótko, mówiąc: „On okłamywał siebie i innych." (1)

Inny był przebieg stosunków z Fryderykiem Jacobim. Była to natura uczuciowa, ze skłonnościami religijnemi i z poczuciem potrzeby wykształcenia naukowego. Przeznaczony przez ojca do zajęć handlowych, uczuł się wkrótce niezdatnym do nich i zawiązawszy stosunki z dworem palatyna reńskiego, został radcą elektorskim bardzo poważanym. Przez Wielanda zapoznał się z Zofią Laroche, przez nią znów żona i siostra jego zaznajomiły się z siostrą Goethego Kornelią, którą we Frankfurcie odwiedzały. Goethe z paniami temi korespondował i wysoko je cenił; było więc rzeczą naturalną, że z ich mężem i bratem zetknąć się musiał. W Lipcu 1774 r. przez Kolonią, pełną wspaniałych artystycznych pamiątek, udał się poeta do Pempelfort, gdzie Jacobi wakacye spędzał. Goethe czuł się tu szczęśliwym. Wyrwawszy się z objęć przyjaciół, rodziny i miasta rodzinnego, mógł występować wyłącznie w charakterze sobie najmilszym, w charakterze autora. Tak się przedstawił Jacobiemu i tak też został przyjęty. Jacobi starszy był od Goethego o lat sześć, ale téj różnicy wieku nie brał wcale w rachubę, nie widząc też z drugiéj strony w młodszym swym towarzyszu jakiegoś egzotycznego geniu-

---

(1) Hermann Grimm, opierając się na zapewnieniu Göthego w „Dichtung und Wahrheit", utrzymuje, że poeta poznał się odrazu na proroku i wziął go za materyał do zamierzonéj tragedyi p. n. *Mahomet*, którego bohatér występując z początku w dobréj wierze, zmuszony jest następnie ze względu na swoich wyznawców udawać się do kłamstwa i oszustwa. Hettner atoli (I, 175) uważa opowiadanie Goethego za pomyłkę pamięci, dowodząc, że ustęp z téj tragedyi był napisany i wydrukowany przed poznaniem się z Lavaterem. Pomysł Mahometa uważa Hettner za oddźwięk rozprawy doktorskiéj Goethego, w któréj dowodził, że wszystkie religie przez wodzów i wogóle wpływowych mężów zaprowadzone zostały.

sza, z którym nikt równać się nie może. W osobie Jacobiego było coś czystego, szczerego, pociągającego. Goethe sądził, że po długich a daremnych usiłowaniach znalazł w nim nakoniec przyjaciela, jakiego sobie życzył. Z lubością wspomina o nieprzerwanych poufnych rozmowach swoich z Jacobim; posiadamy kilka jego listów pełnych czułości i wylania, w których między innemi powiada, że mogliby na długo zamilknąć, a spotkawszy się kiedyś po znacznym przeciągu czasu, rozumiéć się tak dobrze, jak gdyby ciągle byli z sobą. Jacobi atoli zanadto potrzebował dla twórczości swojéj uczuć swoich przyjaciół i książek; to téż entuzyastyczną reprodukcyą mieszał z samodzielną produkcyą. Zapoznawszy się w rękopiśmie z Wertherem, zapalił się do uczuć w nim przedstawionych i reprodukował je w dwu romansach, z których jeden p. n. „Zbiór listów Allwilla“ wyszedł jeszcze przed Wertherem. Allwill, to Goethe. W pierwszym ciągu romansu innym go przedstawia Jacobi aniżeli w następnych, które o wiele późniéj wyszły. Goethe sam tę zmianę spowodował. Drażniło go to, że Jacobi zarówno myśli jak styl jego naśladował; a gdy poeta pod wpływem Lavatera inny styl przybrał, Jacobi z przesadą wielką w trop zanim pobiegł. Gdy więc wyszedł nowy romans Jacobiego p. n. „Woldemar“, w którym stosunki odmalowane przez Goethego w Wertherze zostały (mimochęci) do karykatury doprowadzone; poeta, bawiący już wówczas w Weimarze, własną ręką przybił książkę do drzewa, jak jastrzębia na stodole, a w dodatku za pomocą lekkich stylistycznych zmian w tekście ostatnich stronic romansu dał mu takie zakończenie, że dyabeł nadchodzi i porywa Woldemara... Całe Niemcy mówiły o téj istnie Voltairowskiéj zemście. Nastąpiły wymówki. Goethe trzymając się swojéj zasady, że się nigdy nie powinno uniewinniać, milczał z początku; dopiéro w cztéry lata potém prosił o przebaczenie. Jacobi odpowiedział po przyjacielsku i odtąd, pomimo różnicy przekonań, trwały między nimi serdeczne stosunki aż do grobu.

Najważniejszą atoli okolicznością w zaznajomieniu się Goethego z Jacobim było bliższe poznanie pism Spinozy. Jacobi był stanowczym przeciwnikiem holenderskiego mędrca; ta bezwątpienia okoliczność sprowadziła rozmowę obu przyjaciół na „Etykę“ Spinozy i zmusiła Goethego do zajrzenia jéj w oczy. Czteréj tylko ludzie zajęli stałe miejsca w duszy Goethego i nigdy z nich już nie byli wyrugowani, jak to się z innymi, nawet bardzo znakomitymi, zdarzyło. Ci czteréj byli to: Homer, Szekspir, Rafael, Spinoza. Stali się oni dla niego przedstawicielami czterech potężnych żywiołów, które w nierozerwanym z sobą związku pracując, wydały dzisiejszą naszę kulturę: żywiołami temi były szczepy: grecki, romański,

germański i semicki. Im zawdzięcza poeta niemiecki pogląd na rozwój dziejowy narodów, którym zawarunkowany był rozwój jego własny. Im zawdzięcza poczucie pierwiastku ogólnie ludzkiego obok specyalnie narodowego. Z Homerem i Szekspirem zapoznał się najprzód. Teraz przyszła koléj na Spinozę, jak w ostatku—na Rafaela.

Goethe zwyczajem stulecia swego znał doskonale biblią, umiał po hebrajsku, zasady religijne doskonale sobie przyswoił, z religijnie usposobionymi ludźmi w ciągłych żył stosunkach, najdawniejszy swój poemat poświęcił opisowi „wstąpieniu do piekła“ przez Chrystusa, opisowi dokonanemu stylem grzmiącéj pastorskiéj wymowy. To jednakże doskonałe obeznanie się z religią, wyznawaną przez naród, nie przeszkadzało mu wcale do przyswajania sobie zdobyczy, płynących z innych źródeł. Herder i Lavater byli dla niego przedstawicielami dwu głównych prądów w życiu kościelném. Herder ze stanowiska historycznego, Lavater z praktycznego uważali chrześcijaństwo za najpotężniejszą dźwignią reformy moralnéj w zepsutéj Europie. Goethe atoli nie dbał o to, którą religią Herder lub Lavater za najlepszą uważali; lecz chciał wiedzieć, jak człowiek sam sobie zostawiony ma się zachować względem rzeczy nadziemskich. Pod tym względem Goethe zawsze wyznawał dwa przekonania: jedno, że istnieje Bóg osobisty, mający, względnie do dziejów ludzkości, pewną wolę i cel pewien; i drugie, że istnieje indywidualna nieśmiertelność. Poeta wyznaje te dwa artykuły wiary, nie szukając i nie dając żadnych dowodów; są one w podstawach jego bytu złożone. Ale po za niemi nic więcéj. Wszelkie szczegóły odrzuca. Wszystkie sprawy nadziemskie, których te dwie myśli nie zaspakajały, były dla niego obojętne. Pragnął natomiast posiadać na gruntownych dowodach opartą teoryą moralnéj organizacyi ludzkości. Z tą kwestyą łączyło się pytanie, jak tę organizacyą poznać a nadto jak wogóle do poznania rzeczy przychodzimy? Odpowiedź na te pytania dać mogła tylko filozofia. Ze wszystkich zaś filozofij najsilniéj do umysłu Goethego przemówiła filozofia Spinozy. System Spinozy pozostał jedynym, którego się Goethe trzymał i którego nie krytykował. Powiada on o sobie skromnie, że sam nie wié, co właściwie z Etyki Spinozy wyczytał; lecz dodaje, że go ta książka powściągnęła, że zawiérała tajemnice bardzo dla niego pożyteczne.

Jakieś niejasne pokrewieństwo ducha pchało Goethego ku Spinozie. W duszy Goethego istniała dziwna mięszanina ślepego instynktu i najjaśniejszéj przenikliwości. Mówi on sam o sobie, że pisząc, nie wié, co pisze; wylewa tylko na papiér twory umysłu

swego i dopiéro późniéj przypatruje się temu, co zrobił. Jako poeta, kochał się przedewszystkiém w przenośniach i porównaniach, nie mogąc myśli swoich w wyrazach ściśle rzecz określających przedstawić. Co więcéj, poeta zrzekł się znajomości siebie samego. Rozmawiając w wieku podeszłym z kanclerzem Müllerem, oświadczył, że o własnym charakterze trzeba się od innych dowiedziéć. Tak więc Goethe, z téj strony rozważany, przedstawia się jako lunatyk, który wykonywa ruchy bezwiednie i sam siebie nie zna; chce używać, chce się poddać niejasnym popędom natury swojéj i usuwa z drogi wszystko, coby pod tym względem na przeszkodzie stanąć mogło.

Z drugiéj atoli strony spostrzegamy w Goethem nielitościwą przedmiotowość i jasność. Jakiś demon podszeptuje mu zawsze na ucho, gdzie się kryje słaba strona ludzi i rzeczy. Do wszystkiego stosuje chłodną krytykę, anatomizuje człowieka, zarówno innych jak i siebie—i nie pozwala sobie na najmniejsze upiększenie zdobytych tą drogą rezultatów. Takim go widzimy jako przyrodnika, historyka, statystę. Tu jest stały, silny, zimny. Tu nie pragnie on używać, ale utrzymuje, że wyrzeczenie się uciech jest nakazane. Ze stanowczą bezwzględnością stara się obowiązki swoje wypełniać.

W życiu Goethego dostrzegamy albo jednę, albo drugą stronę jego natury; lecz nigdy nie widzimy ich w połączeniu. Albo tworzy, albo prawie nieczule patrzy na to, co napisał i nie wié, co z tém począć; albo jak omamione dziecko oddaje się z całą ufnością jakiemuś człowiekowi, albo téż twardo przeciw niemu staje jak mąż mający już po za sobą wszystkie doświadczenia życiowe. Ta kolejna przemiana nigdy się u niego nie kończy. Zawsze spotyka nowych ludzi, kocha ich na nowo i odpycha od siebie nielitościwie. Kiedy nadejdzie godzina krytyki, gdyż uczucie własnéj pokonanéj już głupoty, drażni go niewymownie; a jak tylko zacznie krytykować, już go nic zadowolnić nie może.

Otóż Goethe znalazł w systemacie Spinozy zaspokojenie owéj jasnéj, krytycznéj strony owego umysłu. Jak ci, co badają chłodno i bez żadnéj namiętności prawa posuwania się gleczerów (lodników), tak Spinoza dociekał, według jakich praw płynie olbrzymi potok ludzkości i dokąd płynie. Przy tém dociekaniu nie miał na względzie żadnych osobistych mrzonek, żadnych narodowych przesądów, żadnych określonych zamiarów, lecz tylko rzecz samę.

Z badania okazał się w końcu ten wynik, że dobro jestto coś rzeczywistego a zło nie jest to nic rzeczywistego, ale tylko zaprzeczenie dobrego. Goethemu podobała się trzeźwość, suchość i przedmiotowość filozofa. O rzeczach przechodzących pojęcie ludz-

kie nie potrzebował on wcale obcéj nauki, miał on swoje przekonania, które z nim razem wzrosły. Stanowczy rozdział między filozofią a teologią, jaki u Spinozy znalazł, wybornie odpowiadał jego potrzebom. Teologia i filozofia, to tak różne dla niego żywioły jak morze i ląd. Na pierwszém wichry i fale; na drugim—ziemia twarda i stała. Tak samo rzecz tę rozumiał Lessing, który z całéj duszy przylgnął do nauki Spinozy. Jacobi przeciwnie, szukający uczuciowych stron wszędzie, obmacywał nadziemskie tajemnice, a stronienie Spinozy od tego, czego rozum dotknąć nie mógł, chciał oskarżyć o ateizm. Na tym punkcie Goethe i Jacobi rozejść się musieli. Goethe nadzwyczaj rzadko i to z zaufanemi jedynie przyjaciołmi rozmawiał o Bogu i nieśmiertelności; Jacobi chciał o tém rozprawiać głośno z przeciwnikami. Jacobiemu zdawało się, że używszy właściwéj sprężyny potrafi nakłonić Goethego do przesiąkniętéj teologią filozofii, Goethe zaś z jednakową stałością zawsze myśl tę od siebie odsuwał. Poeta niemiecki miał wielu nieprzyjaciół, którzy go „wielkim poganinem" nazywali, przy sposobności sam nazwał się „poganinem," ale nigdy ateuszem lub niewiernym....

Mimochodem już tylko zaznaczyć wypada niespodziéwane odwiedziny, jakie odebrał Goethe w jesieni r. 1774. Klopstock przejeżdżając przez Frankfurt, do margrafa badeńskiego, widział się z młodym poetą. Szczegółów tego zetknięcia się dwu ludzi, z których jeden miał lat 51 i ogromne w Niemczech znaczenie; a drugi rozpoczynał dopiéro swój świetny zawód, lekceważąc literackie powagi, nie znamy, tyle więc jedynie da się powiedziéć, że Goethe z lekceważenia swego powag zrobił wyjątek dla Klopstocka. Rzecz jednak dziwna, że wpływ tego poety, którego Goethe czcił i szanował od dzieciństwa, prawie się niedostrzegalnym na twórczość jego okazał. Co najwyżéj tragedya „Mahomet," gdzie trudno domyśléć się ręki Goethego, ma w sobie coś z Klopstocka. Natomiast przypomniéć sobie należy tę scenę z „Cierpień Werthera," kiedy bohatér wraz z Lottą, stojąc obok siebie przy oknie, wśród nocy na balu i spoglądając w pomrokę, jedno tylko powiedzieli sobie słowo: *Klopstock*! W słowie tém zawarli wszystko, co się tylko wzniosłego w owéj chwili powiedziéć dało. Klopstock był przedstawicielem urzędowym poezyi niemieckiéj. Jego „Messyasz" postawił go w oczach spółczesnych po nad Homerem, tak samo jak Henryada w przekonaniu Voltaire'a i Francuzów wyżéj stała niż Iliada. Klopstock był przyjacielem książąt i księżniczek i w postawie swojéj miał coś książęcego. Będąc pierwotnie teologiem, zachował na całe życie chęć nawracania, więc téż ujrzawszy w utworach czyichbądź coś zdrożnego, rozpisywał listy do autorów, którzy naganę przyj-

mowali z pokorą. Z tego powodu miał z nim Goethe niezbyt miłe zajście—Klopstock posiadał całą kancelaryą literacką po całych Niemczech rozproszoną, a jako symboliczny obraz państewka, zostającego pod jego rządami, napisał „Rzeczpospolitą uczonych"—mięszaninę romantycznego opowiadania i trzeźwego rozumowania w rodzaju Emila Roussa. Całe Niemcy prenumerowały tę książkę. Goethe nazwał ją „najznakomitszém zjawiskiem stulecia, zawierającém jedyną możliwą poetykę."

W tym czasie kiedy go Klopstock odwiedził, nosił się Goethe ze swoją „Stellą." Treść jéj, poczerpnięta ze stosunku Bürgera do „Molly;" nawet dla Fryderyka II, którego ani urzędowa moralność niemiecka, ani młodzi poeci niemieccy nie obchodzili, wydała się wstrętną; a cóż dopiéro dla Klopstocka! Dwie kobiéty, mające pewne prawa do serca jednego mężczyzny, kończą na tém, że obie poślubiają ukochanego. Oskarżano naturalnie Goethego o obronę dwużeństwa. To téż późniéj zmienił poeta rozwiązanie i ponieważ mu chodziło głównie o wystawienie dwu przeciwnych charakterów niewieścich, dokonawszy więc tego, kazał bohatérowi skończyć życie samobójstwem.

Na jesień 1774 r., już po wydaniu Werthera, przypada nowy stosunek miłosny Goethego. Spotkał dziewczę, pokochał je i doznał wzajemności i nic nie przeszkadzało do połączenia się węzłem małżeńskim i rozpoczęcia swobodnego mieszczańskiego żywota. Nie była to już ani córka oberżysty, ani pół wieśniaczka,—pół mieszczka, ale spadkobierczyni znakomitego we Frankfurcie domu. Salony, bale maskowe, przejażdżki po wodzie i lądzie występują tu na scenę; wiele poważnych osób bierze w niéj udział; zamiast małéj sztuczki mamy całą pięcioaktową komedyą. Goethe był natenczas wcale dobrą partyą. Młody, piękny, zamożny, sławny nawet, mógł śmiało stanąć do pary z 16-letnią dziewczyną, która się w nim pokochała. W „Klaudynie z Villabella" przedstawił on siebie w postaci Rugantina, który wesoło przepędziwszy młodość w gronie towarzyszy, po licznych awanturach i przygodach miłosnych dostaje się w moc czarodziejki dziewicy, ażeby spokojniejszy żywot rozpocząć... Lili Schönemann, dobre, otwarte, młodziutkie ale rozpieszczone dziewczę było ową czarodziejką względem Goethego. Wychowana wśród wszystkich korzyści bogactwa, ani pojmowała innego życia jak towarzyskie, pełne blasku i elegancyi. Lubiła się otaczać gronem wielbicieli i dręczyć ich;—wyznawała to jawnie. Kiedy robiła te zwierzenia, Goethe słuchał ich z przyjemnością; ale kiedy je w praktyce względem niego zastosowała, niezbyt miło mu było. Lilli wzięła wielbiciela na zazdrość, kazała mu długo koło siebie się krę-

cić; uspakaja go następnie i znowu do rozpaczy przyprowadza, słowem, wybiéra wyborny sposób zatrzymania go przy sobie. Trwa to trzy miesiące (w zimie 1775), dopóki zaręczyny nie nastąpiły. Lilli zwyciężyła; ale po zwycięstwie uczuła, że pokonany tęskni za wolnością. Goethe, jak zwykle przekonawszy się, że go kobiéta kocha, trzeźwieje nagle; zaledwie został urzędowym narzeczonym, myśli już o oswobodzeniu się: w Kwietniu nastąpiły zaręczyny a już w Maju donosi Goethe Herderowi, że wszystko pogrążyło się w niepamięć. Mylił się jednak; rzeczy nie poszły tak gładko.

Nastąpiła teraz koléj dręczenia Lilli przez Goethego. W Maju wybiéra się poeta w podróż do Szwajcaryi, a w dalszym planie do Włoch. Przyjechali do Frankfurtu dwaj młodzi hrabiowie Stolberg, z których siostrą Augustą, nie znając jéj osobiście, najpoufaléj Goethe korespondował. Byli to wzorowi wychowańcy Klopstocka. Goethe poróżnił się z nimi późniéj i odmalował ich w „Dichtung und Wahrheit" z ironią, któréj rzadko używał. Byli to młodzieńcy zapalni, marzyli o wolności, nienawidzili tyranów w ogóle, nie myśląc o żadnym tyranie w szczególności. Z nimi i z hrabią Haugwitzem tedy wybrał się Goethe w drogę. Jednym z celów podróży były konferencye z Lavaterem w Zurychu, gdyż wtedy jeszcze wierzył Goethe w naukę proroka jak najmocniéj: kiedy Augusta Stolberg przysłała mu swoję sylwetkę, poeta odnalazł całą duszę korespondentki w rysunku i w entuzyastycznym opisie udzielił jéj swoje spostrzeżenia. Mieszkając w Zurychu naradzał się z Lavaterem co do wydawnictwa dalszych części „Fragmentów fizyognomicznych"— i marzył o Lilli, która w oddaleniu milszą mu się stała. Z Zurychu po przez góry przedarli się podróżni do jeziora Vierwaldstäckiego. Wśród mgły i deszczu drapie się Goethe na Rigi, wstępuje na górę ś. Gotarda z mocném postanowieniem udania się do Włoch. Tu jednak dokonywa się zmiana. Rzeczy były już zapakowane; w tém spostrzega Goethe małe złote serduszko podarowane mu przez Lilli, które nosił na szyi; byłto dzień urodzin narzeczonéj. Poeta całuje złote serce; nieprzezwyciężona tęsknota ogarnia jego duszę; każe ludziom nawracać i—udaje się do Frankfurtu (w końcu czerwca). Lilli była wtedy u krewnych w Offenbachu. Listy Goethego z tego czasu pokazują, że z wielkiém uczuciem szczęścia stał się dawnym ukochanym niewolnikiem. Lilli była nietylko piękna, ale zręczna, powabna, elegancka. Goethe był takimże: ubierał się strojnie, dbał o swoję powierzchowność, wydawał więcéj pieniędzy niż mu ojciec i prace piśmienne dostarczyć mogły; pożyczał więc u przyjaciół, u Jacobiego, u pani Laroche i innych. Bawili się przewybornie niedługo jednakże. Zaszły nieporozumienia, którym nie sami Goethe

i Lilli byli winni. W rodzinie panny były osoby, nieżyczące sobie małżeństwa. Lilli widocznie nie chciała być tą, która została opuszczoną, ale nie mogła się sama zdecydować na zerwanie stosunku. Goethe opowiada, że panna zaproponowała mu razu pewnego porzucić wszystko i pojechać do Ameryki, ażeby tam żyć dla samych siebie. Poeta na to nie przystał i według wszelkiego prawdopodobieństwa projekt powyższy przeszedł po umyśle panny jak lotna chmurka... Rozwiązanie było daleko prozaiczniejsze. Jarmark we Frankfurcie stanowił corocznie wielki wypadek. Mnóstwo znajomych przyjeżdżało do miasta, a rodziny bawiły się bardzo wesoło. Wtedy to Lilli, otoczona liczném gronem poufałych przyjaciół domu i krewnych, przyjmowała ich hołdy w sposób dla Goethego nieznośny. Wymówił się z tém głośno: stosunek pękł bez zbyt wielu łez, jak się zdaje...

Po tém zajściu Frankfurt nie mógł być miłém dla Goethego miejscem pobytu. Chciał uciec dokądbądź. Zamierzał do Włoch się puścić, gdy w tém nowy stosunek, jakby losem przygotowany, gdzieindziéj go zwrócił.

Wkrótce po Klopstocku odwiedzili Goethego dwaj weimarscy książęta: starszy Karol August z hrabią Görz jako guwernerem i młodszy Konstanty wraz z byłym oficerem pruskim von Knebel. Bawili u niego dni parę; porozumieli się i polubili. Szczególniéj Knebel, słuszny mężczyzna lat 30-u, którego Goethe wśród zmroku wziął za Jacobiego, został przyjacielem poety. Kiedy książęta odjechali do Moguncyi zatrzymał się on u Goethego, ażeby razem z nim tamże przybyć. W Moguncyi rozpoczął się na nowo stosunek z książętami; w podróży do Szwajcaryi spotkał się z nimi Goethe w Carlsruhe, kiedy Karol August był już zdeklarowanym narzeczonym księżny Ludwiki Hessen—Darmstadzkiéj. Goethe, dobrze znany w Darmstadzie, zbliżył się wtedy więcéj do księcia a z Kneblem zawiązał stosunek listowny, który utrzymywał trwały i żywy związek z Weimarem. 3 Września 1775 r. objął rządy księstwa Karol August i udał się do Carlsruhe, gdzie ślub jego uroczyście obchodzono. Wówczas widział się znów z Goethem a kiedy w środku Października zatrzymał się wraz z młodą żoną we Frankfurcie, umówił się z poetą o odwiedziny w Weimarze. Oznaczono dzień i godzinę, kiedy Goethe wraz z Kamerjunkrem miał się udać w drogę. Napróżno jednak oczekiwano; ani powóz ani kamerjunker nie zjawiał się. Wyglądało to tak, jakby się rozmyślono i o adwokacie frankfurckim zapomniano. Szczególniéj ojciec Goethego, który z książętami nie lubił się wdawać, za takiém rozumieniem sprawy téj głosował. Poeta zdecydował się pojechać do Włoch i 30 Października wybrał się

w podróż. Ale gdy był w Heidelbergu, dogoniła go sztafeta księcia Karola Augusta i zniewoliła do powrotu.

W wilią wyjazdu do Wejmaru Goethe, przebiegając ciemne ulice Frankfurtu, przechodził koło domu Lilli, która mieszkała na dole. Z po za zapuszczonych rolet widział, jak Lilli siadała do klawikordu, jak przyniesiono światło, jak śpiewała piosenkę jego: „Czemu tak nieprzeparcie ku sobie mię ciągniesz?...." Goethe mówi, że w téj chwili musiał użyć całéj siły swego charakteru, ażeby nie wejść do pokoju... Opór Lilli, jéj samoistność, jéj chłodna rozwaga wywiérały urok na Goethego. Opuszczona przezeń narzeczona dla rozrywki jakiegoś towarzystwa śpiewała pieśń jego... To go oburzało, ale zarazem pociągało. Chociaż zdawało się, że on ją opuścił, mógł jednak sobie powiedzieć, że właściwie Lilli go porzuciła, gdyż nie straciła wcale równowagi duchowéj. Długo téż o niéj pamiętał i kilka prześlicznych wierszy do niéj napisał, z których jeden może przypomniał sobie Mickiewicz, kiedy był w Splügen w Alpach („Nigdyż więc, nigdy z tobą rozstać się nie mogę"):

Im holden Thal, auf schneebedeckten Höhen
War stets Dein Bild mir nah... itd.

Lilli w trzy lata po rozłączeniu się z Goethem wyszła za alzackiego barona von Kürckheim; a kiedy Goethe w 1779 przejeżdżał przez Strasburg, widział ją z pierwszém jéj dzieckiem. Potém nigdy już jéj nie ujrzał, ale ona pamiętała o nim i w zwierzeniach swoich przed hrabiną Egloffstein wyznała, że Goethemu zawdzięcza swoję duchową, moralną egzystencyą i prosiła hrabinę, ażeby oświadczyła poecie jéj najserdeczniejszą wdzięczność za chwile z nim przeżyte. Rozmaite okoliczności przeszkodziły hrabinie donieść Goethemu to miłe wyznanie, tak że dopiéro w r. 1830 kiedy poeta miał lat 80 i spisywał ostatnie części „Dichtung und Wahrheit, gdzie o Lilli jest mowa, dowiedział się o niém.. List, zawierający to przypomnienie pięknych chwil młodości, ze wzruszeniem do ust sędziwy poeta przycisnął.....

P. Chmielowski.

LUDY PIERWOTNE
POŁUDNIOWEJ AFRYKI

przez

D-ra Antoniego Rehmana.

Poznanie pierwotnego stanu ludzkości jest przedmiotem godnym zajęcia nietylko dla uczonego specyalisty, ale i dla każdego myślącego człowieka, bo każdy szczegół z życia pierwotnych ludów jest poniekąd kartką własnych jego dziejów i przyczynia się do poznania jego jestestwa. Jeżeli najnowszym badaniom na polu paleografii udało się przełamać zastarzałe przesądy, posunąć dzieje rodu ludzkiego o kilkadziesiąt tysięcy lat wstecz i podnieść wartość i zasługę cywilizacyi przez wykazanie przestrzeni, jaka dzieli ją od pierwotnych jéj zawiązków, to badanie ludów żyjących obecnie na ziemi w stanie pierwotnéj dzikości ma tę wyższość nad badaniami historyków, że uzupełniając skreślony przez nich obraz fizycznego stanu pierwotnego człowieka, pozwala nam zajrzéć w stan jego umysłowy i uchylić przynajmniéj częściowo grubą zasłonę, jaka pokrywała dotychczas pierwotne zawiązki cywilizacyi.

Nie ma może więcéj zajmującéj okolicy dla antropologa, jak południowa Afryka, bo na niewielkiéj stosunkowo przestrzeni żyją tutaj po dziś dzień trzy ludy pierwotne w tym samym prawie stanie, w jakim żyły przed czterema wiekami, gdy Europejczycy odkryli południowy kraniec „czarnego kontynentu.“ W ciągu dwuletniego pobytu w tamtych stronach nadarzała mi się wielokrotnie sposobność stykania się z tymi ludami i rozpatrzenia się dość dokładnie w obecnym ich stanie. Ponieważ wiadomości podawane przez innych podróżników o tym przedmiocie są wogóle dość niedokładne

a w wielu razach grzeszą przesadą, gdy nadto w zetknięciu z europejską cywilizacyą jedne z tych ludów tracą pierwotny swój charakter a inne, przeznaczone na zagładę, z przerażającą szybkością ulegają fatalnemu losowi, przeto sądzę, że ogłoszenie szczegółów zebranych w ciągu méj podróży nie będzie bez wartości i przyczyni się choć w części do uzupełnienia materyałów nagromadzonych przez innych.

Gdy w roku 1486 nieustraszony Bartholomeo Diaz odkrył południową kończynę Afryki, ludy zamieszkujące tę część ziem przedstawiały trzy pierwotne stadya rozwoju ludzkości. Buszmani byli ludem myśliwskim. Hottentoci pasterskim, a Kafrowie rolniczym.

Czterowiekowe zetknięcie się z wyższą cywilizacyą nie pozostało bez wpływu na pierwotny stan tych ludów; zmieniła się ich liczba, zmieniły wzajemne granice i pozaciérały niektóre szczegóły, ale typy plemienne i sposób życia pozostały w głównych zarysach też same.

Za pierwotnych mieszkańców tych stron wypada uważać Buszmanów i Hottentotów; najstarsze kroniki, odnoszące się do historyi tego kraju, prawie wyłącznie o nich tylko wspominają, co dowodzi, że przed czterystu laty oni byli wyłącznymi jego panami. Obydwa te plemiona odznaczają się pod względem fizycznym wielu ważnemi, im tylko właściwémi szczegółami, w skutek czego antropologowie jednozgodnie prawie za właściwą rasę ludzi ich uważają. Lecz z drugiéj strony, obok wspólnych cech fizycznych, napotykamy szczególne znamiona, które przemawiają za tém, że Buszmani i Hottentoci są dwoma odmiennymi ludami, a pogląd ten znajduje bardzo silne poparcie w odmiennym sposobie życia i różnicy w językach, w skutek czego twierdzenie niektórych podróżników, jakoby dziwny naród Buszmanów wytworzył się jedynie z biegiem czasu, w skutek fizycznego i moralnego upadku pojedynczych rodzin hottentockich (1) jest zupełnie bezzasadném. Kafrowie zamieszkujący obecnie różne części kolonii są spokrewnieni językiem i zwyczajami z ludami zamieszkującemi po dziś dzień ogromne obszary we wnętrzu środkowéj Afryki; należą oni do wielkiéj rodziny ludów murzyńskich, ale tworzą osobną jéj gałęź, oznaczaną w najnowszych czasach nazwą Bantu-Negrów, a bezustanne wędrówki, jakie odbywają obecnie, jakoteż i tradycya przechowująca się między nimi przemawiają za tém, że dopiéro w ciągu ostatnich kilku wieków przybyli z północy i przebywszy rzekę Zambezi rozpostarli się w téj

---

(1) Waitz: Antoprologie XI. 327.

części Afryki, a wyparłszy przemocą Buszmanów i Hottentotów z ich pierwotnych siedzib, przywłaszczyli sobie najurodzajniejsze okolice.

I.

Buszmani.

Na najniższym stopniu rozwoju, tak pod względem fizycznym jako i społecznym stoją niezaprzeczenie Buszmani, a szczegóły podawane o nich przez różnych podróżników w tak dziwaczną składają się całość, że bezstronny czytelnik, czytając te opisy mimowoli o wiarogodności ich powątpiewać musi. Najniekorzystniejsze sądy pochodzą od misyonarzy angielskich; wrażenie jakie widok Buszmanów robił na tych posłannikach oświaty było tak silném, że niektórzy z nich ośmielili się powątpiewać, czy Buszman jest rzeczywiście człowiekiem, przypuszczając, że wypadałoby go może raczéj uważać za formę przejściową pomiędzy zwierzętami i ludźmi, a jeden z nich (Fleming) cieszy się nawet szybkiém niknięciem tego ludu i zupełną zagładę jego uważa za konieczną dla uratowania godności człowieczeństwa. Właściwa ich nazwa jest Saan; tak nazywają się sami pomiędzy sobą.

Nazwa *Buszman* czyli *Boshiesman* została im nadaną przez holenderskich kolonistów, a wyraz ten oznacza orangutana, którego Holendrzy poznali w Indyach; jakoż koloniści nie uważają do dziś dnia Buszmanów za ludzi, a jak obchodzili się z nimi w niedalekiéj jeszcze przeszłości, o tém będzie wzmianka poniżéj.

Trudno zaprzeczyć, że widok Buszmana robi na przybywającym do kolonii Europejczyku, którego oczy przywykły od dzieciństwa tylko do widoków swoich białych współbraci, wrażenie istoty niższéj i od natury upośledzonéj. Uderzającym jest przedewszystkiém ich mały wzrost; średnia ich miara, podawana przez różnych podróżników, wynosi cztéry stopy i kilka cali i powtarza się na całym obszarze kraju od brzegów Antlantyku aż po morze Indyjskie i od Przylądka Dobréj Nadziei aż po rzekę Zambezi; a gdy u ludów ucywilizowanych średni wzrost kobiéty jest zawsze mniejszy od wzrostu mężczyzny, u Buszmanów różnica ta prawie wcale nie istnieje. Podróżnik Barrow napotkał gromadę Buszmanów złożoną ze stu pięćdziesięciu osób, w któréj wzrost największego mężczyzny wynosił cztery stopy i dziewięć cali, największéj kobiéty cztery stopy i cztery cale, a najmniejsza z zamężnych kobiét była wysoką na trzy stopy i dziewięć cali; średnia miara ich wzrostu, podana

przez Barrowa, wynosi 1300 milimetrów. Autor cennéj pracy o ludach południowéj Afryki, Gustaw Fritsche podaje średni wzrost Buszmanów, obliczony jednakowoż tylko według sześciu indywiduów, na 1.444 milimetrów a Knox na 1.372. Ponieważ studya etnograficzne nie były objęte planem méj podróży, przeto nie zbiérałem i nie posiadam żadnych dat szczegółowych dla poparcia powyższych twierdzeń, ale indywidua buszmańskie, jakie napotykałem w podróży, uderzały mnie na pierwszy rzut oka niskim wzrostem, a cecha ta przechowuje się nadto stale u mieszkańców buszmańskiego pochodzenia. Niektórzy podróżnicy (Bains, Chapman i Liwingstone) wzmiankują co prawda, że w zachodnich stronach południowéj Afryki, mianowicie w pustyni Kalihari i około jeziora Ngami, napotykali gromady Buszmanów odznaczających się dobrym wzrostem i dobrą budową ciała; gdy jednakowoż plemiona Buszmanów, Hottentotów i Kafrów, mieszkające w tych stronach np. w kraju Damara, nie zajmują ściśle odgraniczonych miejscowości i bezustannie z sobą się stykają, przeto prawdopodobną jest rzeczą, że napotykane przez wzmiankowanych podróżników rodziny nie przedstawiają czystych typów, lecz powstały przez pomięszanie się Buszmanów z innemi plemionami. Przemawiają za tém silnie dwie okoliczności. Buszmani w kraju Damara znajdują się w stosunku poddaństwa do Kafrów i Hottentotów, a wzajemne ich łączenie się jest naturalném następstwem tego stosunku.

Ważniejszym jest może szczegół, podany przez Galtona i Alexandra, że Buszmani w kraju Damara nie różnią się od tamtejszych Hottentotów językiem, lecz jedynie sposobem życia.

Buszmani odznaczają się właściwą typową fizyognomią, która pozwala odróżnić ich na pierwszy rzut oka od ludów murzyńskich, i któréj ślady jeszcze u mieszkańców buszmańskiego pochodzenia uparcie się przechowują. Czoło ich bywa zazwyczaj niskie i płaskie, kości policzkowe silnie wystające i oddalone od siebie, kość nosowa mało podniesiona, w skutek czego nos bardzo słabo rozwinięty występuje czasami w postaci małego zgrubienia dopiéro nad górną wargą, co nadaje twarzy wyraz zwierzęcy, szpetny i rażący, wargi są zlekka nabrzmiałe i ku zewnątrz rozpłaszczone, lecz nie tak silnie wyrzucone jak u murzynów, szczęki dość silnie rozwinięte, jednakowoż skłonność do prognatyzmu nie jest rażącą, broda zazwyczaj ostro zakończona. Oczy małe, czarne, ruchliwe, dziko połyskujące, głęboko osadzone i oddalone od siebie, ale twierdzenie niektórych podróżników jakoby były osadzone ukośnie jest bezwarunkowo nie prawdziwém.

Na szczególną uwagę zasługuje porost głowy; włosy krótkie łączą się w drobne kręcone kosmyki, rozrzucone po całéj głowie; kupią się one w nieco większéj ilości na jéj wierzchołku, ale po bokach głowy prześwieca zazwyczaj naga skóra. Włosy te, widziane pod mikroskopem, ukazują się znacznie spłaszczone, co zdaje się być powodem ich silnego kręcenia się. Gdy porost jest nieco bujniejszym, kosmyki łączą się z sobą i wytwarzają jednostajnie powikłaną, gęstą, kutnerowatą tkaninę (Verfilzung); nie są one czarne, jak u murzynów, lecz mają barwę ciemnopopielatą; cechę tę uważam za stałą i nie sądzę, ażeby pochodziła z nagromadzenia obcych istot. Wzrost włosów jest bardzo ograniczony i zdaje się, że wcześnie ustaje. Zarost na twarzy i reszcie ciała jest prawie żaden.

Budowa całego ciała jest u Buszmanów dosyć proporcyonalną; ręce, które u innych ludów murzyńskich są znacznie dłuższe aniżeli u Europejczyków, bo sięgają aż do kolan i przypominają mimowoli nieproporcyonalne rozmiary odnóg u małp bezogonnych starego świata, są u Buszmanów stosunkowo dość krótkie a kończyny od nóg małe i zgrabne. Godnym jest uwagi fakt podany przez Fritscha, że paznogcie u Buszmanów nie są nigdy tak białe jak u Kafrów. Wszyscy prawie podróżnicy zastanawiają się nad chudością tych ludzi i słabym rozwojem mięśniów (prawie zupełny brak łydek). Jednakowoż zjawiska tego nie można uważać za własność rasową, lecz poprostu za następstwo niedostatecznego pożywienia, które pociąga za sobą brak siły fizycznéj.

Buszmani i Hottentoci różnią się od Kafrów na pierwszy rzut oka barwą ciała: jest ona brudnożółtą i przypomina barwę wygarbowanéj skóry cielęcéj; uderzającą jest jéj skłonność do marszczenia się, zmarszczki na twarzy występują już przed dwudziestym rokiem życia, a na czole układa się skóra w grube podłużne fałdy, co podnosi naturalną dzikość twarzy u starszych ludzi.

Znamiona drugorzędne u kobiét przedstawiają kilka ciekawych szczegółów, a przynajmniéj występują w odmiennéj postaci jak u ludów cywilizowanych. Różnica we wzroście nie istnieje prawie wcale, a rozmiary i układ kości są w obu rodzajach tak podobne, że odróżnienie szkieletu mężczyzny od szkieletu kobiéty jest niemożebném. Piersi u Buszmanek są również bardzo słabo rozwinięte, nabrzmiéwają dopiéro po zamążpójściu, a z wiekiem późniejszym wydłużają się silnie i przybiérają postać workowatą. Brak ten zastąpiła przyroda u kobiét buszmańskich sowicie steatopygią; polega ona na anormalnym rozwoju tkanki tłuszczowéj poniżéj kości pacierzowéj, na samém siedzeniu, które u góry wygina się silnie i tworzy garb przechodzący niepostrzeżenie w uda; a zatém wręcz przeci-

wnie jak u ludów europejskich. Steatopygia jest wspólną cechą Buszmanek i Hottentotek, u tych ostatnich dochodzi niekiedy przy regularném odżywianiu do potwornych rozmiarów. Ślady steatopygii mają się znachodzić i u ludów papuańskich.

W tym stanie rzeczy chyba tylko silne uprzedzenie, albo skłonność do excentryczności, zdołają odmówić istotom buszmańskim ludzkiéj postaci, bo bezstronny badacz nie znajduje w organizmie ich nic takiego, coby ich od reszty rodzaju ludzkiego gatunkowo oddzielać miało. Chociaż z drugiéj strony trudno zaprzeczyć, że ich ruchy i zachowanie się robią wrażenie nadzwyczajnéj dzikości. Uderza to szczególniéj u jednostek, które wychowały się w pustyni, nie stykając się z ludźmi ucywilizowanymi, albo u dzieci, które nie są w stanie zapanować nad wewnętrznemi uczuciami, a ruchliwe ich oczy, zdradzające wewnętrzny niespokój, przypominają mimowoli wzrok małp trzymanych w niewoli.

To wrażenie dzikości uderza tém silniéj, jeżeli podróżnik miał sposobność oglądać i inne ludy tych okolic i porównywuje dzikiego Buszmana ze spokojnym, uprzejmym i gadatliwym Kafrem. Gdy odwiedzałem kraale Kafrów w Natalu, właściciele ich przyjmowali mnie zawsze z uśmiechniętą twarzą i wyciągniętą do uścisku dłonią, a około dorodnych postaci mężczyzn i kobiét kupiły się gromadnie dzieci i przyglądały się z ciekawością, ale bez trwogi. Buszmani lękają się zarówno białych, jak i czarnych współbraci, ich widok jest dla nich przerażającym, uciekają przed nimi, a jeżeli srogie cierpienia głodu przymuszą ich do zetknięcia się z nimi, wówczas niespokojny wzrok zdradza wewnętrzną obawę i podnosi wrażenie dzikości.

Jest jeszcze jeden szczegół w organizmie buszmańskim, odróżniający ich od innych ras afrykańskich, mianowicie postać głowy, która jest u nich od przodu ku tyłowi wydłużoną, wąską i niską.

Jeżeli linią poprowadzoną od czoła ku tyłowi czaszki nazwiemy osią podłużną, a linią łączącą boki czaszki osią poprzeczną i będziemy porównywali te osie u różnych ras ludzkich, to przekonamy się, że wzajemny ich stosunek w jednéj i téj saméj rasie jest zmiennym, ale porusza się w pewnych, dość stale oznaczonych granicach. Największą liczbę czaszek zmierzył dotąd niemiecki antropolog Welcker, a wypadek jego poszukiwania w krótkości jest następujący. Jeżeli długość osi podłużnéj oznaczymy przez 100, to najpospolitszy rozmiar osi poprzecznéj, czyli szerokości głowy, wynosi 74 do 78; i ten stosunek przyjmuje Welcker za średni dla wszystkich ludzi. Jasną jest rzeczą, że jeżeli szerokość się zmniejsza, to czaszka przybiéra postać podłużną, jeżeli się zwiększa, czaszka

staje się krótką i dlatego, stosownie do jéj postaci, możnaby podzielić wszystkich ludzi na krótko i długogłowych. Najkrótsze głowy napotykamy u ludów mongolskiego pochodzenia, gdzie wykładnik szerokości dochodzi do 97; najdłuższe u mieszkańców Polynezyi, gdzie ten wykładnik obniża się do 68, np. u mieszkańców wysp Karolińskich, a w wyjątkowych razach do 62. Nie robił Welcker bezpośrednich pomiarów na czaszkach Buszmanów, bo ich nie posiadał, ale szerokość głowy u Hottentotów znalazł 69 a angielski antropolog Davis, porównywując czaszki Hottentotów z buszmańskiemi, przekonał się, że te ostatnie są jeszcze dłuższe, a szerokość ich powinnaby wynosić tylko 66 lub 67. Oprócz tego czaszka ich jest stosunkowo bardzo niską, bo gdy wykładnik wysokości u ludów europejskich dochodzi do 82, u Kafrów do 74, to u Hottentotów wynosi tylko 70 a u Buszmanów, o ile można wnioskować z pomiarów Davisa, powinienby wynosić tylko 70.

Jednakowoż liczb tych nie można uważać za ostateczny i stanowczy wynik poszukiwań, bo do tego potrzeba daleko obfitszego materyału, aniżeli nim obecnie rozporządzamy; Welcker badał tylko czaszki Hottentotów, a Davis rozporządzał tylko czterema czaszkami buszmańskiemi.

Ubranie ma dla człowieka dwojakie znaczenie: chroni go przed niekorzystnym wpływem klimatu i pokrywa jego nagość, a rozbudzenie się poczucia wstydu musi być koniecznie uważane za oznakę postępu, bo jest wyłączną własnością człowieka. Do ludów, u których uczucie to jeszcze się nie rozbudziło, zalicza Peschel i Buszmanów, a twierdzenie jego znajduje poparcie u wszystkich podróżników, którzy ich widzieli w pierwotnym stanie zdala od ostatnich krańców cywilizacyi. Misyonarze, Fleming i Merensky, wspominają, że kobiéty buszmańskie przepasują przez biodra wąski kawałek skóry, nacinany z przodu we frendzle, ozdobione niekiedy paciorkami, lecz strój ten przyjęli z pewnością w zetknięciu z białymi; gdy znajdą się w możności, przybiérają nawet zupełny strój europejski. W pierwotnym stanie w porze letniéj, gdy skwar afrykański wszelkie odzienie czyni zbytecznym ciężarem, chodzą oni zupełnie nago, a na niezliczonych rysunkach zdobiących ściany skalistych kryjówek, które służyły im niegdyś za schronienie, ich własne postacie są również przedstawione w zupełnéj nagości. W porze zimowéj klimat w tych stronach jest dosyć ostrym, zimno w nocy niekiedy bardzo dokuczliwe i wówczas używają do pokrycia ciała skór zwierzęcych, jak to czynią i inne ludy pierwotne.

Uderzającym jest u Buszmanów brak ozdób a to tém więcéj, że Kafrowie i Hottentoci bardzo wysoko je cenią i zarówno mężczy-

zni jak i kobiéty okrywają niemi głowę, ramiona i nogi, a nawet twarz w tym celu nacinają. Dziurawią Buszmani uszy i nozdrza i zakładają w nie kolce jeżozwierza, albo patyczki; zdaje się jednakowoż, że użytek ten nie jest bardzo rozpowszechnionym, bo pomiędzy Buszmanami, napotykanemi w podróży, ozdób tych prawie nigdy nie widziałem. Nie nacinają również skóry, ale zdaje się, że zwyczaj malowania twarzy był u nich w używaniu, bo w kraju Oranje napotkałem raz trzy dziewczynki buszmańskie z wargami pomalowanemi na czarno; zostawały one w służbie u jednego z tamtejszych kolonistów i ubierały się już po europejsku; zapytane o przyczynę pomalowania warg tłómaczyły się, że bolą je od zimna. W kraju Grykwa, gdzie nieliczne niedobitki buszmańskie stykają się częściéj z Europejczykami, mają oni łatwość nabywania szklanych paciorków i metalowych guzików od podróżujących handlarzy i nie gardzą temi ozdobami.

Nie budują sztucznych mieszkań; za miejsce pobytu służą im jaskinie i szczeliny skał a za wyborem miejscowości przemawia przedewszystkiém jéj dzikość i niedostępność. Zwyczaj zdobienia skał malowidłami pozwala nam dzisiaj odkrywać z łatwością miejscowości niegdyś przez nich zajmowane; w okolicach górzystych zdarzają się one dość często na całym obszarze kraju od brzegów Atlantyku aż po brzegi morza Indyjskiego, a wybór miejscowości jest prawie zawsze godnym podziwu. Nie chodziło im o wygodę, lecz o bezpieczeństwo, i dlatego im dzikszą i niedostępniejszą była jakaś kryjówka, tém chętniéj w niéj przebywali, wystarczała im za mieszkanie szczelina tak wąska, że według naszych pojęć chyba tylko dziki zwierz wślizgnąćby się do niéj potrafił. Jeżeli w pogoni za zwierzyną oddalali się zbytecznie od miejsca stałego pobytu i noc ich zaskoczyła w drodze, przepędzali ją pod zasłoną skał, albo w zaroślach; w zachodniéj części kraju, gdzie na znacznych obszarach nie ma częstokroć ani drzew, ani skał, noszą z sobą maty z sitowia, zawieszają je na kołkach wbitych w ziemię i pod ich zasłoną chroni się cała rodzina przed wiatrem i zimnem; nie posunęli się tak daleko, ażeby przez połączenie kilku takich mat urządzić stalszą zasłonę, jakiéj używają Hottentoci w podróży.

Buszmani są ludem myśliwskim, a mięso ubitych zwierząt ich główném, chociaż nie wyłączném pożywieniem. Nie ma może na ziemi drugiéj okolicy, któraby posiadała takie bogactwo zwierzyny jak południowa Afryka. Na ogromnych obszarach na południe od rzeki Zambezi żyje kilkadziesiąt gatunków antylop, a niektóre z nich dochodzą do rozmiarów jałówki; bardzo rzadko ukazują się one pojedynczo, lecz żyją zazwyczaj w gromadach do kilkudziesięciu sztuk

dochodzących, a w porze letniéj, przed nadejściem zimy, gromady takie łączą się z sobą i odbywają wspólne podróże, a wówczas ilość ich oblicza się na tysiące. Koloniści holenderscy ruszają w porze zimowéj z całemi rodzinami na polowanie, przepędzają nieraz po trzy do czterech miesięcy pod gołem niebem, a ubita zwierzyna nietylko zaopatruje ich obficie w pożywienie, lecz pozwala nadto robić zapasy suszonego mięsa, które sprzedają za bezcen po wsiach i miasteczkach.

W tym stanie rzeczy myśliwstwo powinnoby zaspakajać dostatecznie wszystkie potrzeby Buszmanów, ale zwierzyna trzyma się tutaj przeważnie okolic otwartych, pokrytych dobrą trawą, a te znajdowały się od niepamiętnych czasów w posiadaniu pasterskich Hottentotów i rolniczych Kafrów, którzy są nieubłaganymi wrogami Buszmana i nie znoszą jego widoku. Tylko w zachodniéj części kraju, gdzie ludność jest bardzo rzadka, Buszmani używają swobody w polowaniu i urządzają zasieki, w które napędzają gromadnie zwierzynę: zasieki takie składają się z palów i chrustu ustawionych we dwa szeregi, rozchodzące się pod kątem prostym; w miejscu, gdzie się dwa ramiona kąta stykają, znajduje się głęboki dół, którego dno jest najeżone ostremi palami. Pędzone antylopy, nie przeczuwając zdrady, dostają się pomiędzy dwa ramiona zasieku, wpadają w dół, jedne zabijają się i ranią, inne, gdy dół się wypełni, uchodzą na wolność przez trupy swoich towarzyszy, a gdy połów się powiedzie, byt myśliwych jest zabezpieczony na kilka tygodni.

Ale na wschodzie i na południu Buszmani zajmują tylko najdziksze i najnieurodzajniejsze okolice górzyste, gdzie zwierzyna jest rzadszą i ostróżniejszą a zawód myśliwski trudniejszy, i w tych stronach umysł buszmański znalazł nieograniczone pole do rozwoju chytrości i podstępu, które są głównemi znamionami ich charakteru. Kafrowie polują w okolicach takich zapomocą assagai, którą rzucają za uciekającą zwierzyną, ale do takiego polowania potrzeba dużo ludzi, jedni czekają na stanowisku, inni napędzają zwierzynę a assagaja wymaga pewnego rzutu i silnego ramienia. Buszman poluje zazwyczaj w odosobnieniu, a że ręka jego jest za słabą, ażeby mogła władać assagają, używa łuków i zatrutych strzał. Łuki ich są małe, nie dochodzą nigdy trzech stóp długości, z cienkiego i elastycznego pręta, napiętego rzemieniem, albo sznurkiem skręconym z kory krzewów należących do rodzajów Gnidia i Passerina. Strzały z drzewa są uzbrojone na końcu ostrym kawałkiem kości, albo krzemieniem.

Różne są podania co do rodzaju trucizny używanéj przez Buszmanów, i zdaje się, że w różnych okolicach w różny wyrabiają ją

sposób, używając w tym celu jadów zwierzęcych i roślinnych. Według Liwingstona i Chapmana Buszmani w pustyni Kalihari i nad jeziorem Ngami zatruwają strzały za pomocą małéj gąsieniczki żyjącéj na drzewach; którą nazywają nga; wnętrzności jéj są nadzwyczaj jadowite; gdy dostaną się do krwi, działają śmiertelnie. Przy zatruwaniu strzał Buszmani postępują bardzo ostróżnie, ująwszy gąsieniczkę we dwa palce gniotą ją z wolna i wyciśnionym płynem namazują ostrze strzały. Używają także jadu wężów; missyonarz Moffał opisuje, że ubiwszy jadowitego węża wyrywają ostróżnie pęcherzyki z pod zębów, płyn w nich zawarty mięszają z sokiem Euphorbii i mięszaninę ogrzéwają przy ogniu, wskutek czego przybiéra gęstość wosku. Używają i innych roślin jadowitych z rodziny liliowatych, np. gatunków Haemanthus toxicarius i Buphone toxicaria, które mięszają również ze sokiem Euphorbii. Trucizna działa najsilniéj póki świeża, wówczas mniejsze zwierzęta zabija w kilkanaście minut, większe dobrze trafione giną w pół godziny.

Do pościgu zwierzyny używają psów; w braku tych pędzą z niezmordowaną wytrwałością za zranioném zwierzęciem i nie odstąpią zdobyczy. Jeżeli ślad jéj przypadkiem utracą, wówczas badają uważnie kierunek lotu ptaków drapieżnych, za pomocą których zgubę zazwyczaj odnajdują.

Pomiędzy rysunkami zdobiącemi skały ich kryjówek, można napotkać częstokroć ludzkie postaci ze zwierzęcemi głowami. Znaczenie tych rysunków wytłómaczył mi jeden stary Buszman w ten sposób, że gdy polują w miejscach otwartych, gdzie podejście zwierzyny jest daleko trudniejszém, wówczas przebiérają się za zwierzęta, co im ułatwia zbliżenie się do upatrzonéj ofiary. Polując na strusia biorą na siebie siodełko ozdobione piórami, a w ręku niosą przed sobą na długim kiju nadzianą szyję z głową tegoż ptaka. Przebiérają się także i za antylopy i gdy im się uda przybliżyć do gromadki tych zwierząt, podstęp zostaje sowicie wynagrodzonym, bo wówczas zapomocą zatrutych strzał ubijają po kilka sztuk naraz.

Ale polowanie w okolicach nie bardzo obfitujących w zwierzynę przedstawia wiele trudności, a chytrość buszmańska i podstęp nie są wstanie zrównoważyć niedokładności broni, jakiéj używają, korzystny wypadek polowania zaspakaja potrzeby Buszmanów chwilowo, lecz te chwile zadowolenia są przegradzane długiemi ustępami głodu i nędzy. Wówczas badają oni lot ptaków drapieżnych, idą w ślad za lwem, lampartem, hyeną i dzielą się z niemi zdobyczą. Podniebienie ich nie jest bardzo wybredném, bo przymuszeni głodem spożywają nawet padlinę otoczoną przez robactwo, a węże, za-

by, jaszczurki, uważają za przysmaki. Wydymają żabę powietrzem przyłożywszy usta do otworu odchodowego, wywracają ją na zewnątrz a oczyściwszy z wnętrzności pieką na ogniu; wyszukują gniazda mrówek i chciwie je spożywają, a gromady szarańczy witają okrzykiem radości. Owady te upieczone w naczyniu glinianém i ubite w bezkształtną masę przenoszą nawet nad mięso zwierząt, a jeden z myśliwych, wracający z głębi kraju, upewniał mnie, że próbował nieraz sam tego pożywienia i znalazł je dość znośném.

Nie gardzą i pożywieniem roślinném, którém na nieszczęście przyroda afrykańska bardzo skąpo ich obdarza. Południowa Afryka jest bardzo ubogą w owoce jadalne. Największy owoc w Natalu wydawany przez drzewo należące do rodzaju Strichnos ma rozmiary średnich jabłek, smak i zapach dosyć przyjemy, ale w ziarnach jego znajduje się jedna z najsilniejszych trucizn roślinnych, tak zwana strychnina. Krzew nazwany Brabejum stellatum, pospolity w całéj kolonii, wydaje obficie owoce wielkości migdałów, które w stanie surowym są również jadowite i tracą tę własność dopiéro po przypieczeniu. Inne owoce jadalne są prawie bez wyjątku drobnemi jagodami, na które Europejczycy prawie uwagi nie zwracają. Na piaszczystéj glebie pustyni Kalihari rośnie wiele gatunków roślin dyniowatych z wielkiemi owocami, mogącemi służyć od biédy za pożywienie. Owoce jednego gatunku odznaczają się nawet dość przyjemnym smakiem, ale rzecz szczególna, że ta sama roślina wydaje owoce raz słodkie drugi raz gorzkie, prawie zupełnie nieużyteczne, trudno zgadnąć z jakiéj przyczyny. Rodzina tłustoszowatych (Crassulaceae) dostarcza kilku roślin (jak np. Crassula pyramidalis), które mogą być używane za pożywienie, a chociaż smak ich nieszczególny, to przynajmniéj nie są szkodliwe. Jest i kilka innych roślin, których bulwiaste korzenie są jadalne, ale widziałem je w porze posuchy, ogołocone z liści i kwiatów, i nie mogę oznaczyć do jakich należą rodzajów.

Gdybym chciał wymienić po szczególe wszystkie rośliny dostarczające jagód nieszkodliwych, a zatém jadalnych, liczba roślin pożytecznych, właściwych koloniom afrykańskim, byłaby dość znaczną, ale czémże są one w porównaniu z płodami okolic podzwrotnikowych gdzie jedna palma dostarcza człowiekowi więcéj pożywienia, aniżeli tutaj cały las, gdzie kilka drzew wystarcza nieraz do zaspokojenia potrzeb całéj rodziny. Z wyjątkiem wzmiankowanéj powyżéj jadalnéj dyni, owoce tutejsze są tak nędzne, że chyba tylko buszmańskie podniebienie upodobanie w nich znaléźć może a Europejczyka

zaledwie głód i ostatnia nędza do używania ich przymusićby zdołały.

Polowanie jest udziałem mężczyzn, a nagromadzeniem pożywienia roślinnego zajmują się wyłącznie kobiéty i dzieci. Do kopania korzeni używają one drążka ostro zakończonego, obciążonego w dolnéj swéj części kamieniem. Kamienie te mają postać kulistą i są przedziurawione, a otwór służy do nadziania ich na drążek. Chapman i Bains opowiadają, że w pustyni Kalihari rośnie ziele, wydające grube bulwiaste, jadalne korzenie; gdy w porze posuchy łodygi i liście téj rośliny zeschną, ślad jéj ginie zupełnie, a Europejczyk nie wiedziałby gdzie szukać korzeni; kobiéty buszmańskie radzą sobie w sposób bardzo dowcipny, uderzają ziemię drążkiem i po odgłosie, jaki ona wydaje, poznają z łatwością miejsce, gdzie się korzenie znajdują.

Za największy przysmak uważają Buszmani miód dzikich pszczół, których gniazda wyszukują, postępując w ślad za małym ptaszkiem żywiącym się temi owadami.

W tym stanie rzeczy nagromadzenie pożywienia potrzebnego dla całéj rodziny jest połączone z nadzwyczajnemi trudnościami i wyczerpuje wszystkie jéj siły. Zaspokojenie głodu jest najważniejszém zadaniem w życiu Buszmana, a tém samém i najwyższym jego celem. Czuje on się szczęśliwym, gdy nie jest głodnym, a jedzenie uważa za największą przyjemność. Gdy połów się uda, cała rodzina oddaje się roskoszy jedzenia. Jedzą ogromnie wiele i śpią na przemiany; gdy czują przepełnienie żołądka, skaczą i tańczą w przekonaniu, że przyśpieszą trawienie pokarmu i przygotują miejsce na nowe zapasy. W ten sposób zdobycz znika z szybkością; gdy braknie mięsa, obgryzają porzucane kości, potém zjadają skórę zwierzęcia i jego wnętrzności, a potém chwilowa rozrywka ustępuje miejsca codziennéj ciężkiéj i gniotącéj nędzy. Głód jest najważniejszym czynnikiem w życiu Buszmana i prześladuje go od kolebki aż do grobu. Ażeby zmniejszyć przykre jego działanie, zakłada on na ciało skórzany pasek i ściąga go w braku pożywienia a rozpuszcza, gdy się zdobycz nadarzy. Rzecz dziwna, że pasek głodowy znajduje się w używaniu i u ludów pierwotnych w Australii, trudniących się również myśliwstwem. O kilku innych szczegółach wspólnych Buszmanom i Australczykom wspomnimy poniżéj.

Użytek ognia znany im był od niepamiętnych czasów; do wydobywania go służył pierwotnie przyrząd z dwóch kawałków drzewa złożony, z których jeden był płaski i przedziurawiony, a drugi miał postać długiego pręta; otrzymywali ogień przez silne tarcie tego pręta w otworze pierwszego kawałka, umieściwszy w nim dla

uchwycenia ognia, zeschłe i zgniecione liście. W ostatnich czasach rozpowszechnił się już pomiędzy nimi użytek stali i krzemienia, wskutek czego ów pierwotny przyrząd został zarzuconym, a przynajmniéj stał się nadzwyczaj rzadkim, nie widziałem go sam i nie mogę z tego powodu podać dokładniejszego jego opisu.

Spożywają zazwyczaj mięso opieczone na ogniu, ale obecnie znajdują się już w posiadaniu naczyń glinianych, które otrzymują od handlarzy lub podróżnych. Jedynym przyrządem stołowym jakiego zresztą używają jest nóż. Włożywszy koniec mięsa do ust, odcinają go nożem przed samemi wargami. Przy spożywaniu polewki mięsnéj, szczególniéj do karmienia dzieci, używają w miejsce łyżki pędzla z włosów ubitych zwierząt. Do przechowywania wody służą skorupy jaj strusich.

Życie myśliwskie przymusza ich nieraz do przebywania znacznych odległości i dlatego jaskinie i kryjówki przez nich zamieszkiwane służą tylko za stały pobyt dla kobiét i niedorosłych dzieci; ojciec rodziny i starsi synowie przepędzają większą część życia za domem i tylko po bardzo pomyślnym połowie używają wywczasu na łonie rodziny. W pustyni Kalihari inna jeszcze okoliczność zmusza ich do odbywania dalekich podróży. Cała południowa Afryka jest krajem bardzo suchym; na wschodnich i południowych wybrzeżach zima jest suchą i przez pół roku czasami ani kropla wody nie spadnie, ale pomimo tego w okolicach górzystych, zajmowanych przez Buszmanów, potoki przechowują i w téj porze zasoby wody, wystarczające dla ludzi i zwierząt. Inaczéj ma się rzecz w pustyni Kalihari, zajmującéj północno-zachodnią część południowéj Afryki i w tak zwaném Karroo, które ciągnie się wąskim pasem, oddzielając środkowe wyżyny od gór nadbrzeżnych. Są to okolice suche, bezwodne, gdzie deszcze czasami przez kilka lat nie padają, a wówczas woda w rzekach niknie, a źródła wysychają. Brak wody jest bardzo ważnym czynnikiem w życiu tutejszych Buszmanów, ale przyroda, a właściwie może długowiekowe doświadczenie, obdarzyła ich dziwnym zmysłem pomagającym do jéj odkrycia. Kopią oni wówczas w suchych korytach rzek głębokie doły i prawie zawsze znajdą wodę; próbowałem sam nieraz tego sposobu w czasie podróży przez bezwodne okolice z dobrym skutkiem. Ale czasami piasek jest w głębokości kilku stóp wilgotnym, a pomimo tego trudno złapać wodę; w tym przypadku Buszman radzi sobie w bardzo zmyślny sposób.

Na dnie wykopanego dołu kładzie on wiązkę suchéj trawy i zakłada w nią długą trzcinę, poczém trawę przysypuje piaskiem tak, że koniec trzciny sterczy nad powierzchnią ziemi. Przysypana

wiązka trawy przedstawia pewien rodzaj próżni, do której ścieka woda w małéj ilości, i co kilka godzin wydobywaną być może. Wydobywają ją kobiéty, przyłożywszy usta do końca trzciny i oddając napowrót do naczynia; jeżeli ilość wody przewyższa chwilową potrzebę, zlewają ją do jaj strusich i zakopują w piasku, przechowując na czas potrzeby. Zresztą miejscowości takie zasypują starannie kamieniami lub gałęziami, ażeby zatrzéć wszelkie ślady, które istnienie drogocennego skarbu mogłyby zdradzić przed drugimi.

Jasną jest rzeczą, że wobec takich okoliczności życie rodzinne nie mogło się rozwinąć i uszlachetnić. Trudność w otrzymaniu pożywienia nie pozwala Buszmanom łączyć się w większe gromady, a zmuszając pojedyncze rodziny do ciągłéj zmiany miejsca, robi wszelki postęp niemożebnym. O życiu ich rodzinném wiémy bardzo mało, a kilka szczegółów podawanych przez podróżników przejmuje zgrozą czytelnika. Koloniści, którzy stykali się z Buszmanami zbliska, posądzają ich o zupełny brak uczuć rodzicielskich i twierdzą, że przyciśnieni głodem pozostawiają dzieci w drodze; ścigani przez dzikie zwierzęta poświęcają je dla uratowania siebie samych; że w przystępie gniewu lub w razie nieporozumień małżeńskich zemstę swą na dzieciach wywierają, a zabijają takie, które przychodzą na świat upośledzone. Nie chcę bynajmniéj twierdzić, ażeby wyliczone powyżéj przypadki nie istniały pomiędzy Buszmanami, bo statystyka sądowa przekonywa nas, że zbrodnie tego rodzaju zdarzają się dość często i wpośród ludów ucywilizowanych, ale przyjmowanie ich za ogólną miarę charakteru Buszmanów uważam za przesadę.

O ile jednakowoż mogłem zasięgnąć wiadomości na miejscu, zdaje się, że dwie zbrodnie stały się u nich zwyczajem a mianowicie: że gdy umrze kobiéta, pozostawiając niemowlę, takowe żywe razem z matką zagrzebują, a następnie, że niedołężnych starców porzucają na drodze, opatrzywszy ich w trochę wody i pożywienia. Zbrodnicze te zwyczaje są bezwątpienia fatalném następstwem sposobu życia, na jakie te ludy są skazane.

Odchowanie niemowlęcia bez pomocy mléka jest bardzo trudném, a dla nielicznéj i ginącéj często z głodu rodziny prawie niemożebném zadaniem. Również i zniedołężniały, albo złożony chorobą członek rodziny jest dla niéj ciężarem, a w razie nieprzyjacielskiego pościgu naraża ją na oczywistą zgubę. W każdym razie okoliczność ta, że porzuconych zaopatrują w wodę i pożywienie, dowodzi wymownie, że i w sercu Buszmana znajduje się zawiązek uczuć szlachetnych, różniących ludzi od zwierząt. Nie jest im obcém i uczucie wdzięczności, bo Chapman opisuje, że w chwili, gdy on

i jego ludzie w bezwodnéj okolicy okropnie cierpieli od pragnienia, towarzyszący mu Buszmani obdarzyli go skorupą pełną wody, chcąc mu okazać wdzięczność za pozwolenie spożycia części ubitéj zwierzyny.

Buszmani oswojeni, pozostający w obowiązkach u kolonistów, odznaczają się wogóle wieloma zaletami. Missyonarz Merensky twierdzi, że przewyższają Hottentotów energią, pilnością i wiernością, a jako pasterze i myśliwi oddają panom swoim wielkie usługi. Nauczał on i chrzcił Buszmanów i przekonał się, że są obdarzeni umysłem czynnym i wrażliwym i odznaczają się pojętnością, a w stosunkach z białymi podlegają niekiedy jedynie przystępowi złego humoru. Prawie to samo twierdzi o nich Barrow, a inni podróżnicy, jak Lichtenstein, Burchell i missyonarz Moffat opisują ich jednozgodnie, jako ludzi wesołych i spokojnych, przyjacielskich i uczynnych, podnoszą ich życzliwość względem przyjaciół, przywiązanie do dzieci, słowność i wdzięczność za otrzymane dobrodziejstwa względem obcych.

Znakomity badacz języka i historyi Buszmanów Dr. Bleeck miał za nauczyciela młodego Buszmana, który za zamordowanie jednego z kolonistów skazanym został na 18 lat więzienia, ale już po czterech latach, z powodu wzorowego zachowania się od reszty kary uwolniony przyjął obowiązki służącego u uczonego filologa. Był to pierwszy Buszman jakiego widziałem w Afryce i przyznaję się otwarcie, że chociaż nie znałem jego historyi, pierwszy jego widok zrobił na mnie bardzo niemiłe wrażenie. A jednakże według twierdzenia D-ra Bleecka odznaczał się on spokojnym i łagodnym charakterem, był pracowity, posłuszny i szczerze przywiązany do rodziny swego pana; przytém wszystkiém tęsknił za rodzinną pustynią i po kilkunastu miesiącach, otrzymawszy pozwolenie, powrócił do swoich.

Zresztą jasną jest rzeczą, że na ogromnych przestrzeniach południowéj Afryki zmienia się niejednokrotnie i przyroda ziemi, a zmiana taka nie pozostaje bez wpływu na rozwój umysłowy pierwotnych jéj mieszkańców, do czego zresztą i stosunki towarzyskie wiele się przyczyniają. W okolicach zachodnich, słabo zaludnionych, Buszmani doznają nieograniczonéj swobody i daleko łatwiéj zaopatrują swoje potrzeby, co pozwala im łączyć się w większe gromadki, a podróżnicy jednozgodnie prawie opisują ich, jako mniéj dzikich, a w wielu przypadkach podnoszą nawet spokój i pewność, z jaką względem obcych występują. Na wschodzie i południu Buszmani byli otoczeni od niepamiętnych czasów wrogiemi żywiołami; walczyli pierwotnie z Hottentotami, potém Kaframi a następnie z ko-

lonistami holenderskiego pochodzenia; nic dziwnego, że parci ze wszech stron i zmuszeni chronić się w najniedostępniejszych kryjówkach górskich popadli w stan niezwykłéj dzikości, chociaż pewną jest rzeczą, że ci, którzy ich najbardziéj potępiają, do upadku ich sami się najwięcéj przyczynili.

Wiadomości nasze o życiu ich rodzinném są bardzo ograniczone. Nie mają nazwisk rodzinnych, ale niedorzeczném i przesadném jest twierdzenie, jakoby nie mieli imion osobistych; mają je z pewnością i wyliczają nawet imiona wszystkich swych krewnych i przodków aż do czwartego pokolenia.

Małżeństwa zawierają się u wszystkich innych ludów afrykańskich w ten sposób, że żeniący się kupuje dziewczynę u rodziców, a kobiéta traci wolność swoję i bywa uważaną za pewien rodzaj prywatnéj własności, polygamia jest tutaj ogólną. Buszmani miewają również po kilka żon, lecz nie kupują kobiét, chociażby z téj prostéj przyczyny, że nie posiadają nic, coby za nie oddać mogli. Rozpowszechnionym zdaje się być jednakowoż ten zwyczaj, że pojmujący żonę obowiązuje się pozostawać przez pewien przeciąg czasu przy jéj rodzicach i oddawać im część ubitéj zwierzyny.

Przeciwko zarzutowi, jakoby uczucia rodzinne były u nich nie znane, przemawia wiele okoliczności. W zbiorze podań i legend buszmańskich doktora Bleecka znajduje się legenda następującéj treści. Buszman raniony przypadkiem na polowaniu przez jednego z myśliwych umiéra, a umiérając prosi towarzyszy, aby się nie mścili na tym, który jest powodem jego śmierci; potém przemawia do swojéj żony, daje jéj rady i żegna się z nią; żona rozpacza, płacze i nie przyjmuje pożywienia, jéj świekra pociesza ją. Po pogrzebie wdowa powraca do swojego ojca, gdzie jéj bracia bardzo dobrze ją przyjmują, opowiada swój smutek rodzinie i zarzeka się, że nie pójdzie drugi raz za mąż, bo nie znajdzie męża, któryby dla niéj był tak dobrym, jak nieboszczyk. Legenda cała obfituje w tkliwe dyalogi, świadczące najwymowniéj o przywiązaniu rodziców do dzieci, zgodzie w rodzinie i miłości pomiędzy małżonkami.

Umarłych grzebią, a po pogrzebie cała rodzina opuszcza na dłuższy przeciąg czasu miejscowość, gdzie spoczywa zmarły jéj członek. Dzieje się to szczególniéj, gdy umrze ojciec rodziny, jak twierdzą dlatego, ażeby pozostałe dzieci nie myślały o ojcu i nie płakały po nim.

Zdaje się, że chłopcy i dziewczyny, gdy dojdą do dojrzałości, ulegają pewnemu obrzędowi jak to ma miejsce i pomiędzy Kaframi, bo w zbiorze D-a Bleecka znajdują się szczegóły, zostające w związku z tym obrzędem, np. co dziewczyny powinny jeść, a czego mają

unikać, o czém młodzi nie powinni mówić, ażeby uniknąć zemsty wody, jako mężczyzna przez jedno spojrzenie na dziewczynę w porze, gdy nie powinna być widzianą, zdrętwieje ze wszystkiém coby trzymał w rękach i zamieni się w drzewo mówiące itd.

Pomiędzy tylu dziwacznemi szczegółami, jakie istnienie tego ludu rozwija tak obficie przed umysłem zdumiałego widza, najdziwaczniejszém zjawiskiem jest niezaprzeczenie jego mowa. Szczególny jéj charakter polega w głosach mlaskających, które występują w każdym niemal wyrazie i nadają mowie dziwny dźwięk. Naśladowanie tych głosów jest dla Europejczyka prawie niemożebném a zdaje się, że i krajowcom niemało sprawia trudności, bo mówią zawsze powoli, a gdy mówią cała prawie ich twarz znajduje się w ruchu. Mlaśnień takich jest w języku buszmańskim sześć, cztery bywają wydawane za pomocą języka, jedno za pomocą warg, a jedno wychodzi głęboko z gardła; językowe przypominają poczęści głos, jaki wydają woźnice, klaszcząc na konie, wargowe cmoknięcie przy pocałunku, a gardłowe przypomina żywo urywane głosy, wydawane przez rozgniewanego pawjana. W codziennéj mowie jest ich tylko sześć, ale w dyalogach pomiędzy zwierzętami, w które obfituje literatura buszmańska, liczba ich zwiększa się znacznie. Trudno mieć wyobrażenie o zabawnym widoku, jaki przedstawia Buszman, wygłaszający dyalog pomiędzy dwoma zwierzętami. Układa on usta tak, ażeby przypominały pyszczek odpowiedniego zwierzęcia i każdy prawie wyraz obdarza przypisywaném temu zwierzęciu mlaśnięciem.

Język buszmański znalazł godnego badacza w osobie uczonego D-ra Bleecka, który dwadzieścia lat swego życia poświęcił badaniu tego ludu i zgromadził nieocenione skarby nietylko dla języka, ale i dla religii, mitologii, literatury i wszystkiego co się tyczy umysłowego życia Buszmanów. W czasie pobytu mojego na Przylądku Dobréj Nadziei, doznawałem z jego strony dowodów nieograniczonéj życzliwości i przyjaźni i zawdzięczam mu wiele cennych szczegółów o tym kraju i jego mieszkańcach.

Nagła śmierć wyrwała szlachetnego badacza z grona rodziny i przyjaciół i przerwała bieg jego studyów; kolonie afrykańskie straciły w nim najuczeńszego człowieka, autor téj pracy osobistego przyjaciela a nauka rezultat dwudziestoletniéj pracy i poświęcenia dla przedmiotu, który dla niéj jest prawie zupełnie obcym. Jest jednakowoż nadzieja, że praca ta nie zaginie, bo uporządkowaniem pozostałych po D-rze Bleecku materyałów zajęła się siostra jego żony, panna Lucya Lloyd, która włada bardzo dobrze językiem buszmańskim, pomagała od kilku lat bezustannie w pracach nauko-

wych zmarłemu i nie mniejszym od niego dla ulubionego przedmiotu ożywiona jest zapałem.

Niektórzy podróżnicy, zwiedzający te okolice pobieżnie i niewolni od uprzedzeń, rozpisują się nad ubóstwem tego języka i opowiadają np. że Buszman nie odróżnia rodzajów a rachować umié tylko do trzech. Na to mogę odpowiedzieć, że jeden z najoświeceńszych narodów azyatyckich, liczący czterysta milionów dusz, mianowicie chińczycy, również rodzajów nie rozróżniają; nie rozróżniają nawet rzeczowników od czasowników i nie mają wogóle żadnych form gramatykalnych.

Prawdą jest, że Buszmani rachują tylko do trzech, ale D-r Bleeck w sprawozdaniu swojém przedłożoném parlamentowi kolonialnemu (1) zawiadamia takowy, że jego słownik języka buszmańskiego obejmuje już przeszło dziesięć tysięcy wyrazów. Są pojęcia, dla oddania których Buszmani używają czasami kilkunastu wyrażeń; np. pojęcie oszukania, albo podejścia kogoś oznaczają dwunastu wyrazami. Gdy panna Lloyd zapytała raz wzmiankowanego powyżéj Buszmana, czy jest zadowolniony z obiadu, odpowiedział twierdząco, ale użył wyrażenia jéj nieznanego. Zapytany, dlaczego do oznaczenia zadowolnienia swojego użył dziś innego wyrazu, jak wczoraj, odrzekł: „Pani to jest zupełnie co innego, czy ja sobie pojem dotąd, czy dotąd,“ i wyraz czy dotąd powtórzył siedm razy, posuwając za każdym razem wskazujący palec od żołądka aż do gardła.

Twierdzenie innych podróżników, jakoby język buszmański stał na tak niskim stopniu rozwoju, że każda horda ma swoje osobne narzecze, a nieraz członkowie jednéj rodziny pomiędzy sobą zrozumiéć się nie mogą, nie jest zupełnie bezzasadném. Jasną jest rzeczą, że w społeczeństwie tak rozrzuconém, jak buszmańskie, musiały się wyrobić z biegiem czasu w różnych okolicach różne właściwości, ale Dr. Bleeck znalazł wielką zgodność w językach hord nawet na kilkaset mil angielskich od siebie oddalonych, a podania ich i opowieści powtarzają się z małemi zmianami na całym obszarze południowéj Afryki.

Jeżeli zadziwiającém jest bogactwo tego języka pod względem liczby wyrażeń, to bardziéj jeszcze uderza bogactwo przechowujących się w nim utworów fantazyi. Zbiór podań mytologicznych, bajek, legend, poezyj, zwyczajów, zabobonów i dat genealogicznych zajmuje w materyałach nagromadzonych przez D-ra Bleecka

---

(1) A brief account au Bushman Folk-love etc. Cape Tawn. 1875.

siedmdziesiąt siedm tomików we czwórce, a razem sześć tysięcy sześćset pół stronnic (rozumié się że wszystko w rękopiśmie). Obok podań mitologicznych, o których niżéj będzie wzmianka, występują tutaj przeważnie przygody ludzi ze zwierzętami, bajki zwierzęce i opowiadanie o zwyczajach różnych zwierząt, znajdują się nawet ślady poezyi, a w sprawozdaniu D-ra Bleecka figurują w tym oddziale głównie śpiewy zwierząt, wygłaszane w różnych przygodach; o formie téj poezyi nic stanowczego powiedzieć nie mogę. Wszystkie te szczegóły przemawiają zatém, że fizyczne upośledzenie Buszmanów jest tylko pozorném, ale umysł ich czynny, wrażliwy i zdolny do dalszego rozwoju, a jeżeli uwzględnimy ich zamiłowanie do malarstwa i muzyki, to bezstronny spostrzegacz przyzna, że pod względem umysłowego uzdolnienia przewyższają o wiele Kafrów i Hottentotów a nawet i inne ludy afrykańskie, stojące wyżéj od nich pod względem społecznym.

Missyonarze angielscy, pracujący w południowéj Afryce, opowiadają ze zgorszeniem, że lud ten nie ma żadnéj religii; twierdzenie to jest również bezzasadném, jak wiele innych pochodzących z tego samego źródła. Religia występuje u nich w téj saméj postaci, jak i u innych pierwotnych, po za granicami cywilizacyi stojących ludów. Budzi się najprzód poczucie sił po za człowiekiem stojących, myśl pierwotnego człowieka szuka przyczyny zjawisk w przedmiotach, podpadających mu pod oczy, przypisuje im różne szczególne własności, zwraca ku nim swoje uczucia, a we wszystkich krajach i u wszystkich ludów pierwsze ślady religii występowały zawsze pod postacią fetyszyzmu. Z początku przedmiotem czci bywają kamienie, rośliny i zwierzęta; na wyższym stopniu rozwoju wznosi się myśl pierwotnego człowieka do ciał niebieskich, szukając w nich ogniska sił działających w przyrodzie i przyczyny zjawisk w codzienném życiu. Buszmani czczą obecnie słońce, księżyc i gwiazdy, a Dr. Bleeck znajduje się w posiadaniu oryginalnych buszmańskich modlitw do różnych ciał niebieskich.

W dalekiéj przeszłości czcili oni przeważnie zwierzęta, co było najprostszém następstwem ich sposobu życia, a czego dowodzi wymownie ich bogata mitologia. W materyałach pozostawionych przez D-ra Bleecka, znajduje się mnóstwo podań treści mitologicznéj i żałować wypada, że spoczywają dotąd w rękopiśmie. Bardzo cenny przyczynek do mitologii Buszmanów wschodnich okolic, zawdzięczamy Panu Orpenowi (1), który biorąc udział w jednéj z wypraw

---

(1) A glimpse Into the Mythology of the Maluti Bushmann, drukowane w Cape Monthly Magazine 1874.

przeciwko Kafrom, kopijował rysunki buszmańskie w górach Matuli i starał się o ich zrozumienie. Przypatrzmy się bliżéj tym utworom wyobraźni dzikiego człowieka a potém postarajmy się o ich zrozumienie.

Najważniejszą postacią w mytologii Buszmanów jest Ckaggen. Nazwa ta oznacza dziwacznego owada z rodziny prostoskrzydłych, którego zoologowie nazywają Modliszką, (Mantis religiosa). Żoną Ckaggena jest pospolite w tych stronach zwierzątko z rodzaju borsuka, t. z. Daman (Hyrax capensis); ich przybraną córką jest Jeżozwierz, któréj mąż nazywa się Ckwammana (prawdopodobnie również dotąd nieodgadniona nazwa jakiegoś zwierzęcia). Synem téj pary jest Ichneumon.

Ckaggen bierze trzewik należący do swojego zięcia Ckwammana i zamienia go w Elanda (rodzaj wielkiéj antylopy). Polubiwszy to zwierzę, ukrywa je w zaroślach i karmi miodem. Ichneumon zostaje wysłanym przez rodzinę, ażeby się dowiedział, dlaczego Ckaggen nie przynosi miodu do domu. Ckaggen domyśliwszy się zamiarów Ichneumona zawiązuje go w worek, ale ten robi w worku dziurę i odkrywa istnienie Elanda. Potém Ichneumon razem z ojcem swoim Ckwammananą, wywabiwszy Elanda z zarośli za pomocą miodu, zabijają go. Nie znalazłszy ulubieńca w zaroślach Ckaggen gorzko płacze; spostrzegłszy krew idzie za jéj śladem i napotyka Łasice (Suricata Zennick), krające jego ulubieńca. Jedna Łasica rzuca gwałtownie Ckaggena na rogi nieżywego zwierzęcia.

Ten zgniótłszy żółć innego Elanda tworzy ciemność, skacze w nią, powraca do domu i leży chory. Łasice pokrajawszy mięso Elanda zawieszają je na drzewie, ażeby wyschło a zawiesiwszy na tém samém drzewie swoję broń i ubiory zasypiają. W nocy drzewo powstaje i przenosi się ze wszystkiemi zawieszonemi na niém przedmiotami na miejsce, gdzie leży chory Ckaggen. Ten zabiéra razem z wnukiem Ichneumonem przedmioty należące do nieprzyjaciół.

Innym razem, gdy Ckaggen kopał korzenie dla swego Elanda, słoń samica uprowadza to zwierzątko i zostawia natomiast swoje młode. Ckaggen zabija takowe i idzie w ślad za matką. W chwili gdy poznaje swojego Elanda, ten zostaje pożartym przez słonia. Ckaggen walczy ze słoniem przy pomocy Szpringboka (rodzaj antylopy), ubija słonia, wchodzi do jego wnętrzności, uwalnia swojego ulubieńca i wraca w tryumfie do domu.

Innym razem odwiedza Ckaggen mieszkanie kleszczy. Te chowają się w wełnie swoich owiec z wyjątkiem jednego, który pilnuje garnków z jadłem stojących przy ogniu; ale potém wychodzą,

biją Ckaggena i zmuszają go do ucieczki. Na żądanie Ckaggena córka jego (Jeżozwierz) wzywa pomocy potworu Czkwaihemm, aby odebrał kleszczom część owiec do nich należących, ale żarłoczny ten potwór połyka Ckaggena i jego zięcia Ckwammane. Młodzi synowie Ckaggena zabijają potworu, wszystkie istoty pożarte przez niego wracają do życia i wynoszą się z miejsca, gdzie trup jego leży.

Córka Ckaggena, zelżona przez ojca, rzuca się pomiędzy węże ażeby zginąć. Najstarszy wąż bierze ją za żonę. Ckaggen poséła po nią syna swojego Kogaza, pożyczywszy mu swych zębów; zabrawszy siostrę wraca z nią Kogaz do domu; przed odejściem obwiązują swoje nogi sitowiem. Trzy węże puszczają się w pogoń za niemi, gryzą uciekających po nogach, ale bez szkody, biją ich rzemieniami, ale również bezskutecznie, rzucają na nich piaskiem, aby ich zapędzić do wody. Woda wznosi się po nad góry, a inne węże chronią się na umyślnie w tym celu wystawione rusztowanie. Wysłany przez Ckaggena Kogaz uderza węże laską a te zamieniają się w ludzi.

Kogaz, wysłany przez ojca dla cięcia lasek, zostaje schwytany przez pawianów, a potém zabity i zawieszony na drzewie, około którego pawiany tańczą. Tymczasem Ckaggen, pomazawszy nos maścią czarowną, poznaje co się stało. Bierze worek cierni, udaje się na miejsce nieszczęścia i wbija jeden cierń w plecy każdemu pawianowi; zapędza ich potém w góry i każe im żyć za karę skorpionami i chrabąszczami. Odtąd pawiany nie są już ludźmi. Powróciwszy z ciałem Kogaza do domu przywraca go do życia za pomocą czarownéj maści.

Nie brak i komicznych sytuacyj w życiu Ckaggena. Spotkawszy porzuconą kobiétę, chce ją pojąć za żonę, bierze na plecy i niesie do domu. Baba przylgnęła do jego pleców jak wosk; żeby jéj się pozbyć trze Ckaggen plecami o drzewo i przylepia się sam do drzewa jak wosk. Żona Ckaggena Koti gromi go za tę niedorzeczność, gotuje wodę, polewa wrzącą wodą babę i uwalnia męża; ten urządza babie wielkie bicie za to, że przylgnęła do niego jak wosk.

Innym razem Ckaggen zabiéra jaja jakiemuś bajecznemu ptakowi, lecz gdy się zabiéra do ich spożycia, jedno jajo przyczepia mu się do ust, a reszta do jego pleców, odnosi jaja do gniazda tego ptaka, gdzie same odpadają.

Znowu żeby przestraszyć dzieci, Ckaggen przybiéra postać nieżywego hartebista (inny rodzaj antylopy). Dzieci krają go na kawałki i niosą do domu, ale kawałki ruszają się a głowa zaczyna mówić. Przestraszone dzieci porzucają swą zdobycz, porzucone ka-

walki zrastają się, Ckaggen przybiéra właściwą sobie postać i karci dzieci, które uciekają.

Przytoczone powyżéj ustępy odznaczają się niezaprzeczenie charakterem mytologicznym a uderza w nich ta okoliczność, że działające osoby mają nazwy zwierząt. Jestto uosobienie postaci zwierzęcych przemawiające za tém, że pierwotna religia Buszmanów rozwinęła się w postaci fetyszyzmu zwierzęcego, który został dopiéro usunięty przez cześć oddawaną ciałom niebieskim. Ale myśl dzikiego Buszmana nie była zdolną zerwać z tradycyą, w skutek czego postacie czczonych niegdyś zwierząt, przeszedłszy w dziedzinę wspomnień, stały się przedmiotem utworów fantazyi. Według poszukiwań D-a Bleecka, Buszmani czczą obecnie tylko ciała niebieskie; ani owad Mantis, ani żadne z innych zwierząt figurujących w mytologii nie jest przedmiotem ich uwielbienia. Przeciwnie Orpen opowiada, że Buszmani w górach Maluti czcząc Ckaggena twierdzą, że jest najpierwszą istotą na świecie i stworzył wszystkie rzeczy, że modląc się do niego nazywają go ojcem; coś podobnego opowiada także Fleming o Buszmanach Balde żyjących nad rzeką Zambezi, których fetyszem ma być jadowita gąsieniczka nga, służąca do zatruwania strzał, a obaj ci panowie podają nawet modlitwy odmawiane przez Buszmanów. Trudno ocenić o ile te twierdzenia zasługują na wiarę; Buszmani w Natalu i nad Zambezi należą do najdzikszych i możebną jest rzeczą, że fetyszyzm zwierzęcy przechował się u nich w pierwotnéj swéj postaci. Co do podań Orpena uważam za stosowne nadmienić, że wiadomości swe czerpał od młodego Buszmana, który stykał się z kolonistami i misyonarzami i któremu zasady religii chrześciańskiéj nie były obce, w skutek czego szczegóły podawane przez niego o Ckaggenie i modlitwa do téj istoty mogły wytworzyć się pod wpływem obcych idei.

Szamanizm grający w życiu Kafrów tak ważną rolę jest u Buszmanów bardzo słabo rozwinięty.

Wierzą w życie po śmierci, a w zbiorze Dr. Bleecka znajduje się nawet opis miejsca, do którego dostają się po śmierci, ale wiara w upiory, czyli przebywanie umarłych pomiędzy żywymi rozpowszechniona pomiędzy ludami murzyńskiemi, między Buszmanami nie istnieje wcale. Dwie tylko istoty są zdolne według nich powrócić do życia: Księżyc i struś (ten ostatni odradza się z pióra).

Wierzą oni w czary i mają czarnoksiężników, ale zakres ich działalności jest bardzo ograniczony. Leczą głównie choroby i sprowadzają deszcz. Najpospolitszym środkiem przeciw chorobie zdaje się być ucięcie jednego członka od małego palca; czynią to w przekonaniu, że cieknąca krew zabierze z sobą chorobę. Rozpowszech-

nionym jest także użytek czarownéj maści, którą nazywają Szo-coa. Wyrabiają ją z aromatycznych roślin, należących do rodziny rutowatych, głównie do rodzaju Diosma i przypisują jéj różne cudowne własności; gra ona także ważną rolę w ich mytologii. Opowiadają np. co następuje. Niedoświadczony Buszman poszedł kopać czarowne ziele; towarzysze znaleźli go przy wykopaném zielu otoczonego wężami, pozbawionego mowy i ruchu. Po stosownéṁ użyciu maści, węże zostały odpędzone i zabrały z sobą zły zapach, który zaszkodził człowiekowi, zostawiając dobry. Za pomocą tejże samej maści ów Buszman odzyskał mowę i ruchy. Pokazuje się z tego, że kopanie ziela nie każdemu jest dozwoloném. Kopiąc, odrywają kawałek łodygi z korzeniem i sadzą napowrót w ziemię, a resztę zawiązują w worek i suszą. Świeżo przywiezionego ziela lękają się kobiéty buszmańskie. Nie podlega wątpliwości, że krzewinki te odznaczają się silnemi własnościami lekarskiemi. Koloniści nazywają je buchu, robią z nich wyciąg spirytusowy, którego używają we wszystkich przypadłościach nerwowych i żołądkowych.

Do najważniejszych czynności czarowników należy sprowadzanie deszczu. O sposobach, jakich używają w tym celu, wiémy bardzo mało, i tylko rysunki buszmańskie udzielają nam kilku niepewnych wskazówek. Znajduje się w mojém posiadaniu rysunek przekopiowany przez mojego przyjaciela P-a Schunke w górach Outenikwa, przedstawiający co następuje. Na wierzchołku drąga, umocowanego w ziemi w kierunku prawie pionowym, znajduje się postać ludzka z jedną ręką wzniesioną ku niebu, a drugą spuszczoną, w środku tegoż drąga jakiś przedmiot kulisty, którego znaczenie niezrozumiałe, poniżéj tego przedmiotu są dwie ludzkie postaci, z lewéj strony nagi mężczyzna, a z prawéj prawdopodobnie kobiéta, ubrana w skórę zwierzęcą, z jakimś niewyraźnym przedmiotem na głowie. Zdaje się, że obie te postaci podtrzymują drąg w równowadze, z lewéj strony znajdują się jeszcze dwie inne ludzkie figury a po nad całą grupą wielka ciemna chmura, z któréj padają grube bryłki przedstawiające zapewne krople wody.

Inny rysunek przekopiowany przez Orpena w górach Maluti przedstawia jakieś zwierzę, ciągnione przez Buszmanów na sznurze. Buszman bawiący u D-a Bleecka tłomaczył znaczenie tego rysunku w ten sposób, że Buszmani chcąc deszcz sprowadzić oprowadzają wodne zwierzę (niewiadomo jakie) po okolicy, potém przyprowadzają je do kałuży, w któréj woda wyschła, tutaj zabijają je i zjadają. Deszcz musi spaść wszędzie, którędy zwierzę przeprowadzoném zostało.

Zabobony i przesądy, te niedostępne towarzysze szamanizmu, są pomiędzy Buszmanami głęboko zakorzenione i ważną w ich życiu grają rolę. Wierzą w przeczucia i ściśle się niemi powodują; twierdzą, że zwierzęta przepowiadają śmierć, że szpringbok zaprowadzi do lwa, że księżyc gniewa się, gdy się dzieci z niego śmieją, dzieciom nie wolno wymieniać nazwy lwa, wierzą że ludzie mogą się zamieniać w zwierzęta i na ten temat istnieje u nich kilka podań. Jedno z nich zapisane przez Alexandra jest treści następującéj. Hottentot podróżował raz z Buszmanką niosącą dziecko, gdy spotkali po drodze gromadę dzikich koni, Hottentot prosił towarzyszkę, ażeby się zamieniła w lwa i zabiła konia, iżby mieli co jeść. Kobiéta opiérała się z początku, ale potém uległa naleganiom i przybrała postać lwa. Hottentot przeląkł się okropnie i uciekł na drzewo. Lew zabił rzeczywiście konia i powrócił do dziecka, gdy Hottentot prosił go, aby przybrał na powrót ludzką postać, ponieważ się go boi, odrzekł, że pozostanie lwem do śmierci, ale potém ulegając prośbom przerażonego towarzysza wdział na siebie porzucone ubranie, zamienił się znowu w kobiétę i wziął dziecko na rękę. Hottentot zszedł z drzewa, spożyli razem mięso ubitego konia i w dalszą puścili się drogę, ale nie prosił już nigdy towarzyszki, ażeby się we lwa zamieniała.

Przedmiotem ich czci był z pewnością niegdyś i kameleon, mała jaszczurka posiadająca dziwną własność zmieniania barw i patrzenia każdém okiem niezależnie tak, że gdy jedno zwraca w górę, drugiém patrzy na dół. Zabicie tego zwierzątka uważają za występek, a z ruchu jego oczu robią przypowiednie o deszczu.

Ofiary rozpowszechniane pomiędzy Kaframi, pomiędzy Buszmanami są nieznane.

Na szczególną uwagę zasługują ich rysunki. Zdobili niemi skały po miejscach, które zamieszkiwali. Są one malowane farbami, albo rysowane ostrém narzędziem na ciemnéj skale. Odróżniałem cztery kolory, najpospolitszym jest ceglasto-czerwony, potem czarny, żółty i biały: barwniki wytwarzali z różnych rodzajów ziemi, rozpuszczając je za pomocą tłuszczu ubitych zwierząt. Do nakładania farb używali tylko patyczków, po brzegach malowideł znajdują się niekiedy linie skrobane, może dla nadania im wyrazistości. Figury rysowane za pomocą ostrego narzędzia przedstawione są tylko w konturach.

Ze szczególném zamiłowaniem zajmowali się naśladowaniem postaci zwierzęcych, przedewszystkiém antylop. Znajdowano po 150 szpringboków odmalowanych na jednéj płaszczyznie. Oprócz tego znajdują się postaci strusia, hyeny, lwa, słonia, szakala, ichneu-

mona, węże i jaszczurki. Mniéj częste są postaci ludzi, przedstawiające zazwyczaj mężczyzn uzbrojonych w łuki i dzidy i kobiéty, ze szczególném uwzględnieniem steatopygii. Zdarzają się i grupy przedstawiające polowania, gdzie myśliwi są odmalowani w maskach odpowiadających szczególnym rodzajom polowania; daléj są tańce towarzyskie, kobiéta rodząca z pomocnicami; są także grupy przedstawiające walki Buszmanów z Kaframi, a różnice plemienne oddane bardzo trafnie; Buszmani są drobni, nadzy, barwy czerwonéj, uzbrojeni w łuki i strzały; Kafrowie wielcy, czarni, uzbrojeni w assagaje i kiri (pałki drewniane). Jedna grupa przedstawia oddział uzbrojonych kolonistów na koniach, prawdopodobnie wyprawę na Buszmanów, a inna Buszmanów kradnących bydło kolonistom. Rysunków treści mitologicznéj stosunkowo bardzo mało. Zdarzają się postaci ludzkie z grubemi, wydłużonemi ogonami, przypominające postać salamandry, ale znaczenie tych jeszcze nieodgadnione.

Rozmiary rysunków wszystkich są bardzo drobne. Postaci ludzkie rzadko przechodzą sześć cali, postaci zwierząt nie przechodzą nigdy dwunastu. Zdaje się, że brak miejsca przymuszał tych pierwotnych artystów do liczenia się z rozmiarami ich utworów.

W wielu miejscowościach widać po barwie ściany, że dawne rysunki zostały zmyte a na otrzymanéj powierzchni świéże bardzo starannie namalowane. Wszystkie rysunki są wykonane w sposób pierwotny, rozumié się samo przez się, że zasady perspektywy nie znane, ale naśladowanie postaci jest bardzo wierne, niektóre linie wykonane z ogromną wprawą, dowodzącą ciągłego ćwiczenia. Wiele figur zamazanych pozwala się domyślać, że ci pierwotni artyści starali się o wielką dokładność w wykonaniu i niszczyli umyślnie to, co ich nie zadawalniało i nie odpowiadało ich poglądom estetycznym. Peschel, który porównywał te rysunki ze staroegipskiemi, przyznaje im wyższość nad temi ostatniemi.

W kraju Grykwa nad rzeką Vaalriwer, niedaleko osady Pniel, znajduje się bogaty zbiór rysunków emblematycznych. Odznaczają się one stosunkowo większemi rozmiarami i zbliżają postacią w ogóle do figur geometrycznych o bokach prostych i krzywych, ale pole każdéj figury jest poprzecinane liniami prostemi, przypominającemi układ blaszek w skorupie żółwia. Boki tych figur są otoczone krawędziami, albo liniami ząbkowato załamanemi. Znaczenie tych rysunków jest nieodgadnione. Może być, że przedstawiają ciała niebieskie, które były przedmiotem czci religijnéj u Buszmanów, ale nie przypominam sobie, ażebym widział pomiędzy niemi postać księżyca.

Wykonanie tych rysunków było połączone z nadzwyczajnemi trudnościami, bo nie mówiąc już nic o trudności otrzymania barwniku, same skały chropowatością swoją tworzyły nadzwyczajną przeszkodę w wykonaniu figur tak drobnych. W okolicy górzystéj nad rzeką Hexriver, niedaleko miasta Worcester, znalazłem kryjówkę buszmańską ozdobioną malowidłami. Na skalistéj podstawie spoczywa tutaj ogromny głaz, a szczelina utworzona przez obie bryły służyła Buszmanom za schronienie. Rysunki są tutaj umieszczone na powale, ale szczelina jest tak wąską, że wyprostować się w niéj niepodobna. Gdym kopiował te rysunki, ręka mi drętwiała i byłem zmuszony przerywać co chwila mą pracę, a staranność, z jaką są wykonane, świadczy wymownie o zapale i wytrwałości jakie ożywiały ich twórcę.

Nie obcém było Buszmanom i poczucie dla muzyki. Najpospolitszym instrumentem muzykalnym był łuk napięty struną, jak się zdaje z jelit zwierzęcych; przyłożywszy strunę do zębów wprawiali ją w ruch palcami a układem ust nadawali jéj właściwy ton; słyszałem ten rodzaj muzyki, przypomina ona w zupełności drumlę cygańską. Innym oryginalnym przyrządem muzycznym jest batożek z płaską i elastyczną deszczułką, przywiązaną do końca sznurka. Wywijając tą deszczułką w powietrzu otrzymuje się głos huczący, którego wysokość zależy od szybkości ruchu. Buszmani oswojeni, pozostający w obowiązkach u białych, grają wszyscy na skrzypcach i pełnią nieraz obowiązki muzykantów. Skrzypce robią sobie sami z pudełka od cygar lub z puszki blaszanéj od sucharków, przymocowawszy do niéj rączkę i założywszy strunę, co prowadzi na domysł, że może i w pierwotnym stanie posiadali jaki przyrząd muzykalny smyczkowy.

W ten sposób napotykamy u tego ludu pod postacią poezyi, malarstwa i muzyki pierwsze zawiązki sztuk pięknych. Przewyższają oni pod tym względem inne ludy afrykańskie, stojące na wyższym stopniu rozwoju towarzyskiego, a przypatrującemu się tym pierwotnym objawom czynności umysłowéj ludzi, którzy pod fizycznym i społecznym względem ostatnie prawie w szeregu stworzeń obdarzonych rozumem zajmują miejsce, nasuwa się mimowoli zapytanie: jakie okoliczności wpłynęły na rozbudzenie tych szlachetnych popędów i dlaczego lud ożywiony niemi nie wzniósł się na wyższy stopień cywilizacyi. Aleksander Humboldt był może pierwszym, który zwrócił w wielu ustępach prac swoich uwagę na wpływ jaki otaczająca przyroda wywiéra na umysłowy rozwój człowieka, a angielski historyk Buckle rozwinął ten temat obszerniéj i starał się udowodnić, że oprócz zjawisk przyrody i rodzaj pożywienia od-

działywa na rozwój człowieka. Teorye Buckle'a cieszą się ogólném uznaniem pomiędzy czytającą publicznością, ale mniéj pomiędzy uczonymi; znalazł on przeciwnika w Peschlu, który starał się wykazać, że charakter ludu niezawsze odpowiada temu, czegoby po fizycznych warunkach odpowiedniéj miejscowości oczekiwać wypadało, a rodzaj pożywienia gra podrzędną rolę, bo człowiek jest z natury pantofagiem i przyzwyczaja się z łatwością do wszystkiego, a przyzwyczajenie staje się drugą jego naturą.

Zdaje się jednakowoż, że pogląd ten grzeszy jednostronnością, bo fizyczne warunki miejscowości wywiérają przeważny wpływ na rozwój pierwotnego człowieka, przymuszając go do obrania pewnego sposobu życia, a ten oddziaływuje znowu na jego rozwój umysłowy. Nie myślę zapuszczać się w teoretyczny rozbiór tego twierdzenia, lecz wyjaśnię go tylko na przykładzie. Kafrowie są ludem rolniczym; żyją oni w sąsiedztwie Buszmanów, ale zajmują najżyzniejsze okolice, a ziemia jest tak plenną, że z małym trudem zaspakaja ich potrzeby i z wyjątkiem czasów wojennych nie cierpią oni nigdy braku pożywienia, co dozwala im łączyć się w większe osady. Dzieci ich zostają pod bezustanną opieką rodziców, którzy wszelkie ich potrzeby zaopatrują i nadzwyczajną otaczają je starannością, w skutek czego rozwijają się powoli i późniéj dochodzą do dojrzałości, a ponieważ nie oddalają się prawie nigdy od wioski rodzinnéj, przeto i wrażenia, jakim ulegają, są bardzo jednostajne a zakrés pojęć ograniczony. Kobiéty wypełniają tutaj wszelką pracę. Kafer w wieku dojrzałym szuka w wolnych chwilach rozrywki, ale jedyną jego przyjemnością jest towarzystwo; odurzając się tytuniem albo dachą (1) przepędza długie godziny w towarzystwie swoich przy wyjściu do Kraala, albo przy wspólném ognisku; przedmiotem jego rozmowy są stosunki i wydarzenia miejscowe, lub sąsiednich kraalów, a gdy braknie tematu, opowiadanie o upiorach, których się boi, o wojnie, którą przenosi nad polowanie, a niekiedy utwory fantazyi na temat tysiąca nocy i jednéj a zawiązki sztuk pięknych występują u niego głównie pod postacią krasomówstwa i poezyi.

Zupełnie odmiennym jest zawód życia buszmańskiego. Syn towarzyszy tutaj ojcu na polowaniu; zawód myśliwski jest połączony z wielkiemi trudnościami, przymusza do walczenia z przeszkodami, które tylko chytrość i podstęp pokonać zdołają i dlatego kształci zmysły, rozwija umysł i dzieci buszmańskie dojrzewają daleko wcześniéj a Buszman jest z natury ruchliwy, czynny i zwinny.

---

(1) Liście konopne.

Przeszkody z jakiemi musi walczyć budzą wcześnie władzę zastanawiania się. Bada on przyczyny niepowodzenia, szuka ich w najprostszych zjawiskach codziennego życia, w przedmiotach materyalnych, te budzą jego obawę, kładą pierwsze podstawy fetyszyzmu i otwiérają obszerne pole dla rozbudzonéj wyobraźni. W skutek tego już w młodym wieku zakrés pojęć u Buszmana jest daleko obszerniejszym, aniżeli u Kafra.

Jeżeli połów się powiedzie i pozwoli wypocząć myśliwemu, ten w chwilach wolnych szuka również przyjemności, ale nie znajduje jéj w towarzystwie, bo żyje z rodziną swoją w odosobnieniu; ruchliwy umysł jego nie pozwala mu spać w dzień i dlatego szuka przyjemności w swych myślach, a myśli o tém, co go najwięcéj zajmuje, zatém o polowaniu. Kafer znajdzie zawsze towarzysza, z którym się podzieli utworami swéj wyobraźni i dlatego utwory jego żyją w słowie.

Ponieważ dla Buszmana jest to niemożebnością, przeto uzmysławia je na ścianach swojego mieszkania, maluje antylopy, których nie pozabijał, towarzyszy, których unika, kafrów, których nienawidzi i Europejczyków których się boi, a malowidła jego są wiernym obrazem jego myśli.

Rzecz dziwna, że nie maluje prawie nigdy zwierząt mitologicznych. W ogromnym zbiorze tych zabytków sztuki buszmańskiéj, znajdującym się w posiadaniu D-ra Bleecka, widziałem tylko jeden rysunek jeżozwierza, a nie widziałem nigdy damana, łasicy, ichneumena, a przedewszystkiém nigdy mantisa, a jednakowoż mieści się w tym fakcie głęboka prawda psychologiczna, tłómacząca nam stan sztuki w pierwotnym jéj zawiązku. Mitologia buszmańska powstała na podstawie fetyszyzmu, a postaci mitologiczne przechowały tylko nazwy istot, które im dały początek, ale w wyobraźni Buszmana przybrały one zupełnie inną formę, nieokréśloną, dającą sią oznaczyć tylko słowami.

Pierwotna sztuka jest tylko naśladowaniem natury; Buszman oddaje z wielką trafnością za pomocą barw to, co podpada pod jego zmysły, ale nie rzuca się na to, co żyje tylko w jego wyobraźni a tém bardziéj, jeśli to coś jest przedmiotem jego czci albo obawy.

Nasuwa się mimowoli pytanie, dlaczego lud obdarzony takiemi przymiotami umysłu zamiast wznieść się wysoko, chyli się ciągle do upadku i jest zagrożony zupełną zagładą.

Zdaje się, że kilka różnych czynników składa się na wytłómaczenie tego zjawiska. Nie sądzę, ażeby byt materyalny był zawsze i wszędzie jedynym warunkiem postępu, ale trudno zaprzeczyć, że człowiek, którego całe życie jest jedną walką z głodem i nędzą,

jeżeli nie ulegnie pod ciężarem tych przeciwności, wypełni już tém saméni zadanie życia. Największe przeszkody do dalszego rozwoju znajduje Buszman w sposobie życia, na jaki przez samę przyrodę wskazanym został. Całodzienna praca niezawsze pozwala mu zaspokoić potrzeby swojéj rodziny; zmuszony do unikania drugich pędzi życie w odosobnieniu, a wytworzenie liczniejszych towarzystw jest już z natury rzeczy niepodobieństwem. Oprócz tego zawód myśliwski zmusza go do bezustannego pozostawania za domem, a w wielu przypadkach brak wody, do ciągłéj zmiany miejsca pobytu.

Ażeby wznieść się na wyższy stopień cywilizacyi musiałby zerwać przedewszystkiém z całą swoją przeszłością, zmienić dotychczasowy sposób życia i pozostać rolnikiem, ale zmiana taka napotyka nieprzełamaną przeszkodę w jego własnym charakterze, a potém w stosunkach miejscowych. Sama przyroda traktuje go po macoszemu. Ziemia, którą zamieszkuje, bezwodna, jałowa, płonna nie nadaje się do uprawy, a gdzie warunki te są nieco korzystniejsze, tam ona znajduje się w posiadaniu innych ludów, które są zawziętymi jego wrogami. Najwięcéj stykali się Buszmani z Hottentotami, z którymi od niepamiętnych czasów żyją na stopie wojennéj. Nie podlega wątpliwości, że stroną zaczepiającą byli zawsze pierwsi, bo zmuszała ich do tego potrzeba. Gdy polowanie się nie powiodło, przymuszony głodem Buszman opuszczał swoję kryjówkę, szedł na równiny, skradał się cichaczem pod trzody Hottentotów i zatrutemi strzałami wielkie im nieraz sprawiał szkody. Zagrzani żądzą odwetu Hottentoci urządzali wyprawy, wyszukiwali szkodników w ich kryjówkach i mordowali bez litości, a ślady wzajemnéj niechęci przechowały się dotąd pomiędzy niedobitkami obu tych ludów.

Nie lepszym był ich stosunek i do Kafrów. Kafrowie są ludem rolniczym, ale ziemia jest ich wspólną własnością; majątek osobisty polega w bydle rogatem, a ich ustawy towarzyskie naznaczają srogie kary za kradzież bydła. Dopuszczali się często na nich téj zbrodni Buszmani. Kafrowie, przyzwyczajeni do walki w otwartém polu z assagają i tarczą w ręku, lękali się okropnie zatrutych strzał Buszmanów, ale za to, gdy udało im się podejść w znacznéj sile nieprzygotowaną na napad gromadkę, mordowali bez litości mężczyzn, a kobiéty i dzieci zabiérali w niewolę i przyczynili się głównie do wyniszczenia tych nieszczęśliwych istot na wschodnich brzegach Afryki.

Ale największy cios zadali im osadnicy hollenderskiego pochodzenia. O charakterze tych ludzi wspomnę obszerniéj, gdy będzie mowa o ich stosunku do Hottentotów, a tutaj ograniczę się tylko do kilku uwag. Ludzie ci, wyrośli z wyrzutków społeczeństwa

europejskiego, żyli wyłącznie z pracy swych niewolników; ażeby zwiększyć ich liczbę, urządzali zbrojne wyprawy do wnętrza kraju, chwytali Hottentotów, a przy téj sposobności mordowali Buszmanów, pod pozorem odwetu za popełnione przez nich kradzieże bydła, czcigodny obrońca tych ludów misyonarz Philip daje nam wyobrażenie o spustoszeniach urządzanych pomiędzy krajowcami przez takie wyprawy. W przytoczoném przez niego sprawozdaniu naczelnika jednéj z takich wypraw czytamy co następuje:

Dnia 27 Września 1792 r. pierwsza gromada Hottentotów napadnięta; 75 zabito, 21 ujęto.

15-go Października druga gromada napadnięta; 85 zabito, 23 ujęto.

20-go Października trzecia gromada napadnięta; 7 zabito, 3 ujęto.

Równie przerażających szczegółów dostarcza pułkownik Collias, wysłany 1809 roku przez rząd angielski dla zbadania stosunków kolonii; bardzo poważany kolonista opowiadał mu, że w ciągu sześciu lat wymordował i wyłapał przy pomocy swoich ludzi 3.200 Buszmanów. Inny twierdził, że wyprawy, w których brał udział, pozbawiły życia 2.700 Buszmanów. Thompson znał kolonistę, który w ciągu 30 lat zrobił 32 takich wypraw, a na jednéj z nich zabito 200 Buszmanów, a akta urzędowe stwierdzają, że w okręgu Graaf Reynet, od r. 1786 do 1795 2.480 Buszmanów wymordowano. Rząd angielski starał się przeszkodzić takim nadużyciom, sprawdzono jednakowoż urzędownie, że jeszcze od r. 1797 do 1823 pięćdziesiąt trzy takich wypraw urządzono.

Nie podlega najmniejszéj wątpliwości, że Buszmani byli bardzo złymi sąsiadami kolonistów, ale przytoczone powyżéj szczegóły przedstawiają nam obraz srogości, który tylko w postępowaniu fanatycznych Hiszpanów w Ameryce, za czasów świętéj inkwizycyi, znajduje podobieństwo. Nic dziwnego, że wobec takich stosunków naród Buszmanów został w kolonii zupełnie wyniszczonym i zmuszony jest szukać warunków bytu w pustyniach niedostępnych dla Europejczyków.

Jest jeszcze jedna okoliczność nie pozwalająca dzikiemu człowiekowi wznieść się na wyższy stopień cywilizacyi, a tą jest jego zamiłowanie wolności; zmiana sposobu życia jest dla niego głównie dlatego niemożebną, że naraża go na jéj utratę. Ożywieni lepszym duchem osadnicy i misyonarze chrześciańscy próbowali poprawić los Buszmanów w ten sposób, że zatrzymując ich przy sobie i zaopatrując wszystkie ich potrzeby, dawali im poznać zalety regularnego życia, ale próby te nie udawały się, bo ludzie ci odkarmiwszy

się troszkę opuszczali osady białych i ciągli w rodzinne pustynie, przenosząc głód i nędzę nad zmianę dotychczasowego sposobu życia. Fakt ten na pozór dziwny jest trudnym do zrozumienia dla nas, którzy nie mamy wyobrażenia o wolności fizycznéj; zrodzeni i wyrośli wpośród społeczeństw ucywilizowanych, dźwigamy od kolebki aż do grobu kajdany, jakie wkłada na nas rodzina, towarzystwo i społeczeństwo, ale nie czujemy ich ciężaru, bo przykrość tę równoważy zupełna swoboda umysłu. Człowiek w stanie pierwotnym jest niewolnikiem pod względem umysłowym i przez cały ciąg życia swojego nie jest w stanie uwolnić się od gniotącego go ciężaru najniedorzeczniejszych przesądów i zabobonów, ale w zamian za to używa nieograniczonéj swobody fizycznéj. Zdaje się, powiada Peschel, (1) że u ludów pierwotnych, zadowolnienie fizyczne jest daleko większém, a przywiązanie do życia daleko mniejszém i z tego powodu przenoszą częstokroć śmierć nad kajdany, jakie wkłada na nich cywilizacya. Mógłbym przytoczyć liczne przykłady, gdzie nietylko jednostki, ale nawet całe rodziny i towarzystwa dzikich skazywały się na samobójstwo, ażeby zrzucić gniotące ich jarzmo niewoli.

Nie łatwo jest orzec, w czém właściwie polega pojęcie wolności u dzikiego człowieka. Występuje ono przeważnie jako żądza nieograniczonego używania tego, do czego umysł jego przywykł od dzieciństwa i co odpowiada jego usposobieniu i dlatego dziki tęskni przedewszystkiém za okolicą w któréj się urodził i wychował. Przyzwyczajenie jest tutaj bardzo ważnym czynnikiem, a zmysł estetyczny zdaje się nie wchodzi wcale w rachubę, bo są okolice, które rażą dzikością umysł wykształconego człowieka, a zabijają ciało brakiem fizycznym, a pomimo tego mogą być przedmiotem przywiązania, i widzimy nieraz ze zdziwieniem, że Beduin tęskni za piaskami pustyni, Kirgiz za spalonym stepem, Eskimos za lodowcami, a dziki Butokud za czarną i posępną knieją swojéj ojczystéj ziemi. Ale jak w życiu pojedyńczego człowieka bywają smutne i wesołe chwile, tak samo i krajobraz zmienia postać swoję i pomimo pozornéj posępności może chwilowo zachwycić zmysły, a w umyśle dzikiego człowieka, który go utracił, nikną wszystkie ujemne jego strony, pozostają tylko dodatnie i rodzą przekonanie, że z jego odzyskaniem odzyska i wolność swoję. Uczucie to zrozumié tylko ten, komu udało się wyrwać na chwilę z dusznych ognisk cywilizacyi europejskiéj i odetchnąć na chwilę świéżém i ożywczém po-

(1) Ethnographie 155.

wietrzem pustyni, albo napawać zmysły widokiem dziewiczéj przyrody. Gdyby mi wolno było oddać się wspomnieniom dalekich podróży, odmalowałbym przed oczyma czytelnika dzikie i ponure góry południowéj Afryki w chwili, gdy skaliste ich wierzchołki pokryte białym całunem śniegu odbijają od najczystszego błękitu południowego nieba; albo chaotyczną roślinność pierwotnych lasów Zizikammy, w których gromady ociężałych słoni i bawołów i figlarnych małp poruszają się dotąd swobodnie niepłoszone widokiem człowieka; albo posępną pustynię Karroo, gdzie drogi białego człowieka znaczą niezliczone szkielety naszych zwierząt zaprzęgowych, poświęconych dla dopięcia ambitnych jego zamiarów; albo urocze doliny Natalu, gdzie nad brzegiem szumiącego potoku, obok sztywnych akacyj wznoszą się powiewne postacie drzewiastych paproci i palm, przerywane olbrzymiemi liśćmi Strelicyi, albo niezmierzone okiem obszary stepowe, oblane różowém światłem wschodzącego słońca, po których tysiąc antylop i innych zwierzątek igra swobodnie, nie zważając zupełnie na obecność człowieka. Widoki takie zachwycają podróżnika, pomimo materyalnéj nędzy i przeszkód, z jakiemi musi walczyć na każdym kroku i pozwalają mu poznać wartość fizycznéj wolności. Jeżeli złe lub dobre losy przeniosą go potém na rodzinną ziemię, obrazy takie żyją w jego pamięci, budzą bezustanną jego tęsknotę i pozwalają mu zrozumiéć, czém jest fizyczna wolność dzikiego człowieka i dlaczego jéj utratę nieraz śmiercią przypłaca.

W tym stanie rzeczy nie można się dziwić, jeżeli liczba Buszmanów w południowéj Afryce zmniejsza się z każdym dniem i w ciągu kilkudziesiątek lat całe plemię wyginie. Obecnie znikli oni w staréj kolonii zupełnie, a na południe od rzeki Gariepu tylko w skalistéj pustyni nazwanéj Buschmansland nieliczne ich gromadki się przechowały. Na północ od téj rzeki jest ich znacznie więcéj, szczególnie w okolicach zachodnich, gdzie wielkie obszary pustyni Kalihari, zarosłe krzewami i nieprzystępne dla Europejczyków, pozwalają im używać pierwotnéj swobody, chociaż i tutaj liczba ich z każdym dniem się zmniejsza.

A jednakowoż wiele okoliczności przemawia za tém, że Buszmani byli najdawniejszymi mieszkańcami i panami téj ziemi. Pozostawione przez nich malowidła dowodzą, że żyli pierwotnie nawet po miejscach, które w ostatnich czasach w wyłącznem posiadaniu Kafrów się znajdowały, a przedziurawione kamienie buszmańskie bywają znachodzone dziś tam, gdzie nawet pamięć o tych ludziach zaginęła. Powynajdowano nadto w ostatnich czasach wpośród ludów murzyńskich środkowéj Afryki pojedyncze drobne

plemiona, których opisy przywodzą żywo na pamięć Buszmanów. Tutaj należy np. lud Obongo, karłowatych rozmiarów, brudno-żółtéj barwy ciała, z kosmykowatym porostem włosów, odkryty przez francuskiego podróżnika Du Chaillu w lasach wschodniéj, podrównikowéj Afryki; następnie karłowaty lud Akka, czyli Tiki-tiki, mieszkający według Schweinfurtha na południe od Uelle niedaleko od źródeł Nilu, nakoniec karłowaty lud Doko, żyjący według Krapfa na południe od Raffy. Gdyby przyszłe badania wykazały, że istnieje genetyczny związek pomiędzy temi ludami i Buszmanami, doprowadziłoby nas to do tego ważnego rezultatu, że Buszmani byli pierwotnymi i najdawniejszymi mieszkańcami środkowéj i południowéj Afryki i tylko przez ludy murzyńskiego pochodzenia z pierwotnych swoich siedzib wyparci, na dzikich i nieurodzajnych obszarach południowéj Afryki do dni naszych się przechowali.

Buszmani w chwili pierwszego zetknięcia się z Europejczykami nie znali użytku żelaza, a wszystkie ich przyrządy były wyrabiane z kamienia, w skutek czego należą oni do epoki kamienia gładzonego przedziurawionego, a pod względem rozwoju historycznego możnaby ich porównać jedynie z ludami okresu lodowego, których ślady przechowały się po dziś dzień w jaskiniach Francyi. Ci ostatni nie stawiali również mieszkań, lecz żyli po jaskiniach, nie znali użytku żelaza, lecz wszystkie potrzebne przyrządy wyrabiali z kamieni lub kości. Napotykamy i u nich pierwsze ślady sztuk pięknych w postaci rysunków, jakiemi zdobili różne przyrządy. Pod jednym względem stali może wyżéj od Buszmanów; w jaskini w Dordogne odkryto igły z kości z przedziurawionóm uszkiem, każące się domyślać, że ci pierwotni mieszkańcy Francyi ubierali się starannie a ubranie szyli. Nie można jednakże z tego powodu przypisywać im wyższego stopnia cywilizacyi, bo staranność w ubraniu mogła być prostém następstwem ostrości klimatu. Różnili się oni pod względem fizycznym znacznie od Buszmanów, bo szkielety ich przekonywają nas, że byli ludem rosłym i dorodnym, a czaszki ich silnie rozwinięte nie mają nic wspólnego z wydłużoną czaszką buszmańską.

Z ludów pierwotnych, obecnie na ziemi żyjących, tylko Australczycy przedstawiają pewne podobieństwo z Buszmanami; nie znają użytku żelaza, narzędzia swoje wyrabiają z kamieni lub kości, żyją z polowania, ale nie gardzą i owocami, używają również paska głodowego a Gregory i Müller odkryli nad brzegami rzeki Victorya rysunki wykonywane przez nich za pomocą krédy i ochry. Mowa ich jest nadzwyczaj wykształconą i przewyższa bogactwem form gramatykalnych wszystkie inne. Rzecz dziwna, że jeden i ten sam

przesąd jest wspólnym obu tym ludom, a mianowicie, że dzieciom nie wolno spożywać mięsa od kości pacierzowéj, bo w przeciwnym razie są zagrożone śmiercią. Niedorzecznością byłoby wyprowadzać z tych wspólnych cech wnioski o wspólności pochodzenia obu ludów, a sprzeciwia się temu i różnica w ustroju fizycznym. Przekonywają one nas raczéj o psychicznéj jedności rodu ludzkiego, w skutek któréj umysł ludzki i na odległych krańcach ziemi pod wpływem tych samych czynników tenże sam przybiéra kierunek i do tych samych dochodzi wypadków.

przesąd jest wspólnym obu tym ludom, a mianowicie, że dzieciom nie wolno spożywać mięsa od kości pacierzowéj, bo w przeciwnym razie są zagrożone śmiercią. Niedorzecznością byłoby wyprowadzać z tych wspólnych cech wnioski o wspólności pochodzenia obu ludów, a sprzeciwia się temu i różnica w ustroju fizycznym. Przekonywają one nas raczéj o psychicznéj jedności rodu ludzkiego, w skutek któréj umysł ludzki i na odległych krańcach ziemi pod wpływem tych samych czynników tenże sam przybiéra kierunek i do tych samych dochodzi wypadków.

FRANCYA DZISIEJSZA.

STRONNICTWA POLITYCZNE.

Wśród rozlicznych ubolewań nad różnemi niedoborami w obecnym stanie społeczeństw europejskich, nic pono częściéj się nie napotyka nad wyrzekania na stronnictwa polityczne, nurtujące w ich łonie. Stronnictwa zwykle czyni się odpowiedzialnemi za wszelkie klęski nawiedzające społeczeństwa; stronnictwa, według Jeremiaszów politycznych, wywołują odmęt w sferze spraw i interesów materyalnych, one to obalają dogmata najbardziéj ustalone, podkopują najświętsze zasady, na których opiéra się każda społeczność, wobec zaciętości z jaką się ściérają stronnictwa nic ostać się nie jest w stanie, a masa spokojnych obywateli, obecna téj walce nieubłaganéj, nie wiedząc w co wierzyć wpośród téj wrzawy powszechnéj, słysząc kolejno uwielbienia i potępienia tych samych ludzi i tych samych instytucyj, dochodzi łatwo do zupełnego zobojętnienia dla spraw publicznych, jeżeli sama nie straci wszelkiego zmysłu moralnego.

Takie to zwykle usłyszéć można zarzuty, których autorowie zapominają zawsze dodać jakimby sposobem zażegnać można niebezpieczeństwo, jak tego dokazać ażeby stronnictwa istniéć przestały, jak przeciąć starcie interesów i przekonań i dojść do jednostajności poglądów i dążeń.

I nic dziwnego, jestto bowiem marzenie, utopia, któréj nawet szlachetną nazwać nie można, bo co do nas, widzimy w niéj niebezpieczeństwo i najzgubniejszą doktrynę. Przeciwnicy stronnictw politycznych, odmawiając im prawa istnienia dążą zarazem do zagłady wszelkiego życia politycznego, wyrok potępienia rozciąga się

już nie do saméj tylko prawidłowéj i organicznéj walki obywateli zgromadzonych pod sztandarem własnych idei i programatów, ale do wszelkiego objawu indywidualizmu w państwie.

Ideał, który chcianoby wpoić w nasze umysły, ma pewne podobieństwo do ponuréj i jałowéj obojętności państw starożytnego Wschodu, w których miliony pokoleń żyły pod jedném jarzmem, lub do bez troskiéj bierności wyznawcy Buddy spoglądającego na fale świętéj rzeki. Zobojętnić masy dla spraw publicznych, wmówić w nie, że do życia wystarcza atmosfera kantoru lub folwarku, oto mniéj więcéj wyraźna doktryna tych, co ze zgrozą tak dobrze oddaną, piorunują przeciwko stronnictwom politycznym. „Z interesów się żyje, na politykę się umiéra“ wyrzekł niedawno jeden z francuskich mężów stanu należących do téj szkoły, która się chętnie zachowawczą mianuje. Niechaj masy abdykują na rzecz „wybawcy,“ a życie dla wszystkich spokojnie i szczęśliwie płynąć będzie, takie jest hasło téj szkoły.

Hasło to nie jest bynajmniéj naszém. Wierzymy silnie w konieczną potrzebę stronnictw politycznych w łonie każdego cywilizowanego społeczeństwa, i w istnieniu ich nietylko nie upatrujemy niebezpieczeństwa, ale uznajemy je za niezbędny warunek bytu społeczeństw.

W każdém państwie znajdą się zawsze zachowawcy, to jest ludzie pragnący utrzymać instytucye, które ochraniają ich interesa, i postępowcy, to jest ludzie, dążący do polepszenia swego losu i do przyjęcia z kolei udziału nietylko w ciężarach, ale i w korzyściach życia publicznego. Usunąć te dwie zasadnicze podstawy wszelkiego organizmu politycznego jest niepodobieństwem. W ciągłém ścieraniu się tych żywiołów często gwałtownéin i zaciętém, a zawsze płodném, objawia się życie państwowe; od czasowéj przewagi jednego lub drugiego zawisły charakterystyczne cechy instytucyj. Rozejm między walczącymi jest niemożliwym. Zamiast więc tracić czas na próżnych żalach i na złorzeczeniach jałowych, uważamy za rzecz nierównie ważniejszą zbadać naturę tych stronnictw, ich dążności i przyszłość.

Za pole do takich badań wybraliśmy Francyą. Pobudką do tego wyboru jest nietylko dawna i bliska znajomość badanego kraju, ale i żywotność, tkwiąca we wszystkiém co od tego narodu pochodzi, szczególniéj zaś obecne ściéranie się stronnictw, które tam walczą o władzę. Gdzieindziéj antagonizm nie wszedł jeszcze w okrés wojujący: we Francyi, objawia się z zadziwiającą siłą. Sądzimy, że widok tych zapasów równie będzie zajmującym jak pouczającym; spojrzyjmy więc na nie bez uprzedzeń, mając na względzie przedewszystkiém prawdę i tylko prawdę.

I.

W organizmie każdego państwa, nieodzownem jest, jak to wykazaliśmy wyżéj, istnienie dwóch stronnictw politycznych: zachowawców, ludzi dnia wczorajszego i postępowców—ludzi jutra. Oba stronnictwa ścierają się wśród ludzi spokojnych, ludzi dnia dzisiejszego, chwili obecnéj. Pierwsi pamiętają świetną przeszłość i usiłują odżywić wyblakłe jéj barwy; drudzy śmiałą ręką uchylają zasłonę, zakrywającą przyszłość, któréj uroki wysławiają. Wielkie masy obywateli, stając to po jednéj, to po drugiéj stronie, rozstrzygają o przechylaniu się szali politycznéj. Taki jest odwieczny i niezmienny obraz życia państwowego.

We Francyi zachowawcy nazywają się legitymistami lub rojalistami, postępowcy—republikanami. Istnieje tam jeszcze trzecie stronnictwo: bonapartyści, mające niektóre cechy i dążenia, wspólne obu poprzednim, ale o tém będziemy mówili późniéj. W téj chwili zamierzamy przedewszystkiém sporządzić bilans legitymistów i republikanów, zbadać siłę ich szeregów, zdolności ich wodzów i wyprowadzić z tych badań możliwość powodzenia jednych, klęski drugich. Nie chcąc się omylić, należy zbliska rozpatrzyć oba obozy: sztandary w nich powiéwają jednakiéj zawsze barwy, ale duch stronnictw zmienił się zupełnie.

Zacznijmy od legitymistów.

Francyą dzisiejszą wytworzyło dziesięć wieków monarchii; dziesięć wieków wielkości i sławy uczyniło z niéj jeden z najpierwszych narodów na świecie. Monarchia francuska była prototypem wszystkich monarchij lądu stałego, a legendowe słowa Ludwika XIV „państwo to ja“ stały się hasłem nietylko dla jego następców, ale dla wszystkich monarchów europejskich. Ta monarchia pochłaniająca w zupełnéj centralizacyi instytucye feodalne, kierowana geniuszem Ludwika XIII i Richelieugo, opromieniona szczęściem Ludwika XIV, była pierwszém państwem uorganizowaném na podstawach nowożytnego ustroju. Królewskość potrafiła zniszczyć, wytępić wszelkie życie niepodległe, wszelki partykularyzm i stała się jedyném źródłem wszelkiego życia narodowego. Za narzędzie swéj pochłaniającéj żywotności używała arystokracyi, ale nie owéj arystokracyi opartéj na niezachwianych podwalinach terytoryalnych, do dziś dnia przechowanéj w Anglii i do niedawna jeszcze istniejącéj w Niemczech, w krajach Słowiańskich, lecz arystokracyi sztucznéj, bez wielkich fortun, bez praw, bez przywilejów, bez swobód niewzruszonych, arystokracyi zależnéj od woli króla, czerpiącéj chwałę swoję i potęgę z darów królewskich, z godności nadanych przez koronę,

słowem—arystokracyi dworaków. Wszelka świetność, wszelka władza spływała na nią z królewskości, do któréj przywiązywała się jako do jedynéj racyi bytu, jako do jedynego źródła zbawienia. Im wyżéj dworacy wynosili potęgę królewską, tém wyżéj wspinali się sami. Dzięki więc naturalnemu dążeniu panujących i dzięki ich otoczeniu, królewskość opromieniona była aureolą świetności, niezrozumiałą dla nas synów epoki nowożytnéj, którzy nie możemy zapomnieć skromnego jéj pochodzenia i zmiennych losów w ciągu wieków średnich. Legendę królewskości tworzyli ci właśnie, którzy pośród niéj żyli. Pochodzenie boskie absolutyzmu nie ulegało żadnéj wątpliwości dla ludzi, będących poniekąd jego twórcami. Król przedstawiał Boga na ziemi; ci zaś, co mu byli ślepo posłuszni, spełniali jednocześnie obowiązki chrześcianina i poddanego. W książce niedawno wydanéj przez Henryka Taine'a p. t. „Les origines de la Revolution française" znaleść można mnóstwo ciekawych szczegółów w tym przedmiocie.

Nie utrzymujemy bynajmniéj, że opozycya nigdy miejsca nie miała, że pośród téj rasy silnéj i nerwowéj wszystkie czoła schylały się z jednakowém służalstwém; że dawne swobody gallikańskie nie ostały się pod dwoistém ciśnieniem polityczném i religijném: wielka rewolucya, która już pogrzmiewała w podziemiach narodowych, fałszby nam zadała; ale mówimy tu u ogólnych cechach stronnictwa rojalistowskiego we Francyi. Poddanie się bezwarunkowe koronie, król uosabiający Boga, władza pochodząca z góry, oto duch stronnictwa taki jakim go wielka rewolucya zastała. Wszystko, cokolwiek mówi wielki pisarz Aleksy Tocqueville w dziele swojem *l'Ancien Régime et la Révolution*, wszystko, co po nim powtarza cała plejada dzisiejszych pisarzy, usiłująca wykazać ciągłość tradycyi liberalnéj w dawnéj Francyi, potwierdza nasze słowa.

Uragan rewolucyi r. 1793, wyrywając z korzeniem rozłożyste drzewo królewskości, obalił jednocześnie stronnictwo rojalistowskie. Znana jest wszystkim rola, którą rojaliści odgrywali przez cały czas odmętu rewolucyjnego. Utożsamiwszy losy swoje z losami króla, mimo że Francuzi, walczyli przeciwko Francyi. Ojczyzną dla nich był król, prawo boże, absolutyzm i utracone przywileje, które trzeba było odzyskać. Rozczarowanie stronnictwa rojalistowskiego było wielkie w chwili, kiedy wojska sprzymierzone narzuciły Francyi zwyciężonéj i ujarzmionéj monarchią Burbonów. Idee równości, zasady demokratyczne wygłoszone przez Rzeczpospolitą i z talentem przez Cesarstwo spożytkowane, miały czas zakiełkować w nowém społeczeństwie, tak że od samego początku wojny zaciętéj, którą z niemi toczyła biała reakcya, można było przewidywać klęskę legitymizmu.

Karol X strącony został z tronu, a samobójstwo wiekowéj monarchii było wynikiem zaślepienia stronnictwa, które według słów historycznych, nic nie zapomniało, niczego się nie nauczyło. Rojaliści nie mogli oswoić się z myślą monarchii konstytucyjnéj i głęboką żywili pogardę dla mieszczańskich rządów Ludwika Filipa. Upadek jego nie zadziwił ich, ani pogodził z upadłym. Ludzie przebaczają często tym, którym się powiodło, nigdy tym—co się w boju ostać nie mogli. Legitymiści godzili się nawet lepiéj (fakt ten ma wszelkie pozory paradoksu) z Napoleonem III-m. Byłto według nich, niewątpliwie nowy uzurpator, ale przynajmniéj nie był zdrajcą względem prawdziwego króla, jak Ludwik Filip. Przez 18 lat cesarstwa, rojaliści trzymali się na uboczu i w ciągu tego czasu spełnili ów stanowczy zwrot klerykalny, o którym niżéj mówić będziemy. Kiedy klęska 1870 r. obaliła drugie cesarstwo, stronnictwo rojalistów oświadczyło, że gotowe jest przyjąć spuściznę, z któréj ofiarowaniem dotąd się ociągano. Wypadki polityczne utworzyły z Francyi tabula rasa. Nie pozostało śladów ani cesarstwa, które padło pod brzemieniem przekleństw narodu po szalonemu ku ruinie popchniętego, ani rzeczypospolitéj, która nie potrafiła oprzéć się zwycięsko, jak dawniejsza konwencya koalicyom całéj Europy; jedna tylko dla Francyi pozostawała droga wyjścia: monarchia dziedziczna.

Wybory, które odbywają się zwykle we Francyi według hasła jasnego i prostego, oparły się w 1871 r. na dylemacie: pokój czy wojna? Znaczna większość kraju, zdemoralizowana przez Cesarstwo, wycieńczona klęskami wojennemi, wzdychała za ukojeniem, za pokojem. Ponieważ rojaliści byli na tyle rozumni, czy téż zręczni, że skupili się pod tym sztandarem, wysłano ich do Zgromadzenia prawodawczego 1871 r. w zastępie dość imponującym, w liczbie, która jednak nie była w żadnym rzeczywistym stosunku do istotnéj ich siły w kraju. Zagranica pozwoliła się omamić, a legityniści czynili wszystko co było w ich mocy, ażeby to złudzenie pochlebne co do ich siły trwało jak najdłużéj. Ale kraj, wielka masa obywateli nie dała się uwieść. Gdy przeszła pierwsza chwila osłupienia, wybory dopełniające doprowadziły do odmiennych wyników. Wtedy legitymiści nie chcieli zrozumiéć nowego położenia. Twierdzili, mniejsza o to czy w dobréj czy w złéj wierze, iż są stronnictwem potężnem, odgłosem woli narodowéj i przygotowywali poprostu powrót monarchii dziedzicznéj.

Nie jest naszym zamiarem opowiadać dzieje tego nieskończonego Zgromadzenia Narodowego, które nie umiało powziąć żadnego postanowienia i które, pragnąc przywrócić monarchią, zmuszone by-

ło siłą okoliczności do utworzenia rzeczypospolitéj; nie leży również w naszym planie opisywać kolejne niepowodzenia stronnictwa legitymistów. Każdy, kto śledził ciąg wypadków, przypomina sobie cudowne nieledwie podźwignięcie się Francyi pod tarczą rozumu Thiersa, którego Francya nie przestała opłakiwać, i ów 24 Maja, w którym koalicya legitymistów i bonapartystów strąciła go ze szczytu władzy. Wiadome są zabiegi czynione wtedy do hr. Chamborda przez stronnictwo monarchiczne: pamiętają wszyscy deputacyą, która pretendentowi w Frohsdorff ofiarowała koronę. Hrabia Paryża, przedstawiciel młodszéj linii Burbonów, złożył także hołd przyszłemu Henrykowi V-mu i dynastya francuska odżyła w zupełnéj jednolitości. Legitymiści tryumfowali. Wszystko wróżyło im zwycięstwo. Salony szlachetnego przedmieścia Ś-go Germana ciekawy podówczas przedstawiały widok. Rozprawiano tam już nad ceremoniałem wjazdu króla do zacnego miasta Paryża, nad barwą liberyi i kształtem powozów. Cały ten złoty sen rozwiał się, cały pałac z kart runął pod ciosem wymierzonym ręką, po któréj najmniéj się tego spodziéwano. Sam pretendent nie chciał przyjąć tronu w warunkach w jakich mu go ofiarowano. A przecięż warunki te nie były zaiste drakońskie. Żądano od pretendenta poprostu, ażeby wyrzekł się białéj z liliami chorągwi i przyjął sztandar nowéj Francyi, chorągiew trójkolorową, w któréj Francya upostaciowała wszystkie swoje nowożytne dążenia. Mimo swe zaślepienie legitymiści pojmowali, że ani wojsko, ani naród nie mógł schylić czoła przed monarchią absolutną, powracają w tryumfie do swoich dzierżaw, ale nie zrozumiał tego Henryk V, wolał więc wyrzec się tronu, aniżeli wstąpić nań w charakterze króla konstytucyjnego. Nie mamy bynajmniéj zamiaru dochodzić, czy było to ze strony pretendenta znużenie i brak energii, czy téż zręczność człowieka zdrowo stan rzeczy oceniającego, który nie chce puszczać się w niepewną podróż na uszkodzonéj łodzi; gotowiśmy raczéj, sławiąc wraz z tłumem nieposzlakowaną prawość znakomitego szlachcica, położyć wśród kwiatów, wśród mnóstwa kwiatów, kamień grobowy zgasłemu legitymizmowi.

Od téj próby urzędowéj i po tém urzędowém poronieniu, roczniki stronnictwa legitymistowskiego są, rzec można, zamknięte.

W Izbie 1876 r. legitymiści stanowili nieznaczną mniejszość; w wyborach niedawno dokonanych, liczba ich nie wzrosła wcale. Na szali stronnictw oddzielnie nic nie ważą, a dają znaki życia tylko w przymierzach z dwoma innemi stronnictwami monarchicznemi. Przymierza te będą zawsze potworne, ale wobec bezsilności,

na którą skazała legitymistów obojętność i nieprzychylność kraju, są jedyném świadectwem ich istnienia.

Mimo tę polityczną bezsilność, stronnictwo legitymistów posiada w obu Izbach i w kraju osobistości wielce szanowne i prawdziwie sympatyczne. Któżby nie uczcił zmarłego niedawno margrabiego de Franclien, szlachcica starodawnego hartu, zacnego i szlachetnego męża, który przypominał patrycyuszów rzymskich, a godnością swoją protestował przeciw ogólnemu rozstrojowi! A nie byłto jedyny przedstawiciel téj rady rojalistów bardziéj królewskich od samego króla. Spotykamy obok niego Lucyana Brun, wielkiego obrońcę Wandei, Andrzeja de Kardrel, walecznego w boju, zręcznego w pokoju, Depeyra, który z godnością piastował pieczęć kanclerza, Dufont de Cierac'a, którego izba republikańska, zawsze wice-prezydenturą zaszczyca, ognistego księcia de La Rochefoucauld, prawego Curayon Latour i wielu innych. Przyznając jednak tym przywódzcom legitymistów wszelkie tytuły do poszanowania i sympatyi, niepodobna jednocześnie zaprzeczyć, że są to osobistości drugorzędne. Nie znajdziemy między niemi ani męża stanu, ani znakomitego mówcy, któryby zaimponował tłumom, zapanował nad niemi geniuszem, któryby nowe drogi wytknął temu stronnictwu od tak dawna przez losy przeciwne prześladowanemu. Któż wié, czy gdyby w pierwszém osłupieniu po wojnie, ukazał się wśród strwożonego chwiejnego i rozproszonego w nieładzie sejmu, jakiś Berryer, to jest jeden z najpotężniejszych mówców nowożytnych, kto wié powtarzamy, czyby nie potrafił przeciągnąć do obozu rojalistów wszystkich umysłów niezdecydowanych, któreby liczebnie wzmocniły przerzedzone falangi stronnictwa? Ale na szczęście czy też nieszczęście, nie było Berryera, ani nikogo, ktoby mu wartością dorównywał. Legitymistom brakowało zawsze i brakuje do dziś dnia prawdziwego *leadera*. Stronnictwo bez głowy nie może mieć siły. Historya potwierdza to na każdym kroku.

Wypada nadto nadmienić, że dzisiejsi legitymiści więcéj mają wiary w swoję gwiazdę aniżeli przezorności politycznéj. Wśród własnéj społeczności żyją jak obcy, między współczesnymi snują się jak widma minionych wieków, nie domyślając się przepaści codzień głębszéj, która ich od Francyi oddziela. Dziś jeszcze rozmyślają, jakimby sposobem pozbyć się głosowania powszechnego. Co zaś szczególniéj odejmuje im wszelką sympatyą publiczną, wszelką popularność, a nawet wpływy miejscowe, to przywiązanie do klerykalizmu. Legitymiści stanowią stronnictwo kościoła. Wiadoma jest protekcya, jaką Ojciec Święty otacza hr. Chamborda, pamiętają téż wszyscy legion żuawów papieskich, w którym widzieć można było

kwiat szlachty francuskiéj. Między wszechmocą papieską, a absolutyzmem politycznym istnieją nierozerwalne węzły. Walczyć za Rzym, uchodzi w oczach legitymistów, za sprawę równie świętą, jeżeli nie świętszą jeszcze jak bronić własnego kraju. Interesa Francyi uczynić zależnemi od interesów Kuryi rzymskiéj, odbiérać hasła ze stolic biskupich, działać tylko przez duchowieństwo, widziéć tylko oczami kleru, oto zasadnicze dążenia stronnictwa legitymistów we Francyi. Ta charakterystyczna cecha legitymistów jest téż ich słabością. Masa narodu nie rozumié już tego ścisłego węzła, a domyśla się zgubnych jego skutków dla wolności osobistéj. Wszystko co pochodzi z Rzymu jest jéj podejrzaném, a stronnictwo legitymistów pierwsze pada ofiarą tego usposobienia.

Bądźmy sprawiedliwymi. Była chwila kiedy legitymiści zdawali się nietylko odzyskiwać popularność, ale nawet otwiérać sobie świetne na przyszłość widoki. Kilku legitymistów stanęło na czele partyi decentralizacyjnéj, broniąc swobód municypalnych i prowincyonalnych. Ze względu, że swobody miejscowe zawiérają w zarodzie całą wolność polityczną, przyklaśnięto téj szlachetnéj próbie; ten i ów skłonny był już widziéć w magnatach walczących za swobodę prowincyj przeciw znikczemniającéj centralizacyi stolicy, spóźnionych potomków Gwizyuszów i Frądy których zwycięstwo nad absolutyzmem byłoby nadało inny obrót całéj historyi nowożytnéj. Ale gorliwość legitymistów nietylko wkrótce ostygła, lecz nawet zupełnie wygasła tak, że byliśmy świadkami upakarzających odszczepieństw i słyszeliśmy jak ci sami ludzie, którzy dopominali się swobód dla prowincyj, w następnym sejmie odmawiali najskromniejszym gminom prawa mianowania mera! Wytłómaczyć to łatwo. Widząc, że kraj ich opuścił, a nie będąc w stanie odzyskać swéj przewagi powolną drogą wpływów miejscowych, legitymiści puścili się na awanturę i padli w objęcia reakcyi. Mimo pogardę dla Bonapartego i dla jego rządów, sprzymierzyli się z bonapartystami przeciwko istniejącemu porządkowi.

Swoboda rozpraw, wolność prasy, swoboda zgromadzeń, wolność wyznań, powszechne głosowanie i wszelkie jego następstwa stały się zmorą dla stronnictwa legitymistów.

Czytelnicy uwolnią nas od wniosków; wypływają one widocznie z przedstawionego wyżéj stanu rzeczy.

Stronnictwo legitymistów, liczebnie słabe, ma oparcie jedynie w departamentach najmniéj rozwiniętych, to jest na Zachodzie Francyi; wobec całego kraju skompromitowało się obcemi przymierzami, lenniczą od kleru zależnością i przeniewierzeniem się zasadzie decentralizacyi. Legitymiści wegetują i słyszéć jeszcze będzie-

my o nich to i owo, legitymizm w politycznėm znaczeniu żyć przestał. Po śmierci Henryka V-go, wierni jego stronnicy rozproszą się i wzmocnią zastępy innych stronnictw.

W bezsilnym obozie legitymistów, będą zawsze budzić szacunek piękne, szlachetne i rycerskie charaktery: niemniéj przeto stary sztandar stronnictwa może na zawsze krepą żałobną pokryć wypadnie.

II.

Przygotowani jesteśmy na zarzut. Różna bywa monarchia, może kto powiedzićć. Oprócz monarchii absolutnéj, legitymistycznéj, któréj chorobliwe pierwiastki zbadaliśmy wyżéj, godzi się jeszcze zbadać monarchią konstytucyjną, parlamentarną, istniejącą w większéj części krajów lądu stałego, że już nie wspomnimy o jéj prototypie, o konstytucyi angielskiéj. Ta błogosławiona forma rządu, zabezpieczająca obywatelom wszelkie swobody, zapewniająca im równocześnie wszystkie korzyści porządku i stałości, godząca najbardziéj krańcowe dążenia postępowe z wiekowemi tradycyami przeszłości, byłażby równie niemożliwą we Francyi?

Na to pytanie damy bez wahania jak najdobitniejszą odpowiedź. Tak, jesteśmy przekonani, że monarchia konstytucyjna niemożliwą jest we Francyi, że nigdy nie zdoła się tam zakorzenić. Jeżeli da się nawet zaszczepić czasowo, o czém wątpimy, ale co może się przytrafić w dzisiejszych czasach niespodzianek, życie jéj będzie krótkotrwałe. Jesteśmy tego pewni; i postaramy się umotywować to nasze przekonanie.

Francya stosuje u siebie od 30 lat zasadę powszechnego głosowania, każdy zatém pełnoletni obywatel korzysta z pewnéj cząsteczki wszechwładztwa. O téj ważnéj okoliczności zapominać nie należy. Rzeczą jest oczywistą, że przy logice stanowiącéj wydatną stronę umysłu francuskiego, przy żywości, którą się charakter Francuzów odznacza; owe miliony władzców nie zgodzą się na króla, choćby od niego otrzymali najliberalniejszą, najrozleglejszą konstytucyą. Kraj, który należał do siebie choćby przez krótką chwilę, uczuje jarzmo najlżejszéj zależności, a Francya oddawna już do siebie należy i nowe pokolenia wzrastają w zupełnéj świadomości swego wszechwładztwa politycznego. Możnaż przypuścić, ażeby ta sama Francya uznała kiedykolwiek wszechwładztwo króla i dynastyi królewskiéj. Wątek tradycyi królewskiéj przerwał się. Nie uznając już wszechwładztwa króla z łaski Bożéj, Francya zastąpiła je wszechwładztwem zbiorowém swoich obywateli. Możnaby wprawdzie wcielić to wszech-

władztwo prawa w królu konstytucyjnym, jako w strażniku paktów zasadniczych, ale ta potrzeba nie wydaje się już większości narodu francuskiego tak jasną i oczywistą. Rządy republikańskie przedstawiają się Francuzom w formach nierównie prostszych, a im prostsze jest rozwiązanie trudności, tém łatwiéj masom imponuje. Ponieważ monarchia Konstytucyjna nie może powiększyć *summum* swobód i praw jakie nadaje rzeczpospolita, ponieważ przeciwnie, kraj zawsze narażony jest na rządy króla nieudolnego, lub zbyt chciwego władzy, lepiéj się wcale na to zdradne ryzyko nie narażać. Takie jest rozumowanie, takie są przekonania we Francyi.

Wypada teraz przymierzyć do tego rozumowania teoretycznego i oderwanego, sprawdzenie faktów pozytywnych, jedyne nieomylne kryteryum w kwestyach politycznych. Cyfry i osoby mięszają częstokroć szyki w poglądach spekulatywnych, ale je dopełniają zawsze.

Ze stanowiska praktycznego, monarchia konstytucyjna nie ma we Francyi widoków powodzenia. Należy tu przedewszystkiém zastrzedz, że dynastya Ludwika Filipa głębszych w kraju nie obudziła sympatyj. Potrafiła wprawdzie zgromadzić około tronu konstytucyjnego warstwę narodu, która stanowi jego siłę i światło: mieszczaństwo. Ale mieszczaństwo takie, jakie wytworzyła dynastya Orleańska, już nie istnieje. Cesarstwo potrafiło z gruntu przekształcić jego charakter. Z mieszczanina uczciwego, spokojnego, umiarkowanego, skromnego w potrzebach, niedalekich sięgającego widnokręgów, z typu szanownego choć śmiesznego Józefa Prudhomme'a, Cesarstwo dzięki olbrzymim robotom publicznym, kolosalnym przedsiębierstwom przemysłowym, dzięki szybkiemu wzrostowi majątków powstających i upadających z dnia na dzień, utworzyło postać zupełnie odmienną. Dopuszczony do takiéj uczty mieszczanin nie był w stanie oprzéć się ponętom. Węzły moralności prywatnéj rozluźniły się niewątpliwie, ale widnokrąg polityczny rozszerzył się jednocześnie. Zasada cenzu, wyborów kilkostopniowych, klas uprzywilejowanych wywołałaby dziś uśmiech w klasach średnich, które niegdyś z tych przywilejów korzystały. Szczęściem wdzięczność nie jest potrzebną w życiu politycznem, bo brak jéj dawałby się uczuć nieustannie. Francuzi stali się demokratami, jedni z przekonania, inni z konieczności: wszelkie więc argumentacye ustąpić muszą wobec brutalnego faktu. W dzisiejszych warunkach utworzenie Izby parów, według wzoru zostawionego przez Ludwika Filipa, byłoby niepodobieństwem. Systemat parlamentarny z wielkiemi turniejami krasomówczemi, z harmonijnie od mierzoną równowagą władz, z projektami do praw przebiegającemi z izby do izby niby tkackie czółenko, wszystko to

wydałoby się dziś starém rupieciem, chińszczyzną. Cesarstwo, podniecane nienawiścią do Orleanów, potrafiło ogołocić z powagi najpiękniejsze nawet i najszlachetniejsze strony tego rządu: reszty dokonała rzeczpospolita.

Położenie książąt, przedstawiających dziś dynastyą Orleańską, jest arcy trudném. Urzędownie zjednoczyli się oni z hrabią Chambord: faktycznie reprezentują inną sprawę. Po zrzeczeniu się tronu ze strony hrabiego Chamborda, książęta Orleańscy są tém samém od stopni jego odsunięci. Hrabia z dumą przemieszkuje zagranicą i do Francyi królem tylko powróci; książęta mieszkają w kraju w charakterze obywateli, właściwie kapitalistów. Wnuk Ludwika Filipa, hrabia Paryża, poświęca się studyom, usiłuje żyć zdala od wiru politycznego i cierpliwie czeka na stosowną dla siebie chwilę. Ale nadzieją stronnictwa nie jest on, lecz książę d'Aumale, dobra głowa, a zarazem dzielna prawica Orleanistów. Fortunę ma olbrzymią, stosunki bardzo rozgałęzione; odznacza się niepospolitą inteligencyą i wielką ambicyą. Jako jenerał, ma dziś wielkie dowództwo wojskowe w Besançon, i stanowisko swoje uważa za nieodpowiednie, co nikogo dziwić nie może. Ilekroć Francya przebywa jakieś przesilenie, ilekroć zachmurzy się horyzont, strwożone oczy zwracają się ku niemu. Niedawno jeszcze, kiedy dymisya marszałka Mac-Mahona wydawała się nieuniknioną i kiedy orleaniści jakoby opuścić go chcieli, upatrywano w tém rękę księcia Aumala i spodziéwano się, że wyjdzie na jaw jego kandydatura. Polityka przewidująca na dalekie odległości wyznaczała już księciu stacye ku tronowi, do którego drogę miał książę przygotować swemu spadkobiercy, hrabiemu Paryża, zacząwszy od prezydentury rzeczypospolitéj, przez statuderat do monarchii. Wszyscy obawiający się ze strony książąt orleańskich zamachu stanu, lub jakiegobądź aktu nielegalnego, są w błędzie. Członkowie młodszéj linii Burbonów, ludzie gruntownie uczciwi, nie są do tego zdolni. Niepopularność ich w narodzie, nieulegająca wątpliwości wynika z faktu podrzędnego znaczenia. Powróciwszy do Francyi po wojnie, w chwili kiedy kraj gromadził wszystkie kapitały na spłatę niezbłaganego wroga, książęta orleańscy pospieszyli upomnieć się o zwrot swoich majątków skonfiskowanych przez cesarstwo, to jest o kapitały wraz z procentami. Mieli do tego prawo, bez wątpienia, ale chwila wydała się wszystkim źle wybraną na tę rewindykacyą, a książęta, niedawno jeszcze zupełnie nieznani, przedstawili się Francyi pod zarzutem chciwości, którą legenda z upodobaniem przypisywała ojcu królowi Ludwikowi Filipowi.

Znaczenie zatém stronnictwa orleanistów nie polega ani na liczbie adherentów, ani na osobistości książąt. Jeżeli jednak zajmu-

jąc się stronnictwami we Francyi wypada się zatrzymać na orleanistach, to dlatego, że do obozu ich należą faktycznie lub w mniemaniu powszechném wydatniejsi statyści w obu Izbach. Ministrowie rzeczypospolitéj są orleanistami—jeżeli nie są legitymistami lub bonapartystami, bo republikanów napróżnobyśmy w gabinecie szukali. Nic więc dziwnego, że wszyscy przypuszczają, iż ministeryum pracuje na korzyść swego stronnictwa, i że każdy oczekuje na praktyczne téj pracy wyniki. Nadaje to sztuczne życie stronnictwu, które, jak ktoś dowcipnie powiedział, tyle ma głów ilu członków. Kraj nie przyznaje mu życia rzeczywistego. Ale politycy orleańscy daremnie będą się szamotać i dążyć do sojuszu z innemi stronnictwami zachowawczemi, na powodzenie liczyć nie mogą. Rewolucye pałacowe niemożliwe są we Francyi, a panowanie kamarylli nigdy trwałém nie będzie. Stronnictwo zwane książęcém, partya księcia Broglii i księcia Decazes i księcia Audiffret—Pasquier, postawiło już wszystko na kartę w ostatnich miesiącach, a niezmierna ich klęska wobec kraju jest początkiem nowego politycznego okresu. Znajdujemy się w téj chwili wśród chaotycznego wiru i zawikłania nieodłączonego od nowéj organizacyi stronnictw. Orleaniści, stanowiący w obu Izbach prawy środek, piękną mieli do odegrania rolę, którą jednak dobrowolnie porzucili. Można być pewnym, że stronnictwo, jako całość organiczna, uczuje następstwa tego kroku. Ścisły sojusz księcia Brogli, urzędowego przedstawiciela Orleanizmu doktrynerskiego z bonapartyzmem bojującym, zada cios śmiertelny orleanizmowi. Przywódcy tego stronnictwa mogą się jeszcze przez pewien czas utrzymać w sferach rządzących, ale dziejowa ich rola jest skończoną.

Dowody stwierdzające nasze słowa znaléść można w prasie i w świecie literackim. Na widok świetnéj plejady mężów politycznych z czasów Ludwika Filipa, takich statystów jak Thiers, Casimir Périer, Say, Montalivet, Rémusat i *tutti quanti* wzmacniających szeregi republikańskie, na widok redakcyj dwóch monitorów Orleanizmu „Debats“ i „Revue des deux mondes“ opuszczających obóz orleanistów z dowcipnym Johnem Lemoinem na czele,—nastręcza się pytanie kto zostanie na wyłomie? Na wyłomie, coraz większym, spostrzegamy jednego tylko tyraljera z talentem, Edwarda Hervé, dziennikarza niepospolitéj siły. Ale *Słońce*, dziennik Herwego, wielkim masom nie przyświeca i nigdy nie wytworzy silnego prądu opinii na korzyść orleanizmu.

Streśćmy nasze wywody.

Monarchia konstytucyjna, podobnie jak monarchia z łaski Bożéj, może być uważaną we Francyi za sprawę przegraną. Jako forma polityczna polegająca na ugodzie, na tranzakcyi, nie jest już dziś

na porządku dziennym. Wobec starszéj siostry, monarchii z łaski Bożéj, ma jednak niższość:—nie jest, jak tamta zasadą. Zasadę przyjmuje się lub odrzuca w całości, czego nie można zastosować do monarchji konstytucyjnéj. Jako kombinacya przymierzy, jednoczeń, ustępstw i subtelności, monarchia konstytucyjna nie ma racyi bytu od chwili gdy zmieni się stosunek stron związanych umową, kiedy sprzeciwieństwa wygładziły się same z siebie, gdy sprzeczności zlały się w jednę całość, kiedy światło rozproszyło mgły, kiedy jeden wielki głos powszechnego głosowania przemawia przez usta narodu.

Po skończonym rozwoju formy przejściowe nikną nieodzownie. Wyjątków od téj wielkiéj prawdy nie spotykamy ani w świecie fizycznym, ani w świecie moralnym. Można żałować pośpiesznego zniknięcia form przejściowych, można ubolewać, że drzewo nie wszystkie wydało owoce—ale zmienić prawa rozwoju niepodobna. Wobec szerokiego koryta wielkiéj rzeki dumnie i odważnie ku Oceanowi zdążającéj któż mógłby pomyśléć o sztucznych tamach, wzniesionych gdzieś u dalekiego jéj źródła?

III.

Najruchliwszém, że nie powiemy najhałaśliwszém stronnictwem są bonapartyści, czyli mianując ich urzędowym pseudonimem: stronnictwo odwoływania się do narodu. Europa niejednokrotnie myliła się co do jego istotnego znaczenia, a publiczność polska, która często spoglądała na bonapartystów przez niepojęty pryzmat mamiących nadziei i błędnych kombinacyj, więcéj niż każda inna potrzebuje być wyleczoną ze złudzeń i zbadać dokładnie siły i doniosłość bonapartyzmu.

Cesarz Rossyjski Mikołaj miał jakoby wyrzec kiedyś słowa, które stały się historycznemi: „Gdybym był Francuzem, byłbym albo legitymistą, albo republikaninem.“ Słowa te zawiérają głęboką prawdę. Oczywiście, że dwie są tylko logiczne zasady, łaska Boża lub wola narodu. Bonapartyzmu niepodobna podciągnąć ani pod pierwszą, ani pod drugą, jakkolwiek ma on pretensye do wspólności w cechach zasadniczych z obydwoma stronnictwami. Bonapartyzm nie jest rządem przejściowym jak orleanizm—jestto raczéj rząd zrodzony z nieprawych związków. Zachowawców zapewnia, że idzie z nimi ręka w rękę, wznosząc tron, opiérając się na ołtarzu i na armii, poskramiając bunty, poręczając porządek i bezpieczeństwo. Jednocześnie odzywa się do republikanów i do wszystkich demokratów, że źródło swego istnienia ma w woli narodu, któréj jest przedstawicielem, mandataryuszem, jako jedyny spadkobierca wielkiéj re-

wolucyi i nieśmiertelnych jéj zasad, i że nie uznaje ani przywilejów, ani nadużyć nieodłącznych od dawnych form rządu. Jednym i drugim przyrzeka sławę na zewnątrz i wszelakie zadowolenie miłości własnéj, na które każdy Francuz tak jest wrażliwym, oraz wszystkie ułatwienia, potęgujące dobrobyt publiczny, słowem—honor i pieniądze!

Mimo tę dwoistość w charakterze, bonapartyzm chciał wznieść się do godności oryginalnéj teoryi politycznéj, a przez dwadzieścia lat trwania drugiego Cesarstwa wysławiano go na wszystkie tony jakby nową ewangelią. Cesarz Napoleon III ze swą skłonnością do mistycyzmu i z osobistemi pretensyami do opatrznościowego posłannictwa, wierzył istotnie w cezaryzm i w koronowaną demokracyą. Ktoś dowcipnie zauważył, że z całego stronnictwa on jeden był w dobréj wierze. Za nim ministrowie statyści, urzędnicy z akompaniamentem *unisono* całéj orkiestry dzienników urzędowych i półurzędowych hojnie opłacanych, wysławiali cezaryzm z zapałem, którego pobudki aż nadto są widoczne. Cesarstwo miało być według tych apologij, formą monarchiczną jedynie możliwą, jedynie odpowiednią dla społeczności demokratycznéj i hołdującéj równości. I w istocie, powierzchowny spostrzegacz mógł sądzić, że ta doktryna zakorzeniła się we Francyi. Umysły zgryźliwe, nazwane wtedy pogardliwie *dawnemi stronnictwami*, daremnie ubolewały nad utratą wszystkich swobód, stanowiących chlubną spuściznę minionych wieków; napróżno protestowały przeciw temu poniżeniu i temu służalstwu wszystkich wobec jednego i apelowały od głosowania powszechnego skrępowanego, uwiedzionego, sfałszowanego, do głosowania powszechnego więcéj oświeconego—był to trud daremny. Francya sterroryzowana głośno w plebiscytach oddawała się panu swojemu. Wielkie masy narodu, powtarzając starożytne hasło *panem et circenses*, pod wielu względami przypominały smutnéj pamięci dzieje Byzancyum. Francya stała się już tylko oberżą karawanserajem całego świata, w którym jedynie dla geniuszu i dla wolności nie było miejsca. Wszystko zdawało się straconém i zrozpaczoném, gdyby można zrozpaczyć o narodzie tak żywotnym jak Francuzi. Francya nie umarła; stan jéj był zaledwie katalepsyą. Rozbudzenie było nagłe, nawet zadziwiające. Sztuczna teorya cezaryzmu runęła, nie doczekawszy nawet upadku saméj instytucyi. Gdy walka opozycyi w ostatnich latach cesarstwa zaogniała się coraz bardziéj, gdy stronnictwo opozycyjne wzmagało się codziennie wobec klęsk politycznych i finansowych, które Cesarstwo gromadziło z pośpiechem gorączkowym i niesłychaném zaślepieniem—rząd cesarski zmuszony był ustąpić. Przywrócono swobody publiczne tak długo wzbronio-

ne; parlamentaryzm, przedmiot prześladowania tak wytrwałego a tak podstępnego, ukazał się na nowo. Uwolniona od knebla, Francya odetchnęła swobodniéj. Pod panowaniem cezara, cezaryzm przestał istnieć, ale nie był na tyle rozumnym, ażeby wyjść ze stanu zbrojnego. Pragnął odwetu i sądził, że świetnością laurów wojennych odświeży blask wyblakłego swego sztandaru. Nastąpiła wojna z Niemcami, niedorzecznie rozpoczęta i prowadzona po szalonemu. Cesarstwo runęło w otchłań pod Sedanem, a opozycya uchwyciwszy ster rządów, który wymknął się z niedołężnych rąk Napoleona III-go, ogłosiła w chwili wybuchu zaburzeń detronizacyą cesarza, wciągniętą po wojnie do akt i potwierdzoną przez Zgromadzenie narodowe z wszelką możliwą uroczystością. Cesarstwo zniknęło, zostawiając ścieśnione granice, kraj nadszarpnięty i zbiédzony. Była to jedyna po nim spuścizna. Przyjąć taką spuściznę, choćby z dobrodziejstwem inwentarza, nie było rzeczą łatwą. Na to jednak zdecydować się musieli bonapartyści różnych odcieni: bądź współwinni, bądź aktorowie, bądź prości komparsi. Przyznać należy, że rolę mieli do odegrania trudną, szczególniéj w początkach. Oburzenie członków Zgromadzenia narodowego tamowało imperialistom dostęp do trybuny, na każdym kroku potykali się o nienawiść i przekleństwa kraju, który im swój upadek i swą hańbę przypisywał. Ale jak to zwykle bywa pierwszy gniew ostygł, wkrótce uspokoiła się żywość pierwszych antypatyj, a stronnicy cesarstwa, dostawszy się raz do głosu, zaczęli nietylko wykazywać okoliczności łagodzące, ale dowodzić niebytu winy. Zuchwalstwo téj taktyki było wielkie, ale zuchwalstwo jest głównym przymiotem bonapartystów; ono to zjednało im kilku stronników; a w każdym razie krzepiło słabych i rozgrzało obojętnych. W sześć lat po upadku cesarstwa, w sześć lat po wojnie, stronnictwo cesarstwa jest ukonstytuowane, zszeregowane, wyćwiczone w karności i wysoko podnosi swój sztandar. Fakt trudny do uwierzenia na pierwszy rzut oka, łatwo daje się wytłómaczyć, gdy zbadamy skład stronnictwa i okoliczności, które sprzyjały jego reorganizacyi.

Stronnictwo banapartystów składa się najprzód ze wszystkich dygnitarzy Cesarstwa i ze wszystkich tych, którzy dosłużywszy się pod rządem Napoleona III-go szewronów, pragnęliby ażeby powróciły czasy, kiedy bez odpowiedzialności, bez pracy, można było mieć korzyści i zaszczyty, a szczególniéj korzyści. Arystokracya bonapartystowska i cała partya dworska, wszyscy ci, kórych niewyczerpana hojność i wielka dobroć cesarza tylekroć zobowiązała i poparła, winni być podciągnięci pod tę samę kategoryą. Daléj należy do niéj zaliczyć finansistów, a szczególniéj finansistów podejrzanych

wszystkich aferzystów, awanturników, cały ten zastęp wylęgły pod inspektowemi szybami przedsiębierstw przemysłowych i finansowych owéj epoki. Dodajmy wreszcie biura wszystkich ministeryów i urzędników wszelkich stopni, którzy dotychczas jeszcze są po większéj części bonapartystami. I nic dziwnego—wszakże Cesarstwu zawdzięczają całą swoję karyerę—a od tego czasu nie zaszła w tych sferach żadna radykalna zmiana, bo nie było jeszcze ministrów republikańskich, a jeżeli i byli tacy, to nie mieli ani siły dostatecznéj, ani czasu do wprowadzenia zmian w personelu biur ministeryalnych. Wynika stąd, że hierarchia administracyjna we Francyi pozostała bonapartystowską, gdy większość kraju już nią być przestała. Pamiętając o tém do jakiego stopnia Francya jest krajem rutyny, jakim istotnym wpływem cieszy się tam stempel rządowy, jakie ma znaczenie wszelka czynność urzędowa, można tylko dziwić się jednéj rzeczy, że propaganda bonapartystowska, szerzona przez takie mnóstwo urzędników, nie wydała jeszcze dotykalniejszych dla tego stronnictwa rezultatów.

Taki jest sztab, takie są kadry imperyalistów. A jakże się przedstawia sama armia. Szeregi téj armii zmniejszają się z każdym dniem: fakt ten nie ulega wątpliwości. Masy narodu odwracają się coraz bardziéj od bonapartystów. Robotnik miejski należał zawsze do stronnictwa krańcowego, ale włościanin, ten włościanin, którego Cesarstwo uważało za swoję niezachwianą podporę, zaczyna opuszczać szeregi. A jednak nie brak bonapartystom środków wpływania na tę masę mniéj oświeconą, a bardziej bezwładną. Agitatorowie bonapartyzmu przedstawiają się włościaninowi z całą przynętą swobód i ulg, które przypisują szczodrobliwości Cesarstwa, wykreślając poprostu rewolucyą z kart historyi. Oni to, nie kto inny znieśli dziesięciny, zwietrzałe przywileje, niesłuszne podatki, których smutna tradycya przetrwała jeszcze w zakątkach siół zapomnianych. Oni to mają być twórcami powszechnego głosowania, do którego najnędzniejszy chłopek przywiązany jest jak szlachcic do swych pargaminów genealogicznych. Z drugiej strony, przypominając dobrobyt, który panował za Cesarstwa nie omieszkują porównywać go z ciężarami dzisiejszych podatków, z rostrojem w robotach publicznych, z przesileniem przemysłowém, przypisując to wszystko istnieniu rzeczypospolitéj. Daremnieby ktoś odpowiadał, że kłopoty chwili obecnej i powiększenie podatków—to nieunikniony skutek poprzedniéj polityki, to następstwo wojny i Cesarstwa;—przeczą temu uparcie, a w rzeczypospolitej widzą tylko podstęp i zdradę.

Podobne argumenta musiały widocznie mieć tu i owdzie pewne powodzenie, skoro 85 deputowanych bonapartystowskich zasia-

da w Izbie dzisiejszéj. Ale wziąwszy na uwagę, że wybory odbyły się pod bezprzykładnym naciskiem, że zarządzone były i kierowane przez ministra należącego do obozu bonapartystów, że je napiętnowały sromotne przekupstwa i skandaliczne nadużycia, można tylko powinszować krajowi, który oparł się takiemu naciskowi i jasno wypowiedział, że nie ma nic wspólnego z bonapartyzmem.

Mimo względy urzędowe, któremi jest obsypane, stronnictwo to nie przestaje wyrzekać na prześladowanie. Nie uznaje prawowitości obecnego rządu i wykazuje konieczność odwołania się do narodu *ad hoc*, w którém Francya byłaby wezwana do głosowania przez *tak* lub *nie* nad przywróceniem Cesarstwa. Inne stronnictwa odpowiadają bonapartystom, że we wszystkich odbytych już wyborach naród wyraził swoję wolę w sposób zupełnie jasny i że nie wolno jest żywić pod tym względem jakiéjkolwiek wątpliwości. Bonapartyści nie chcą być przekonanymi. Nie ma gorszego głuchego, mówi francuskie przysłowie, jak ten, który nie chce usłyszéć. Nie brak téż i w prasie wrzawy bonapartystowskiéj. Zacząwszy od dziennnika *Pays* redagowanego przez owego Pawła de Cussagnac, który się smutnie wsławił jako pojedynkarz i opętaniec, skończywszy na gazecie *l'Ordre* kierowanéj przez dawnego vice-cesarza p. Rouhera, pod redakcyą p. Juliusza Amignes osobistości sponiewieranéj, która z cynizmem sprzedaje się więcéj dającemu, w organach bonapartystów odzywa się zawsze ta sama nuta gwałtowna i wyzywająca. Wśród literatów tego stronnictwa błyszczy jeszcze Klemens Duvernois, dawny minister z czasów Cesarstwa, wypuszczony niedawno z więzienia, gdzie go zamknięto za malwersacyą finansową. *Ab uno disce omnes*. W Izbie bonapartyści reprezentowani są przez dawnych urzędników i dygnitarzy Cesarstwa, nie słychać między nimi ani jednego nowego nazwiska, nie widać ani jednego świéżo nawróconego. Stronnictwo, które nie znajduje neofitów, wykazuje tém samém brak żywotności.

Zasiadając w Izbie w takiéj mniejszości (na 533 deputowanych jest tylko 85 bonapartystów), nie mogąc inaczéj swéj woli wyrazić jak w przymierzu z dwoma powyżéj scharakteryzowanemi stronnictwami monarchicznemi, znalazłszy się téż w mniejszości wobec kraju, jak o tém aż nadto zaświadczyły wybory, jakim sposobem bonapartyści tak głośno się odzywają i zapowiadają każdemu kto chce słuchać bliskie swoje zwycięstwo. Jestto fakt dziwny i byłby może niemożliwy do wytłómaczenia, gdybyśmy dawno nie wiedzieli, że to stronnictwo w braku dróg legalnych zawsze jest gotowe chwycić się nielegalnych. Ponownie na dawniejszą datę 18-go brumaira i na świeższą 2-go grudnia, opinia publiczna zatrwożyła się

Pocieszano się wprawdzie myślą, że takie osobistości, jak Morny, Persigny lub Saint-Arnaud dwa razy się w dziejach nie ukazują, ale obawiano się jednocześnie wspólnictwa niektórych ministrów, niektórych generałów, i posępne jakieś odgłosy odzywały się w powietrzu. Na szczęście przesilenie grożące Francyi już zostało zażegnane i weszło w fazę ukojenia. Prezydent rzeczypospolitéj zmuszony był oświadczyć urzędownie, że nie pozwoli nigdy na zamach stanu—i opinia mu wierzy. Wraz z tym postrachem znikną jednocześnie widoki powodzenia dla Cesarstwa. Gdy rząd zostaje na drodze legalnéj, bonapartyzm pozostanie stronnictwem opozycyjném.

Taka jest jego rola, i to nadługo jak sądzimy. Jeżeli nie mówimy „nazawsze,“ to dlatego, że samo Cesarstwo oduczyło nas od wymawiania tych historycznych wyroczni. Zresztą, wszystko jest możliwém. W razie naprzykład nowéj a nieszczęśliwéj wojny, Francya mogłaby być zmuszoną do przyjęcia Bonapartego z rąk zwycięzcy. Jestto jedyna legalna forma powrotu Napoleona IV-go; żaden poważny umysł innéj nie przewiduje. Bonapartyzm jako forma rządu, ze wszystkiemi znanemi każdemu wadami nie dokaże nigdy, aby mu przebaczono narodziny w zbrodni i we krwi i zgon we wstydzie i hańbie. Najmniéj oświecony Francuz rozumié takie argumenta jak strata Alzacyi i Lotaryngii. Im dłuższy będzie okrés przejściowy, który teraz Francya przebywa, tém wyraźniéj wyjdzie na jaw niepodobieństwo trzeciéj restauracyi bonapartystowskiéj. Bohatérska legenda pierwszego Cesarstwa nie może służyć do zmycia fatalnego piętna z drugiego. Wielkie było zaślepienie, grube ciemności w masach ludowych; dziś ze zdumieniem stwierdzić wypada dokonywające się wśród nich postępowe ku światłu dążenia. Otóż przy jawności, przy świetle, przy swobodzie rozpraw, Cesarstwo istnieć nie może. Jestto jeden zwyciężony więcéj—który do jednego tylko uczucia nie może rościć pretensyi—do litości.

IV.

Idąc za biegiem naszych spostrzeżeń, znaleźliśmy się wreszcie wobec stronnictwa republikańskiego. Czytelnik, który nam do téj chwili towarzyszył, pojmie że odtąd dopiéro spokojniéj i z ufnością spoglądamy w przyszłość Francyi. Tak, do rzeczypospolitéj należy przyszłość i stałość w przyszłości. Wyrażając się w ten sposób, dalecy jesteśmy od popiérania zasady, która głosi, że *posiadanie znaczy tyle co tytuł*. Nie przeczymy, że istniejąca obecnie forma rządu czerpie w téj okoliczności nowe siły do swéj egzystencyi, że wytwa-

rza na późniéj warunki tem trudniejsze do usunięcia im dłużéj trwać będą. Ale argumenta przemawiające za rzecząpospolitą we Francyi nierównie są potężniejsze. Przyjrzyjmy się zbliska zasadom i faktom.

Rzeczpospolita 1848 r. i odmęt polityczny, który wytworzyła, zdyskredytował na długo samę ideę republikańską. Zwycięska reakcya wyzyskała mniéj więcéj zręcznie na swoję korzyść to zachwianie się popularności rzeczypospolitéj, Cesarstwo podjęło się tego zadania. Mimo te niepomyślne warunki za Cesarstwa właśnie na ławach ciała prawodawczego, w ogniu rozpraw, wśród prześladowań i szykan, za pośrednictwem prasy, niezbyt przecię przez prawo popieranéj, wytworzyło się na nowo i przekształciło stronnictwo republikańskie, ale nieprzejednani ówcześni odstąpili od absolutyzmu, od nietolerancyi, która cechowała wszystkich republikanów 1848 r. Nauczyli się rachować z okolicznościami i ulegać nieuniknionéj konieczności. Pomnikiem tego postępowania jest piękna książka Juliusza Simona *La politique radicale* wraz ze sławną przedmową.

Po katastrofie Sedańskiéj, republikanie ujęli ster spraw kraju i utworzyli ów rząd obrony narodowéj, który mimo najszlachetniejsze wysiłki nie zdołał oszczędzić Francyi ani uszczuplenia granic, ani całego szeregu towarzyszących mu nieszczęść, który jednak ocalił skarb najdroższy ze wszystkich—cześć narodową. Wraz z ustaleniem się pokoju, rozpoczął się dla stronnictwa republikańskiego, nieprzerwany ciąg prób i doświadczeń. Sama zasada republikańska wystawiona była na straszne niebezpieczeństwo podczas pełnego grozy panowania komuny. Gdy nareszcie przeszło to przesilenie, straszne jak wszystkie choroby w dzieciństwie, gdy śmiertelny zarodek usunięty został z organizmu, stronnictwo republikańskie zaczęło się organizować w Izbach i w kraju. Trzeba było najprzód zlać wszystkie odcienia stronnictwa w jednę całość, począwszy od weteranów jakobinizmu aż do biernych i nader zachowawczych osobistości lewego środka. To zlanie przedsięwzięte w celu zawotowania konstytucyi republikańskiéj dokonało się dzięki rozumowi politycznemu, który ani na chwilę nie przestał panować między przedstawicielami lewicy. Oparli się oni na słowach p. Thiersa, kryjących głęboką prawdę pod dobroduszną formą: zwycięztwo będzie po stronie rozumniejszego. Okazawszy przy najsilniejszém poczuciu słuszności, najwięcéj rozumu, najwięcéj gotowości do zgody, wszystkie odłamy lewicy Zgromadzenia prawodawczego zdołały nareszcie po niezliczonych zwłokach, przeszkodach i wahaniach ze strony przeciwników zawotować Rzeczpospolitę i nadać Francyi nową konstytucyą. Jestto już czternasta w porządku chronologicznym, a była na tyle

rozsądną, że się nie nazwała stanowczą. Przeciwnie—przewidziana w niéj jest rewizya konstytucyi, i ta właśnie przezorność jest w niéj może najbardziéj republikańską. Mimo zasiewu różnych starć i niebezpiecznych dwuznaczności, który w niéj pozostawili nieprzyjaciele rzeczypospolitéj, artykuł zastrzegający rewizyą ocali konstytucyą a jednocześnie ustrzeże Francyą od nowéj rewolucyi. Rzeczpospolita będzie mogła odtąd rozwijać się legalnie, bez wstrząśnień rewolucyjnych, a stronnictwo republikańskie wyjść téż może wkrótce z fazy opozycyjnéj, którą jeszcze przebywa i stać się stronnictwem rządowém. Wtedy i rola jego będzie odmienna; dla opozycyi bowiem wystarcza, gdy może przez filtr swojéj krytyki przepuścić każdą czynność rządu istniejącego i szkicować niewyraźnie zarys rządu idealnego; stronnictwo rządowe musi liczyć się z rzeczywistością, z trudnościami położenia i urzeczywistniać swój program, oszczędzając przeciwników, zadanie jego nierównie ważniejsze.

Jakakolwiek jednak będzie przyszłość stronnictwa republikańskiego — do chwili obecnéj można o niém mówić jedynie jako o opozycyi, chociaż bowiem rzeczpospolita jest officyalną formą rządu francuskiego, republikanie utrzymani są zdala od spraw państwa. Pod firmą republikańską monarchiści usiłują podstępnie przemycać swoje idee. Nic dziwnego, że w narodzie głębokie panuje niezadowolenie. Naród głosuje za rzecząpospolitą i stwierdza to swoje życzenie we wszystkich wyborach, a rząd złożony w całości z ludzi nieprzyjaznych rzeczypospolitéj działa daléj według swego widzimisię, jak gdyby naród nic nie mówił. Przyszły historyk ostatniego lat dziesiątka będzie miał dziwne rzeczy do opowiedzenia. W tém miejscu wypada wtrącić nawiasową uwagę. Krąży w Europie utarte zdanie o niekarności Francuzów, o niepodobieństwie rządzenia nimi, o chwiejności ich przekonań politycznych, o upodobaniu do rewolucyj etc. Ile twierdzeń w tym ogólniku—tyle błędów. Badając rzecz bliżéj i nie poprzestając na oklepankach, dochodzi się do przeciwnego wniosku: że mało jest narodów tak łatwych do zadowolnienia, tak posłusznych, tak zachowawczych, a nawet tak zamiłowanych w rutynie jak Francuzi. Obejrzawszy się na ten nieskończony szereg błędów, popełnionych przez różne rządy we Francyi, widząc to niepojęte zaślepienie, tę fatalność, która je popychała jeden po drugim do odmawiania narodowi najsłuszniejszych żądań, dziwić się chyba można, że więcéj nie było wstrząśnień, że te, które wybuchały, tak były niewinne i w odwecie swoim tak umiarkowane.

Bądź co bądź pierwsza faza idei republikańskiéj minęła, najtrudniejsze chwile organizacyi przeszły. Z pośród chaotycznego zawikłania stronnictw, z pośród niezliczonych nienawiści, rzeczpospo-

lita wyszła zwycięsko. Duchem jéj opiekuńczym był Thiers, którego nazwisko na wieki pozostanie związaném z tym pierwszym okrésem odrodzenia Francyi. Thiers odsunął na bok wszystkie tradycye swéj przeszłości monarchicznéj, wszystkie osobiste sympatye, słowem, zrzucił powłokę dawnego człowieka. Prowadzony wielkiém doświadczeniem prawdziwego statysty, poznał coraz widoczniejszą niemożliwość rządu monarchicznego we Francyi, a daleko sięgającém wejrzeniem historyka, dostrzegł najwłaściwszą dla nowéj Francyi drogę. Strony imponującéj tego przekształcenia Thiersa nigdy za wiele podziwiać nie można, tak jak republikanie nigdy dostatecznie nie ocenią o ile przystanie Thiersa do Rzeczypospolitéj zaważyło na szali politycznéj, przechylając ją na stronę téj formy rządu. Całe to mieszczaństwo lękliwe i ultra zachowawcze, które lęka się myśli oderwanych nie rozumiejąc ich, które tracąc z oczów cel życia pędzi je niedbale z dnia na dzień dopóki nie doczeka się katastrofy; całe to mieszczaństwo, którego Thiers był wcieleniem i bożyszczem, rozgrzało się jego patryotyzmem, oświeciło promieniami jego jasnéj inteligencyi i poszło za nim tam, dokąd je chciał zaprowadzić. To mieszczaństwo jest dziś w zgodzie z masą narodu: jedni i drudzy chcą rzeczypospolitéj i będą ją mieli. Będą mieli rzeczywistość tak jak dziś mają nazwę. Jestto tylko kwestya czasu. Cóż znaczy kilka miesięcy, lub nawet kilka lat w życiu narodu? Czas prób wyjdzie tylko na pożytek wielkiemu stronnictwu republikańskiemu. Spełni ono we własném łonie wszelkie reformy, do których jest zdolne i niewątpliwie będzie miało wiele do czynienia.

Nadeszła chwila ścisłego zbadania doktryn zasad i grup w wielkiem stronnictwie republikańskiém, do którego należy dwie trzecie narodu.

V.

Ilekroć nieprzyjaciele rzeczypospolitéj pragną ją zdyskredytować i zatrwożyć kraj, zawsze wywołują mu przed oczy czerwone widmo, straszą wstrząśnieniem socyalném i uosabiają te straszne mary w krańcowéj lewicy, czy téż w partyi radykalnéj. Ale nikt już nie wierzy w niebezpieczeństwo, pochodzące z téj strony, a jedyną przykrością, którą niewątpliwie ta partya nastręcza, jest chyba mnóstwo mów, wygłoszonych śmiesznym pathosem i w formach zwietrzałéj retoryki. Wszystko kończy się już nie na piosneczkach, ale na metaforach!

Poważnie rzeczy biorąc, nie sądzimy ażeby krańcowa lewica mogła być niebezpieczną. Jestto partya zużyta, która nie umiała się

odrodzić zrozumieniem swego czasu i podążaniem za nim. Nie posiadała tego rozległego rozumu politycznego dostrzegającego jednym rzutem oka punkt, do którego dojść można i ustępstwa jakie wypada uczynić; żyje nie w rzeczywistości, lecz w formułach oderwanych. Należą tu rozbitki jakobinizmu, ponoszący karę jaką za sobą prowadzi absolutyzm: odejmują odwagę a nie budzą ufności. Rzeczpospolita jest dla nich, podobnie jak monarchia z łaski bożéj dla ultrasów legitymistowskich, instytucyą wyższą i starszą, niecierpiącą rozpraw ani sporów, czémś w rodzaju tablic Mojżeszowych. Wielkim ich kapłanem jest zawsze Robespierre, naturalnie bez gilotyny, bo przywódcy dzisiejszego radykalizmu nie są bynajmniéj krwi chciwi. Odznaczają się tylko szczególnym uporem i ciasnotą widnokręgów, mimo zupełnie przeciwne pretensye. Widzą tylko istnienie własnego stronnictwa, działać chcą jedynie w jego interesie, zapominając że egzystują przeciwnicy, których należy przekonać jeżeli można, a przynajmniéj uspokoić. Radykaliści zapominają, że polityka nie jest logiczną dedukcyą wysnuwaną z oderwanéj zasady, ale raczéj płaszczem Arlekina zesztukowanym ze strzępów i skrawków. Polityk musi mieć w zanadrzu ustępstwa, szanować wszelkie interesa godne szacunku i osłaniać jednaką opieką prawa przyjaciół i wrogów. Tego właśnie nie pojmują dostatecznie ultrasy stronnictwa radykalnego. Dlatego téż wpływ ich w kraju jest tak ograniczonym, a garstka w Izbie tak szczupła.

To zobojętnienie coraz widoczniejsze w masach dla stronnictwa radykalnego musi być nawet przedmiotem podziwu dla każdego umysłu spostrzegawczego. Przypomniawszy sobie te krocie proletoryatu, te masy robocze po miastach i to mnóstwo istot nienależących do żadnéj klasy społecznéj, trudno nie uznać w nich strasznych sił i jednocześnie trudno oprzéć się zdziwieniu, że siły te, mając dzięki powszechnemu głosowaniu znaczenie w sprawach narodu, nie korzystają ze swego prawa. Zamiast trąb Jerychońskich, zamiast ryków ze lwiéj jamy, słychać tylko głos ludzki. Kwestya socyalna sama się odroczyła. Stało się to w milczeniu ale za wspólną zgodą. Przyznać należy, że pod tym względem Francya zdumiewające uczyniła postępy. Francya, kolébka, rozsadnik, szkoła i szranki socyalizmu, nie zajmuje się już nim wcale; i kiedy w Niemczech o socyalizmie tylko mowa, o jego postępach i widokach na przyszłość, we Francyi kwestyą tę wykréślono z porządku dziennego. Nie mamy zamiaru wszczynać tu rozpraw w tym przedmiocie, ani go wyjaśniać w jakikolwiek sposób. Zagadnienie tak ważne wymaga badań oddzielnych i nie powinno być przedstawione lekkomyślnie mimochodem. Pragnęliśmy jedynie wykazać, że w dniu, kiedy ta kwestya podniesioną bę-

dzie w parlamencie lub w kraju, partya ultrasów ważną odegra rolę. W téj chwili stanowi poprostu rezerwę stronnictwa republikańskiego.

Dla ścisłości dodać należy, że jest jeszcze jedna grupa kwestyj, w których krańcowi doniosły głos zabrać mogą. Mamy na myśli kwestye religijne. Jestto także grunt, który się ciągle z pod nóg usuwa. Najtęższe umysły, rodziny najzgodniejsze różnią się pod tym względem, co zresztą da się łatwo wytłómaczyć. Religia nie należy do dziedziny rozumu, naturalną jéj sferą jest uczucie. Rozum jest jeden, uczucie rozliczne przybiéra formy. Ilekroć podniesie kto publicznie tę kwestyą, choćby tylko z jednéj strony, jak to niedawno miało miejsce z powodu wyższéj oświaty, zawsze potrąci o najdrażliwszy nerw, którego drżenie głęboko, aż we wnętrznościach narodu się odzywa. Cóżby to było, gdyby dotknięto olbrzymiéj kwestyi oddzielenia kościoła od państwa! Przyjdzie chwila, a w naszém przekonaniu jest ona bliższą aniżeli się napozór wydaje, kiedy kwestya religijna wniesioną będzie pod rozpoznanie narodu. Krańcowi wycisną na niéj wtedy swoje piętno.

Na szczęście ani walki socyalne, ani walki religijne, nie są w téj chwili na porządku dziennym. Przyszłość jest niemi brzemienna; ale dziś kwestye organizacyi politycznéj, jedynie ważne dla Francyi, nie mogą być rozstrzygane przez krańcowych. Ani stary Raspail, patryarcha radykalistów, ani Madier de Monjan, przesadzony mówca, ani Alfred Naquet, warchoł literacki z pewną inicyatywą intellektualną, ani Armand Dupostal, zapalczywy dziennikarz, ani nawet Ludwik Blanc, słynny socyalista z 48 roku i świetny pisarz, nie są zdolni do wytknięcia drogi stronnictwu republikańskiemu. Tworzą oni odrębny kościół bardziéj hałaśliwy aniżeli wpływowy.

Prawdziwéj siły stronnictwa republikańskiego, głównéj jego armii, niedaleko wprawdzie, lecz gdzieindziéj szukać należy. Walczy ono pod wodzą Gambetty i nosi znaczące miano lewicy i unii republikańskiéj. Jestto istotnie zjednoczenie wszystkich męzkich sił narodu. Program i dążenia tego stronnictwa, to program i dążenia Francyi. Szerokie wywody byłyby tu zbyteczne. Postawiwszy zasadę powszechnego głosowania za podwalinę prawa publicznego, stronnictwo republikańskie pragnie ją otoczyć wszystkiemi instytucyami, które jéj skuteczność w zastosowaniu zapewnią. Swoboda słowa, wolność prasy, wolność zgromadzeń jako środek zabezpieczenia ciągłego objawu woli narodowéj; wybory jako podstawa wszelkich zgromadzeń reprezentacyjnych, począwszy od gminy aż do naczelnika władzy wykonawczéj; swoboda wszelkich stowarzyszeń świeckich i religijnych, z usunięciem wszakże interwencyi duchowień-

stwa w sprawy świeckie; przekształcenie systematu podatkowego na słuszniejszych zasadach: oto w streszczeniu program stronnictwa republikańskiego we Francyi. Rozwijając się na drogach legalnych i środkami prawnemi i w ściśle określonych granicach form i zwyczajów parlamentarnych, program republikański może Francyi zapewnić prawidłowy i organiczny postęp, pod jednym warunkiem: że mniejszość podda się woli większości, i że tak jedna jak druga schylą czoło przed majestatem prawa. Wszystkie klęski, jakie obecnie cierpi Francya, pochodzą ze złéj woli mniejszości, która ani chce przyznać że jest mniejszością, ani téż działać odpowiednio. Każde ze stronnictw mieniących się zachowawczemi nie zdolne do zbudowania czegokolwiek na własną rękę, nie znajdując ani w wyznawanéj zasadzie dostatecznéj siły poruszającéj, ani w łonie kraju odpowiedniéj siły materyalnéj, sprzymierza się z innemi stronnictwami nieprzyjaznemi rzeczypospolitéj, mając za jedyny cel przeszkodzenie jéj w spokojném organizowaniu się. Taki, czysto negacyjny tryb postępowania może oczywiście chwilowo nagromadzić trudności stronnictwu republikańskiemu i postawić je w kłopocie, ale nie odniesie zwycięstwa nad jego pozytywnym programatem. Gdyby republikanie popełnili błąd nie do darowania i zeszli z drogi legalności, buntując się przeciw swym sprzymierzonym ciemiężcom, przeciw téj zuchwałéj i zawistnéj mniejszości, która tamuje prawidłową działalność większości, w takim razie widoki powodzenia stronnictwa republikańskiego zmniejszyłyby się widocznie. Ale błędu tego obawiać się nie trzeba. Stojąc na silnym gruncie obecnéj konstytucyi i prawa, stronnictwo republikańskie może czekać na przyjazną dla siebie chwilę—i sądzimy że długo czekać nie będzie.

Kilka jest powodów zapewniających stronnictwu republikańskiemu niechybne zwycięstwo.

Najprzód republikanie stanowią stronnictwo otwarte z góry i z dołu. Nie traci ono nigdy z uwagi interesów mas i zostaje z niemi w ciągłéj łączności myśli. Ileż razy żądano naprzykład od Gambetty, ażeby odłączył się od klas ludowych, które go pierwsze powołały do życia politycznego. Nie przystawał na to nigdy, tak jak nie przystanie żaden republikanin. Stać silnie pośród napływających fal demokratycznych, przyłożyć ucho do pulsu narodowego, ażeby liczyć jego uderzenia, jest najpierwszym obowiązkiem nietylko każdego przywódcy stronnictwa, ale każdego oświeconego człowieka. Łatwo pojąć, że ani legitymiści nieuznający praw narodu, ani bonapartyści, którzy uznając je w teoryi pomijają w praktyce, nie tworzą stronnictw otwartych z dołu. Między niemi a masą narodu znajduje się przepaść niemożliwa do zapełnienia.

Republikanizm jest stronnictwem otwartém także z góry. Osobistości z wyżyn społecznych, przedstawiciele klas kierujących, którzy ze względu na swoję pozycyą, na tradycyą historyczną i na swoje przekonania trzymali się dotąd, zdala od stronnictwa republikańskiego, a nawet występowali przeciw niemu, przyjmowani są z otwartemi rękami, od chwili, gdy schyliwszy czoło przed wszechwładztwem narodowém, uznali rzeczpospolitą. Ci republikanie z rozsądku pokrzepili stronnictwo znacznemi siłami. Jedne podobne nawrócenie pociąga za sobą tysiące innych, i nikt już nie lęka się „s'encanailler“ między republikanami, kiedy ludzie z autentycznemi tytułami szlachectwa, statyści i finansiści dobrowolnie do nich przechodzą. I tak cały lewy środek utworzył się z dawnych monarchistów, którzy są najgorliwszymi agentami rzeczpospolitéj. Wspólne prześladowanie, które dosięgło tę grupę równie jak inne bardziéj naprzód wysunięte, po awanturze 16-go Maja, wzmocniło tylko węzły łączące neofitów z głównym obozem republikańskim.

Drugą przyczyną powodzenia stronnictwa republikańskiego jest jego zmysł polityczny, który go nie opuszczał przez cały czas przesilenia i który stał się nieodmienną zasadą jego postępowania. Zmysłu tego dowiedli republikanie, przyjąwszy program *opportunistów*. Wyraz jest barbarzyński, nie jest barbarzyńską rzecz sama. Oportunizm polega na zasadzie, ażeby nie występować ze wszystkiemi reformami odrazu, ale projektować po jednéj; ażeby posuwać się nie wstrząśnieniami, lecz reformami stopniowemi; ażeby zadawalniać się połowiczném powodzeniem, kiedy nie można mieć całkowitego i ażeby posługiwać się tą bronią jaką się posiada, choćby była niedoskonałą, byle tylko polepszyć o ile możności to co istnieje. Ta właśnie powolność, ten ciągły pochód ku postępowi, zjednał stronnictwu poparcie całéj bezwładnéj i biernéj masy ludowéj, która zdaje się na los, byle ją tylko ze zwykłéj nie wytrącano kolei. Nie należy tu pominąć ciekawego faktu: nawet robotnicy po miastach, najburzliwsza warstwa społeczna, przystają zwolna do tego programatu, mimo że on nie uwzględnia ani ich bezpośredniéj pozycyi, ani całéj sfery idei oderwanych wśród których żyć przywykli. Trudno oczywiście o bardziéj rażącą sprzeczność jak ten program oportunistów, skromny i dyskretny w zestawieniu z patosem rewolucyjnym demagogii. Francya świadczy o swéj dojrzałości wyborem dokonanym między starym a nowym programatem.

Trzecią wreszcie przyczyną spodziéwanego powodzenia stronnictwa republikańskiego jest wyższość jego przywódców i statystów nad kierownikami innych stronnictw—korzyść zaiste niepospolita, bo na co się przyda najpiękniejszy program, najświetniejszy sztandar,

na co się nawet przydadzą liczne falangi najlepszym ożywione duchem, jeżeli im brakuje wodza, któryby je do walki poprowadził, lub jeżeli kierownik stojący na czele nie jest na wysokości swego posłannictwa? Widzieliśmy już niższość stronnictwa monarchicznego pod tym względem. Legitymiści nie mają ani jednego przywódcy, ani jednego męża stanu *di primo cartello*. Bonapartyści różnią się między sobą: jedni schylają czoło przed napuszoną gadatliwością i przed próżnością p. Rouhera; drudzy pragnęliby mieć innego przywódcę, ale go znaleść nie mogą. Wszystkie stronnictwa nieprzyjazne rzeczypospolitéj, jednego tylko mają człowieka: księcia Broglie. Widzieliśmy czego dokazał. Mimo inteligencyą i akademicką wymowę, mimo niezaprzeczoną zręczność i znakomity talent do intryg, czekają go zawsze porażki podobne tym, jakie już poniósł dwukrotnie, dzięki niemoralności swoich środków, dzięki przymierzom potwornym, które usiłował zawierać z wszystkiemi zachowawcami bez względu na ich różnorodne dążenia. Książę straszy kraj widmem czerwoném i niebezpieczeństwem radykalizmu, a kraj śmieje się z tych urojonych niebezpieczeństw.

Kraj potępia tego księcia wyniosłego i zarozumiałego o swéj wyższości, równie jak jego politykę krętą i gwałtowną zarazem. Kraj woli zwrócić się ku przywódcom stronnictwa republikańskiego z ufnością i ze słuszną dumą. Między nimi znajduje ludzi prawdziwych: Juljusza Grevy, człowieka prawego, zawsze jednakiego jakby Plutarchowego męża, Juljusza Favre'a, Juljusza Simona i sędziwego Arago, weteranów stronnictwa liberalnego; Waddingtona i Leona Rénault'a, przyszłych ministrów szerokie obejmujących widnokręgi: Brissona, Bethmont'a, Duclerc'a—cały wstęp specyalistów i osobistości wybitnych. Wszystko, cokolwiek błyszczy na firmamencie literatury, nauki i sztuki, cięży ku stronnictwu republikańskiemu. Doszedłszy do władzy republikanie znajdą statystów równie łatwo, jak znaleźli prawdziwych przywódców, prawdziwych leaderów w ciągu okresu pełnego prób i przygód, który dotychczas przetrwali.

Jeżeli stronnictwo republikańskie reprezentuje Francyą człowiekiem uosobiającym to stronnictwo to nim jest niewątpliwie Gambetta. Dziwne są zaiste losy tego człowieka, który wyszedłszy z za kantoru korzennego sklepu z Cahors, z chlubą zdąża ku najwyższemu szczeblowi społecznemu i politycznemu wielkiego narodu. Jako ognisty patryota potrafił w ostatniéj wojnie ustrzedz honor narodowy od szwanku; jako mówca niedoścignionéj siły pociąga za sobą umysły najoporniejsze, jako polityk zręczny i przezorny umié rozplątać nić najzawikłańszéj sytuacyi. Niegdyś demagog i absolutysta umiał się przekształcić, pomiarkować i wytworzyć *oportunizm*, dzieło, któ-

re uwieńczy obywatelską działalność Gambetty. Energia, któréj ciągłe dowody dzielny republikanin składa w walce politycznéj, na trybunie i w radach niszczy i wyczerpuje jego siły, ale zarazem dodaje coraz większego blasku jego sytuacyi w państwie. Stanowisko Gambetty nie ma w téj chwili równego sobie. Jeżeli przeżyje tę walkę zaciętą, jeżeli ostrze nie zużyje pochwy, Gambetta będzie kiedyś rozjemcą losów swego kraju. Jestto prawdziwy spadkobierca Thiersa, twórca rzeczpospolitéj, francuski Waszyngton.

VI.

Dobiegliśmy do końca naszego rozbioru i niewiele już mamy do powiedzenia. Streścimy się w kilku słowach.

Całą przeszłość, całą dawną Francyą charakteryzują słowa Ludwika XIV. Państwo—to ja.

Całą teraźniejszość, datującą, mimo epizody monarchiczne, od 1789 r., określają słowa, które wymawia Francya: Państwo—to my.

Z jednéj strony władza osobista, z drugiéj wszechwładztwo narodowe.

Walka jest nierówna, rezultat łatwy do przewidzenia.

Jak byłoby niepodobieństwem obdarzyć Francyą feodalną, Francyą Ludwika XIV-go, rzecząpospolitą demokratyczną, tak też niepodobna narzucić Francyi 1880 r., Francyi wyswobodzonéj, jakąkolwiek monarchią. Byłby to anachronizm, a anachronizmy są niepłodne.

Wszechwładztwo narodowe, otrząsnąwszy się z ucisku, nie ma zamiaru abdykować na rzecz monarchy, cezara, wybawiciela. Głosowanie powszechne pociąga za sobą niechybnie rzeczpospolitą, jak znowu tylko rzeczpospolita jest zdolną zabezpieczyć powszechne prawo głosowania.

Wynika stąd, że rzeczpospolita jest we Francyi nieuniknioną formą rządu. Stronnictwa nieprzyjazne mogą jéj stawiać przeszkody, nie zdołają na długo opóźnić jéj ustalenia.

Rzeczpospolita nie będzie krańcową absolutną, jakobińską, lecz stanie się umiarkowaną i postępową,

Minął czas dogmatów i absolutu, w polityce zarówno jak w filozofii i w nauce. Nastała natomiast dola zasad względnych, pora rozpraw, swobodnego badania,—epoka krytyki i rozbioru.

Rzeczpospolita we Francyi nie będzie postrachem dla Europy. Posłannictwo jej jest wyłącznie pokojowém. Ma ona do spełnienia wewnątrz kraju olbrzymie zadanie, oświecić masy szerząc wykształcenie publiczne. Kto głosuje nad losami swego kraju, kto spełnia tak

wielki akt obywatelski, powinien przedewszystkiém wiedzieć co robi i uwolnić swój rozum z dziecięcych powijaków. Litera prawa wyprzedziła chwilę dojrzałości i uzdolnienia, obowiązkiem więc naglącym każdego francuskiego republikanina jest przyśpieszyć tę chwilę równowagi między uzdolnieniem a prawem. W przeciwnym razie przyszłość może zboczyć na starą kolej demagogiczną.

Wiadomo do jakiego stopnia ten program leży na sercu stronnictwu republikańskiemu. Miliony rzucone dotychczas w bezdenną otchłań organizacyi wojskowéj zwrócą się kiedyś na drogę organizacyi intellektualnéj. Wtedy kwestye wstrząsające ludzkość bardzo będą uproszczone.

Montesquieu postawił niegdyś za zasadę rzeczypospolitéj cnotę.

Jako mniéj wymagający a pozytywniejsi, tyle dziś nie żądamy. Dopominamy się tylko o światło, o wiele światła. Kto wié czy nie jestto najpewniejszy sposób dojścia jeżeli już nie do starożytnéj cnoty, to przynajmniéj do tych cnót skromniejszych, które się na nią składają?

M. E. Trepka.

KRYTYKA.

Kleinere Geschichtsquellen Polens im Mittelalter. Eine Nachlese von Dr. H. R. von Zeissberg. Wien 1877. 8-vo, str. 167.

Pracującym nad dziejami polskiemi nie obcą była od niejakiego czasu wiadomość, że p. Zeissberg przygotowuje do druku zbiór materyałów, odnoszących się do średniowiecznéj historyi polskiéj; znalazła ona nawet odgłos i w literaturze: p. Szujski bowiem wspomniał o niéj w przedmowie do Kodeksu listów z XV stulecia, wyrażając jednocześnie obawę, że wiele dokumentów, znajdujących się w kodeksie, wejdzie także pewno w skład zbioru p. Z. Nadzieje co do objętości i ważności tego zbioru niebardzo się ziściły, lecz i obawa także p. S., jak to zaraz zobaczymy, w małéj tylko części się sprawdziła. Tytuł pokazuje, że wydawca zebranych przez się materyałów nie przeceniał, nazwawszy je odpowiednio *kleinere Geschichtsquellen, eine Nachlese*; pomniejsze one mają znaczenie dla naszéj historyi, cała zaś książka podobna jest do snopka pokłosia, w którém każdy kłos innego gatunku i z innego pochodzi pola. Przyjrzyjmy się im bliżéj.

Nr. I jest opisem pierwszych dobroczyńców benedyktyńskiego klasztoru w Lubiniu, w Poznańskiém; składa się z samych imion i dla lingwisty także nie jest bez interesu. Za pomocą kombinacyi przychodzi wydawca do wniosku, że zabytek ten powstać mógł między 1118 a 1138 rokiem; zgadzając się na nią, zauważę tylko, że Bolesława Śmiałego nazywamy, tak jak nim jest w szeregu swoich imienników, II-gim—Bolesława Krzywoustego, III-cim—Bolesława Kędzierzawego—IV-tym, nie zaś III-cim, IV-tym, V-tym, jak to czyni p. Z. Między dobroczyńcami figuruje także „Bolezlauus filius Wladizlay“—Bolesław książę szląski przez p. Z. nazwany długim

(der Lange), którego p. Caro (w Jenaer Literaturzeitung № 32 z r. b.) nie uważa za jednoznacznego z Bolesławem Wysokim. Że to jest Piastowicz, a nie żaden inny książe wogóle, lub inna znakomita osoba, jak przypuszcza p. C., zdaje mi się być niewątpliwém; nie miał téj wątpliwości i p. Z., skoro na nią nie zwrócił uwagi. Brak przed jego imieniem wyrazu *dux* niczego nie dowodzi, bo wtedy kiedy zapiska powstała nie był on jeszcze udzielnym księciem, i wyraz ten zastąpiony jest niejako wyrażeniem *filius Wladizlay*; imiona przytém *Miseco*, *Boleslaus*, *Vladislaus* były w owym czasie (zdaje mi się, że na to nie zwrócono u nas uwagi) specyalnie przez książąt z domu Piasta używane: i w danym razie pomiędzy pospolitymi dobroczyńcami, spis których sześć stronic zajmuje, nie znajdujemy żadnego, któryby nosił jedno z tych imion; okoliczność zaś, że nie jest wspomniany naczele, obok swojego ojca i dziada, dowodzi tylko, że zapiska podaje spis dobroczyńców w takim chronologicznym porządku, w jakim się nimi stawali; stosownie do tego i Elżbieta, chociaż o niéj wyraźnie powiedziano *ducissa uxor Mesiconis* stoi na końcu a nie na początku. Tyle co do uwag p. Caro. Oprócz książąt, spotykamy między dobroczyńcami zakonu, tak żyjącymi jak i zmarłymi, także i niektórych dygnitarzy kościelnych i świeckich; na téj podstawie możnaby czas powstania zabytku jeszcze bliżej oznaczyć, przed wyjściem jednak Kodeksu Wielkopolskiego zdaje mi się to niemożebném.

Pod N-em 2-im znajdują się dwa akty notaryalne z r. 1419, świadczące o cudach Królowéj Jadwigi, żony Władysława Jagiełły; spisane one były w zamiarze dostarczenia dowodów do jéj kanonizacyi, o którą się starano w pierwszéj połowie XV wieku. N-r 3 jest ułamkiem księgi rachunkowéj, wykazującéj rozchody sum wpływających z Bochni i Wieliczki; ułamek ten pochodzi z 1443 roku. Krótka zapiska pod N-em 4-tym podana, a do klasztoru Cystersów odnosząca się i tam powstała, podaje nam dni śmierci pierwszych opatów tego klasztoru. Pod N-em 5-tym znajdujemy list Zbigniewa Oleśnickiego do Marcina z Przemyśla z 1450 r. w daleko poprawniéjszym tekście niż u Wiszniewskiego.

Na N-r 6-ty składa się sześć listów Długosza, wydanych także prawie równocześnie przez p. Szujskiego w Kodeksie listów z XV stulecia (N-ra 87, 103, 228, 231, 236, 237 w części II). Dziwna rzecz jednak! Obaj wydawcy z jednych i tych samych rękopismów i autografów te listy podali, a mimo to nie zgadzają się zupełnie co do czytania tekstu. Czyj tekst jest lepszy, trudno rozstrzygnąć, albowiem porównywając oba, raz widzimy, że p. Z. dane miejsce lepiéj odczytał, drugi raz—że p. S.; lecz o takie różnice mniejsza; są inne ważniejsze: tylko oryginał mając przed oczami można rozstrzygnąć,

który z wydawców wierniéj go odczytał; zestawiam je obok siebie:

Nr. dok.	p. Zeissberg czyta:	p. Szujski zaś:	Nr. dok.
VI a	Giskra *illum* intelligit	Giskra *eum* intelligit	87
„	quid *deus* voluit	quid *demum* voluit	„
VI b	feria *secunda* proxima	feria *sexta* proxima	103
„	per partes *recipere* voluit	per partes *accipere* voluit	„
VI c	Ductura *Schuchy*	Ductura *Tchychii*	228
„	dominus *Broszman*	dominus *Broszvicz*	„
VI d	sexagenam *per me datam*	sexagenam *permediatam*	231
VI e	*Pawlik* non habet literam *regiam*	*Pacolik* non habet literam *legitimam*	236
VI f	vos *non* scribitis	vos *mihi* scribitis	237
„	illos *celerius* misissem	illos *actenus* misissem	„

Pod Nrem 7-mym podane są dwa listy: jeden z nich pisany do Zbigniewa Oleśnickiego w roku 1449, drugi zaś przez niejakiego P. do Marcina Gromadzkiego w r. 1478; kto jest autorem pierwszego, tego p. Z. nie wié, z kodeksu jednak, w którym ten list przez p. Szujskiego również przedrukowany został (część II Nr. 62), dowiadujemy się, że wyszedł on z pod pióra Jana Elgota. Na Nr. 8 składają się 22 listy Kallimacha, pisane do rozmaitych osób w ostatnich latach XV wieku; odnoszą się one do Kallimacha raczéj niż do historyi polskiéj; że jednak humanista ten ważną w niéj odgrywa rolę, słusznie bardzo włączył p. Z. pozostałe po nim listy do pomniejszych źródeł naszéj historyi. Toż samo powiedziéć można o Nrze 9, obejmującym małe pisma Kallimacha: *Praefatio in somniarium Leonis Tusci ad Laurentium de Medicis* i *ad Joannem Picum Mirandule quaestio de peccato*.

Nr. 10 jest ciekawym pedagogicznym zabytkiem literackim z epoki humanitaryzmu, zabytkiem, który czytelnikom Szkiców historycznych Szajnochy nie powinien być obcy; nazywa się on traktatem „o wychowaniu dziecka królewskiego"—jakiém to wychowanie być powinno—przesłanym zaś był przez królowę Elżbietę na początku pewnie 1503 roku synowi jéj Władysławowi Jagiellończykowi, królowi Węgierskiemu i Czeskiemu, spodziewającemu się w tym czasie potomka. Chociaż królowa matka wprost przemawia tu do syna, nie jestto jednakże jéj własny utwór: piękna łacina, widna w autorze znajomość klasycznéj literatury, częste przytaczania przykładów, z historyi Greków i Rzymian zaczerpniętych, aż nadto zdają się przekonywać czytelnika, że to nie może być utwór ówczesnéj kobiéty, choćby i królowéj polskiéj, lecz raczéj Erazma Ciołka, Andrzeja

Drzewickiego, lub też którego z uczonych włochów, przebywających podówczas na dworze królewskim w Polsce. Takie jest zdanie p. Z., niepoparte jednak przez niego dowodami z samego pisma czyli zabytku. P. Caro, w cytowanéj powyżéj gazecie, inaczéj o tém sądzi: na podstawie *historycznego kolorytu* przebijającego się w utworze, twierdzi, że powstał on nie w Polsce, lecz na królewskim dworze w Węgrzech. Historyczny koloryt to dowód bardzo słaby, słabszy w każdym razie od tych, które na poparcie przeciwnego p. C. zdania przytoczyć można. Gdyby autor traktatu żył zdala od Polski, gdyby nie był w otoczeniu Elżbiety, nie przejąłby się zapewne tak dobrze rolą przemawiania w jéj imieniu, nie wspominałby tak często, zawsze nawet ilekroć chodzi o poparcie twierdzenia przykładem z dziejów Jagiellonów, Kazimierza Jagiellończyka męża Elżbiety i więcéj w takim razie podawałby przykładów z dziejów węgierskich. Zauważyć przytém trzeba, że ilekroć razy wspomina jakiś współczesny sobie fakt lub wypadek, odbywający się na węgierskim dworze, używa wyrazów *ut audio* (por. str. oryg. 57, 58, 64, 87, 111 do 112, 115), dając do zrozumienia, że o danym wypadku wieści tylko do niego doszły; prócz tego wyrażenia takie, jak „Callimachus *noster*" (str. 43, 104, 111), „Georgius praesul Varadiensis secretarius *tuus* nuper *apud nos* singulari laude elatus est" (str. 113) a nadewszystko „Georgius praesul Varadiensis secretarius tuus, *quemadmodum quidam Pannonus narravit mihi* quam saepissime solet dictitare...." (str. 81—82, gdyby autor był na węgierskim dworze, toć przecie słyszałby sam, co zwykł mawiać sekretarz królewski, a nie potrzebowałby się dopiéro dowiadywać o tém od jakiegoś Węgra) dowodzą, że zdanie p. C. jest mylne i że zabytek ten napisany został w Polsce z polecenia nadto i za wskazówkami saméj Elżbiety. Na to ostatnie wskazuje sam początek traktatu: „Słyszę, kochany synu, że twoja małżonka Anna urodzi ci wkrótce syna Kazimierza..." i ponieważ to było napisane przed urodzeniem się Władysławowi syna, więc powyższe wyrażenie można pojmować jedynie jako życzenie Elżbiety, ażeby jéj przyszły wnuk nosił imię dziadka a jéj ukochanego męża. Że autor traktatu spodziéwał się za niego otrzymać od króla nagrodę, w tém się z p. C. zgadzam, bo niektóre wyrażenia i myśli na str. 109—111, 117 dostatecznie mogą ten wniosek motywować, lecz widzieć w tém poparcie twierdzenia, że traktat napisany w Węgrzech, może tylko chyba sam p. C., przeciwnie cudzoziemiec, z za gór przysyłający królowi swą pracę z imieniem jego matki, mógł prędzéj liczyć na jakąś nagrodę niż uczony, przebywający na jego własnym dworze.

Ostatnim wreszcie kłosem zebranego przez p. Z. pokłosia jest

spis zmarłych przełożonych, braciszków i dobroczyńców zakonu Św. Dominika w Polsce, ułożony przez Waleryana Lituanidesa, magistra konwentu krakowskiego, w r. 1615. Znaczenie tego zabytku jest nie wielkie, chyba tylko dla historyi Dominikanów w Polsce, témbardziéj, że autor jego niezbyt, zdaje się, krytycznie korzystał z dawnych źródeł, które, nie ulega kwestyi, miał pod ręką.

Tak się przedstawia niniejszy zbiorek pod względem treści; rozpatrzywszy się w niéj, pozostaje nam jeszcze powiedzieć słów kilka o metodzie wydawniczéj p. *Z.* Pomijając wniosek, któryby się mógł nasuwać wobec różnego czytania jednego i tego samego tekstu przez p. *Z.* i przez innych, który zresztą, wątpliwość jeszcze, czy na niekorzyść p. *Z.* wypaść może, widzimy, że wydawca starał się wiernie odwzorować w druku oryginały: zachował więc w tym celu ich pisownią, zaznaczył uszkodzone miejsca, uzupełniając je w przypiskach (chociaż niezawsze, np. III, VI b. d. e.), zanotował nie mniéj poprawki robione przez przepisywaczy, zmiany charakteru pisma, wyrazy pisane lub podkreślane czerwoną farbą, jako téż w większych zabytkach wskazał stronnice oryginalnego rękopismu; jedném słowem strona, tycząca się oddania tekstu wiernie, nawet pod względem zewnętrznym bardzo dobrze jest traktowana. Nie można za to pochwalić oszczędności wydawcy w udzielaniu objaśnień niezbędnych, do których należy zamienianie średniowiecznych dat na nowe (np. nie widzimy tego przy dokumentach VI c, d, e, f, VIII 11, 16, 17, 20, 21) i dodawanie topograficznych wyjaśnień, któreby się bardzo przydały przy dokumentach III, VI a, c, d, VII b i t. d.; brak następnie wyjaśnień i innego rodzaju: spotykani w N. III *marsalchus generalis*, *castellanus Becensis*, *castellanus Lublinensis* i t. p. powinni być w adnotacyach nazwani z imienia i nazwiska; tamże równie powinno być powiedziane jakim kasztelanem był *Jan* (str. 20 w. 4 od dołu), co to za książęta byli *Semovitus*, *Bolco* (str. 21 w. 7 od dołu), *Mythco* (str. 22 w. 4 od góry), co to jest *szuba de cowthir sabellis subducta* (str. 21 w. 5 od góry) i t. d.; przy dokumencie N. X wskazaćby można bliżéj znajdujące się w nim ustępy z autorów klasycznych i skąd wziął autor podane w zabytku fakty z dziejów starożytnych (to ostatnie spełnia p. Z. tylko w części); krótkie adnotacye dodane do N. XI lepiéjby było, jeżeliby się znajdowały u dołu na téj saméj stronicy, do któréj się odnoszą, a nie wszystkie razem na samym końcu, nie wygodnie jest w skutek tego korzystać z nich. Najważniejszym jednak jest brak regestru; przy zabytkach, w których tyle jest imion i nazwisk (np. N-ra I, III, XI prawie wyłącznie z nich się składają), regestr był rzeczą konieczną; dziwném rzeczywiście się wydaje, że p. Z. potrzeby jego nie uwzględnił — bez rege-

stru korzystanie z książki bardzo jest utrudnioném a w pewnych razach prawie niepodobném.

Taką jest praca p. Z. na polu historyi polskiéj już ostatnia, autor porzuca już to pole, które dla niego bynajmniéj niewdzięcznem się nie okazało, na którém wyrobił sobie poważne stanowisko i zasłużone imię; żegnając go, jako badacza naszych dziejów, życzymy mu szczerze, ażeby nowy okrés jego literacko-historycznéj działalności uwydatnił się również cennemi dziejami jak *Dziejopisarstwo polskie w wiekach średnich.*

Teodor Wierzbowski.

Kwestya domu Zarobkowego w Warszawie tudzież zaradzenia ubóstwu w kraju p. Justyna Wojewódzkiego. Warszawa r. 1877.

Od czasu kiedy w r. 1874 Rada Miejska Dobroczynności publicznéj m. Warszawy kwestyą zapisu Staszica na dom zarobkowy oddała pod dyskusyą opinii publicznéj, niemało w tym przedmiocie pisano, i każde z pism publicznych swoje w téj materyi podawało zdania i projekta, nie słychać aby tu trzechletnia dyskusya rzecz cokolwiek naprzód posunęła. P. Justyn Wojewódzki, niezmordowany na téj drodze pracownik, w ostatnich czasach nową w téj kwestyi opracował broszurę, w któréj z niezaprzeczoną słusznością broni swego zdania, że nie należy, i nikt nie ma prawa zmieniać celu zapisu i rozmijać się przez to z wolą ś. p. testatora w użyciu pieniędzy, które dziwnym zbiegiem okoliczności, pomimo szczegółowych przepisów testamentu, pomimo naznaczenia aż trzech egzekutorów i zatwierdzenia rządowego, dotąd nie są użyte. Mnożąc się zaś składanym procentem, urosły dzisiaj do poważnéj sumy, która kusi filantropów i publicystów, aby ją użyć na cele dobroczynne w sposób, mający dzisiaj więcéj powabu dla publiczności, aniżeli staroświeckie domy czy sale zarobkowe. Pan W., opiérając się na dosłownych tekstach przepisów i postanowień władz rozmaitych, twierdzi, że pieniądze te użyte być powinny na ten cel, na który je testator przeznaczył, t. j. na dostarczenie pracy ubogim ludziom, którzy jéj znaleźć nie mogą. Wątpimy, aby ktokolwiek opiérając się na argumentach prawnych, a nawet na dowodach ekonomicznych potrafił zbić to twierdzenie, kiedy władze administracyjne i prawodawcze, Rada Administracyjna, b. Namiestnicy Król. Pol. i Komitet Urządzający wszyscy zgadzali się na to, że testament powinien być spełnionym.

Na mocy dowodów czerpanych z nauki ekonomicznéj można twierdzić, że są inne instytucye, które więcéj pożytku przyniosłyby społeczeństwu, aniżeli dom zarobkowy, ale z tego nie wynika wcale żeby dostarczenie, a nawet usiłowanie dostarczyć pracy ludziom, którzy jéj nie znajdują sami, było nie korzystném; a chociażby ten wyższy stopień pożytku w argumentach najjaśniéj się przedstawiał, nie dawałoby to nikomu prawa rozporządzać pieniędzmi inaczéj aniżeli chciał właściciel. Szanowny autor, broniąc swéj opinii i polemizując z tymi, którzy inne wypowiedzieli zdania, mniéj potrzebnie, naszym zdaniem, roztacza niesłychany zbytek argumentów trochę starego autoramentu, bo opiéra się w tém na opiniach rozmaitych autorów, cytując ich liczbę niemałą od Frycza Modrzewskiego do Prof. Bilińskiego i P. Levasseur. Roztrząsając zaś potém projekt urządzenia domu zarobkowego ułożony przez b. Radę główną Op., wchodzi w rozmaite szczegóły samego wykonania rzeczy, które mogą chwalebnie świadczyć o tém, że Sz. autor zna mechanizm urządzenia podobnych zakładów, ale które to szczegóły zapewne w niczém ku rozwiązaniu kwestyi nie dopomogą; bo zapewne nie dlatego dotychczas domu zarobkowego nie założono, iż nie wiedziano czy tam lepiéj umieścić warsztat szewcki czy stolarski, kazać drzéć piérze lub robić szarpie. Argumentacye te i szczegóły rzecz samę więcéj wikłają niż rozjaśniają. Tymczasem z saméj treści pracy pana W. wynika, iż obecnie kwestya tak stoi. Z łaski ś. p. Staszica gmina miasta Warszawy posiada obecnie fundusz wynoszący Rs. 202.194 k. 37 i użyć go obowiązana na ulżenie losu biédnych swojéj gminy, szukających zarobku a nie mogących go znaléźć. Pierwsze więc rodzi się pytanie czy tacy biédni są i ilu ich jest? Pan W., opiérając się na dwóch cyfrach z lat 1824 i 1869 o liczbie ubogich utrzymujących się z jałmużny i dobroczynności publicznéj, oznacza liczbę ich na 20.000. Cyfra ta zdaje się nam być zupełnie dowolnie oznaczoną, nie twierdzimy, aby ona była zbyt małą lub zbyt wielką, ale tylko nie możemy do niéj żadnego przywiązywać znaczenia. Do wyjaśnienia kwestyi nie ma tu innego środka, jak zebranie dokładnéj wiadomości, nie o żebrakach i włóczęgach, ale o liczbie ludzi zdrowych i silnych, a nawet od pracy niestroniących, a którzy takowéj nie mają i dlatego wyżywić siebie nie są w stanie; takich to Staszic miał na myśli i o takich téż najpierwiéj myśléć należy. Środków zebrania takiéj wiadomości nie posiada żadna prywatna osoba, ani żadna redakcya; jedynie tém mógłby się zająć zarząd miasta, jako reprezentujący gminę najmocniéj w tém interesowaną. Skoro zaś wyjaśni się stopień potrzeby, samo przez się obudzi się żywszą chęć jéj zadośćuczynienia, a mając fundusz dość

znaczny do rozporządzenia, wątpić nie można, aby Pan Prezydent miasta i obywatele gminy nie wyszukali człowieka praktycznego, któryby sprawę tę całą wziął do serca i skutecznie zajął się ulżeniem cierpiącym i wykonaniem woli ś. p. Staszica. Czy zaś to nastąpi przez urządzenie kilku czy kilkunastu warsztatów, czy przez ustawienie machiny parowéj, którąby w ruch warsztaty wprowadzała, czy tam będzie więcéj machin do szycia czy do piłowania, to są rzeczy, o których dzisiaj mówić zdaje się nam zbytecznem.

Do pracy swojéj dodał Pan W. rozdział „W kwestyi zaradzenia żebractwu, próżniactwu i ubóstwu" w którym, trzymając się téj saméj metody, przytacza przepisy prawne i administracyjne, przywołuje na świadectwo nietylko Staszica ale Xenofonta i Homera, Szmolera i Libelta i wchodzi w szczegóły rozmaitych środków zapobiegania nędzy. Naturalnie ani szanowny autor, ani nikt z czytelników spodziéwać się nie może, aby kwestya trapiąca ludzkość od czasu Xenofonta do dni naszych mogła być nietylko rozwiązaną ale i dodokładnie wyjaśnioną w krótkim rozdziale, z którego tylko ten wniosek zrobić można: że nie braknie u nas przepisów o tém co mają władze robić z żebrakami, ale pomimo to widać, iż nie wiele robią, bo liczba żebraków się nie zmniejsza, że przepisy są zbyt ogólnikowo redagowane i dlatego do spełnienia trudne, że ostatecznie przepisy na to nie są skutecznym lekarstwem. Jedynym może na téj drodze środkiem, nie zapobieżenia nędzy, ale zaradzenia przeciw zbytniemu mnożeniu się żebractwa, byłyby ścisłe określenia prawne na kim ma leżeć obowiązek opatrzenia biédnych, bo dzisiaj gmina obowiązana zapobiegać żebractwu, ubodzy niemogący pracować mają być opatrywani w gminie i parafii: otóż z tego wynika zapewne, że ani parafia, ani gmina do tego obowiązku nie poczuwa się wyłącznie i jedna na drugą go składa; zapobieganie zaś żebractwu musi się spełniać nie opatrywaniem nędzarzy, a wyprawianiem ich z gminy. Jeżeliby zaś np. gmina była obowiązana opatrywać swoich biédnych, toby znalazła praktyczny sposób zaradzenia nadmiernemu szerzeniu się żebractwa, chociaż zapewne nie potrafiłaby tego dokazać, aby ubogich żebraków zupełnie nie było.

A. O.

KRONIKA NAUKOWA.

O Telefonie Grahama Bell'a.

W czerwcowym zeszycie Ateneum z r. z. podaliśmy wiadomość o telefonie Bella, obiecując pomieścić o nim bliższe wiadomości, gdy sami je otrzymamy. Otóż pora na to nadeszła. Nietylko, że czytaliśmy szczegółowe jego opisy, ale nadto widzieliśmy przyrząd własnemi oczyma, oglądaliśmy szczegóły jego budowy i robiliśmy z nim doświadczenia, które dowiodły, że jeden z naszych domysłów, w czerwcowém sprawozdaniu wyrażonych, był uzasadniony, t. j. że Bell jednocześnie z wynalazkiem odkrył nowe fakta, których nieznajomość była przyczyną niewiary w autentyczność wynalazku telefonu. Faktem tym jest ta dziwna na pozór okoliczność, że prosta blaszka żelazna drganiem swojém może oddawać nietylko wszystkie tony instrumentów muzycznych, ale i skomplikowane dźwięki ludzkiéj mowy.

Od owego czasu pojawiły się liczne modyfikacye telefonu i ostatecznie został rozpowszechniony aparat następujący. Na magnesie stałym znajduje się rolka drutu izolowanego, która się łączy z przewodnikami (np. drutami telegraficznemi). Obok jednego końca tego magnesu znajduje się cieniutka jak papiér blaszka żelazna, oddalona od magnesu o niecały milimetr, oparta brzegami na rurze drewnianéj, służącéj za pokrywę magnesowi, i przymocowana do niéj miseczkowatą częścią, opatrzoną okrągłym otworem, przez który widać blaszkę. Gdy mówimy przed tym otworem, trzymając aparat w odległości kilku centymetrów od ust, blaszka drga, a zbliżając się lub oddalając od magnesu wzmacnia lub osłabia jego magnetyzm

i tym sposobem wpływa na powstanie prądów elektrycznych w drucie rolki, znajdującéj się na magnesie.

Prądy te przepływają po drucie do drugiego zupełnie podobnego aparatu, sprawiają wzmocnienie lub osłabienie siły magnetycznéj jego magnesu, a z tego powodu wywołują drganie blaszki zupełnie odpowiednie temu, jakie na stacyi przesyłającéj wpływa na wywołanie prądów elektrycznych. Drganie blaszki rodzi dźwięk, który słyszéć możemy, przytknąwszy ucho do otworu znajdującego się przed blaszką.

W téj więc postaci, telefon Bella różni się od pierwotnie zbudowanego aparatu tém, że przesyłacz i odbieracz są identyczne. W pierwotnym telefonie odbieracz składał się nie z magnesu stałego, lecz z elektromagnesu rurowego Nickles'a, do którego brzegu była w jednym punkcie przymocowana blaszka. Lecz w ciągu doświadczeń przekonano się, że specyalny odbieracz jest zbytecznym, i że może być identycznym z przesyłaczem.

Widzieliśmy tylko telefony berlińskie oraz wykonane w Warszawie przez fabrykę przyrządów telegraficznych pana Petsch'a oraz w zakładzie optyczno-mechanicznym p. Jakóba Pika. To więc, co możemy powiedzićć o głosie telefonów, tylko do niemieckich i polskich przyrządów może się odnosić; amerykańskie bowiem znamy tylko z rysunków.

Słuchaliśmy przez telefon mowy z odległości kilkunastometrowéj oraz dziesięciomilowéj. W pierwszym razie można się porozumiéwać bez żadnego wytężenia organów mowy i słuchu, w drugim zaś „telefonowanie“ było już utrudzającém. W małéj odległości słyszeliśmy całe ustępy gazet bez stracenia jednego słowa oraz gwizdanie, śpiew (które z daleko większą łatwością przenosi telefon niż słowa, dlatego, że to są dźwięki mniéj skomplikowane). Podczas próby zaś pomiędzy Skierniewicami a Warszawą, urządzonéj przez pana Petsch'a, nie mogliśmy dosłyszéć niektórych wyrazów, lub ich zakończeń i wogóle głos przychodzący był bardzo słaby. Jednakże, bądź co bądź, porozumienie się było możliwém i niewątpliwém.

Słabnięcie głosu odpowiednio do odległości jest skutkiem oporu stawianego przez przewodnik prądowi elektrycznemu, wzbudzanemu za pomocą drgania blaszki. Prąd ten jest nadzwyczaj słaby, tak, że nawet w niewielkiéj odległości od przyrządu wysyłającego, nie można go odkryć za pomocą bardzo czułych galwanometrów. Cóż więc dziwnego, że silnie go osłabia opór druta mającego kilkadziesiąt kilometrów długości!

Z powodu téj słabości prądu, zdaje się, że telefony będą miały ograniczony zakrés działania; chyba że wynalezione zostaną sposoby

wzmacniania prądu. Z tego też powodu telefonowanie po drucie telegraficznym, biegnącym obok innych drutów, po których przechodzą depesze, jest niemożliwém, gdyż w przewodniku telefonowym tworzą się, silniejsze od jego własnych, prądy indukowane, które przynoszą do ucha, zagłuszające wszystko, pukanie telegrafów Morse'a. Doświadczyliśmy tego podczas próby pomiędzy Warszawą a Skierniewicami. W skutek tego telefon najlepiéj funkcyonuje przy użyciu podziemnéj liny telegraficznéj, która jest doskonale izolowaną; przekonano się o tém doświadczeniami dokonanémi na linie pomiędzy Berlinem a Magdeburgiem, oraz pomiędzy Dover i Calais.

W obecnym więc stanie rzeczy telefon może mieć zastosowanie tylko w małych odległościach; może służyć np. do połączenia rozmaitych korytarzy kopalń z powierzchnią ziemi, budynków fabrycznych z biórem, folwarków z mieszkaniem właściciela dóbr, rozmaitych biór rządowych miejskich z sobą, urzędów wójtowskich z biórem naczelnika powiatu i w tym podobnych przypadkach, kiedy zachodzi potrzeba dawania częstych poleceń i otrzymywania na nie odpowiedzi w jak najkrótszym czasie.

Największe zaś, jak się zdaje zastosowanie, będzie miał telefon do przejmowania cudzych depesz. Powiedzieliśmy wyżéj jak łatwo przechodzą prądy z przewodników telegraficznych na telefonowe, odtwarzając pukanie przyrządów telegraficznych. Wprawny więc telegrafista, umiejący uchem czytać alfabet Morse'a, będzie mógł w każdém miejscu linii telegraficznéj odczytywać cudze depesze, umieściwszy tylko drut od telefonu w blizkości drutu telegraficznego; osoby interesowane wcale o tém nie będą mogły wiedzieć, gdyż swoją drogą depeszę otrzymają. Być więc może, iż wynalazek telefonu wpłynie przedewszystkiém na zmianę aparatów telegraficznych niektórych systemów.

Pisma codzienne zagraniczne donoszą także o innym telefonie, wynalezionym przez Gray'a, niezależnie od Bella. Telefon ten ma służyć do przesyłania tylko tonów muzyki, w ten sposób, że może je słyszeć jednocześnie znaczna liczba słuchaczy. Dotychczas otrzymaliśmy opisy bardzo ogólnikowe bez rysunków. Gdy bardziéj szczegółowe nadejdą, nie omieszkamy podać o nich wiadomość naszym czytelnikom.

W pierwszém naszém sprawozdaniu powiedzieliśmy już, że telefon nie jest zupełnie nowym wynalazkiem i tak, jak wszystkie prawie wogóle wynalazki, nie pojawił się nagle lecz miał sui generis poprzedników.

Takim poprzednikiem dla telefonu Grahama Bella był telefon Filipa Reiss'a, nauczyciela w Friedrichsdorfie. Zasada jego budowy

była następująca: Przesyłacz składał się z błony napiętéj na otwór drewnianego pudełka; w bocznéj jego ścianie znajdował się drugi otwór, który należało zbliżyć do źródła głosu. Na błonie znajdowała się blaszka platynowa, połączona ze stosem elektrycznym, a na przeciwko niéj, w małéj od błony odległości, drut, idący na drugą stacyą do odbiéracza. Gdy błona była w spokoju, prąd elektryczny nie przechodził na drugą stacyą, gdyż nad błoną była przerwa w przewodniku; przeciwnie zaś, gdy błona drgała w skutek fal głosowych, t. j. gdy blaszka platynowa naprzemian to dotykała, to odskakiwała od drutu, prąd przechodził lub téż przerywał się. Ile więc było zetknięć blaszki, tyle powstało prądów chwilowych, ile odskoków—tyle przerw. Przechodziło to w niezmienionéj postaci na drugą stacyą do odbiéracza, który się składał z wałka miękkiego żelaza, otoczonego drutem, po którym płynęły prądy z stacyi wysyłającéj. Żelazo to, stosownie do przepływu lub przerwania prądu elektrycznego, namagnesowywało się lub téż traciło magnetyzm, a w skutek tego zostawało wprawiane w drgania, odkryte jeszcze w roku 1837 przez Page, fizyka amerykańskiego. Drgania te rodzą w powietrzu dźwięki, którym Page nadał nazwę muzyki galwanicznéj.

Tony muzyczne różnią się pomiędzy sobą wysokością, natężeniem i jakością czyli barwą. Wysokość tonu zależy wyłącznie tylko od ilości drgań odbytych przez ciało dźwięczące przez sekundę; natężenie od obszerności (amplitudy) drgań, a wreszcie barwa od formy fal cząstek powietrza wprawionych w drganie.

Ponieważ w telefonie Reissa, zawsze tylko jedne i te same drgania mogły być wzbudzone w przesyłaczu i odbiéraczu, i tylko ilość drgań mogła być różną, więc widoczną jest rzeczą, że tony przesyłane przez ten aparat mogły się różnić tylko co do wysokości. Można więc było przesyłać co najwyżéj nuty muzyczne i nic więcéj. Dlatego też telefon Reissa był tylko ciekawą zabawką naukową, ale nie miał żadnego znaczenia praktycznego.

Niemcy pysznią się tym wynalazkiem i z tego powodu utrzymują że choć Bell, anglik zamerykanizowany, „udoskonalił“ telefon, to jednak przyrząd ten jest „*eine ursprunglich deutsche Erfindung.*“

Jestto błąd, który może powstać tylko w skutek wielkiego zaślepienia. Nie mówiąc już bowiem o tém, że telefon Bella wcale nie jest udoskonalonym telefonem Reissa i że polega na zupełnie innéj, nowo odkrytéj przez Bella, zasadzie, przyznaćby należało pierwszeństwo wyż wspomnianemu Page'mu, który pierwszy mówił o „muzyce galwanicznéj.“

Daléj, są jeszcze inni wynalazcy, którzy mogą rywalizować o prawo pierwszeństwa. Do takich przedewszystkiém należy *Sudre.*

P. Rouis bowiem, sekretarz Akademii Nauk w Bruksełli, donosi, że w Pamiętnikach Akademii Królewskiéj w Metz, w roczniku dwudziestym szóstym z r. 1844—1845, znajduje się na stronicy 401 praca p. t. Rapport de Mr. Lucy sur la téléphonie de Mr. Sudre. Co to za telefonia była, tego p. Rouis nie podaje.

Dokładniejszy a ciekawszy jest dokument przedstawiony przez p. du Moncel, który napisał do redakcyi Les Mondes, list następującéj treści.

„Pomysł telefonu elektrycznego wcale nie jest nowym. Już w roku 1854 podałem sprawozdanie z opisu telefonu, ogłoszonego w jednéra z czasopism technicznych owego czasu przez niejakiego p. B... Muszę wyznać ze wstydem, żem żartował nieco z niego, tak mi się ten pomysł wydawał wtedy fantastycznym. Popełniłem jednak błąd, gdyż pomysł ten nietylko się teraz urzeczywistnił, ale nawet znalazł zastosowanie w praktyce. Bądź co bądź, ciekawym będzie dla pańskich czytelników ze stanowiska historyi nauki, opis tego wynalazku, podany przezemnie w pierwszém wydaniu mojego „Exposé des applications de l'électricité," tom II. str. 225, z r. 1854.

„Po zdumiewających telegrafach, mogących przez wielkie odległości odtwarzać pismo téj lub owéj osoby, a nawet więcéj lub mniéj skomplikowane rysunki, zdawałoby się niemożliwém postąpienie naprzód w dziedzinie rzeczy cudownych. Sprobujmy jednak postawić jeszcze kilka kroków naprzód. Pytam się naprzykład: czy nie możnaby wyrazów przesyłać za pomocą elektryczności, jednem słowem, czy nie możnaby mówić w Wiedniu a być słyszanym w Paryżu. Jestto rzecz wykonalna. Oto w jaki sposób.

„Wiadomo, że dźwięki powstają z drgań i są przenoszone do uszu przez takie same drganie, wzbudzane w środku pośredniczącym.

„Lecz natężenie tych drgań zmniejsza się bardzo szybko z wzrostem odległości, do tego stopnia aż nawet przy użyciu tub i trąbek akustycznych, okazuje się dość ciasna granica, któréj niepodobna przekroczyć. „Wyobraźcie sobie, iż ktoś mówi przed blaszką ruchomą, dość giętką, aby nie straciła żadnego z drgań wzbudzonych przez głos; że ta blaszka naprzemian to zestawia, to przerywa komunikacyą ze stosem; w oddaleniu może być umieszczona druga podobna blaszka, która będzie wykonywała jednocześnie podobne drgania."

„Prawda, że natężenie dźwięków będzie zmienne w miejscu przesyłania, gdzie blaszka drga pod wpływem głosu, a stale na stacyi odbierającéj, gdzie ją wprawia w drganie elektryczność; lecz wykazano, że to nie zepsuje dźwięków.

„Rzecz widoczna, że dźwięki będą się odtwarzały przedewszystkiém z tą samą wysokością w gamie.

„Stan obecny nauki akustyki nie pozwala powiedzieć apriori, czy tak samo stanie się z głoskami artykułowanemi, składającemi głos ludzki. Nie zajmowano się dotychczas dostatecznie sposobem powstawania tych sylab. Wprawdzie zauważono, że jedne są wymawiane przy pomocy zębów, drugie są wargowe i t. d., ale na tém koniec.

„Bądź co bądź, należy być przekonanym, „że zgłoski niczém inném nie wpływają na słuch, tylko drganiem środka pośredniczącego; odtwórzcie dokładnie te drgania, a odtworzycie także dokładnie zgłoski.“

„W każdym razie, niepodobna dowieść, przy obecnym stanie nauki, że transmisya dźwięków za pomocą elektryczności jest niemożliwą; przeciwnie, wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za możliwością.

„Kiedy mówiono po raz pierwszy o zastosowaniu elektromagnetyzmu do przesyłania depesz, pewien mąż, stojący na wysokiém stanowisku naukowém, traktował ten pomysł jako mrzonkę, a tymczasem dzisiaj porozumiewa się Wiedeń bezpośrednio z Londynem za pośrednictwem drutu metalowego. To nie jest możliwe, mówiono, a jednak.... to istnieje.

„Nie trzeba mówić, że z transmisyi słowa wynikłyby bezpośrednio niezliczone i wielce ważne zastosowania.

„Z wyjątkiem tylko głuchoniemych, każdy mógłby posługiwać się tym sposobem transmisyi, niewymagającym żadnego specyalnego aparatu: *stos elektryczny, dwie blaszki drgające i drut metalowy wystarczyłyby zupełnie.*

„W bardzo wielu razach, naprzykład w obszernych zakładach, możnaby za pomocą tego środka przesyłać takie a takie zawiadomienie na pewną odległość, chociaż odrzucono usługi elektryczności, gdyż dotychczas trzeba przesyłać literę po literze, za pomocą aparatu wymagającego nauki i wprawy.

„Cokolwiek się stanie, pewną jest rzeczą, iż w bliższéj czy dalszéj przyszłości, wyrazy będą przesyłane daleko za pomocą elektryczności. Zacząłem robić doświadczenia w tym kierunku; są one subtelne i wymagają dużo czasu i cierpliwości; lecz to, co już zostało osiągniętém, każe się spodziewać pomyślnego rezultatu.“

Jednakże od chwili ogłoszenia powyższego artykułu, aż do dziś dnia, pan B... nie dał żadnego śladu życia i nie zawiadomił, czy jego doświadczenia doprowadziły do szczęśliwego rezultatu.

Być może, iż uczeni wydobędą na jaw i inne pomysły i próby dotyczące telefonii, które jednak, bądź co bądź, nie odbiorą wynalazkowi Bella cechy zupełnéj oryginalności. Gr. Bell wcale nie myślał o ulepszeniu telefonu Reisa, ani o wykonaniu żadnego innego z ogłoszonych pomysłów; nie miał nawet na celu wynalazku telefonu i owszem chodziło mu o coś innego, o aparat mający służyć w innym celu, który szczęśliwym trafem okazał możność istnienia telefonu.

Gazeta „Times" podaje następującą wiadomość o historyi tego wynalazku.

Graham Bell, będąc nauczycielem szkoły Głuchoniemych w Bostonie, wpadł na pomysł następujący. Zwykle głuchoniemi są dla tego pozbawieni mowy, że są głusi. W ich organach mowy nie ma żadnéj wady, któraby mogła przeszkadzać wydawaniu głosu, a Bell przekonał się praktycznie na 2.000 swoich wychowańców, że gdy zostaną nauczeni użytku przyrządów głosowych, to mogą z wielką łatwością urabiać dźwięki artykułowane. Dla ułatwienia téj nauki powziął zamiar uwidocznienia fal powietrza, odpowiadających różnym głosom, aby głuchoniemi widzieli nie znaki symboliczne, lecz rzeczywisty rezultat, który mają naśladować. W tym celu postanowił zbudować stosowny aparat, a próby, które wykonał doprowadziły go do wniosku, że aparat ten powinien być zbudowany zupełnie tak samo jak ucho ludzkie.

Rozważając szczegóły tego organu, Bell uderzony został brakiem odpowiedniego stosunku pomiędzy ciężarem błony bębenkowéj a kostek słuchowych. To go przywiodło do wniosku, że jeżeli błonka tak cienka jak papiér jedwabny może regulować drganie kostek, które w porównaniu z nią są nadzwyczaj wielkie i ciężkie, to dlaczegóżby większa i grubsza błona nie miała wprawiać w drganie żelaza elektromagnesu?

Dla sprawdzenia tego, Bell umieścił koniec sztabki żelaznéj obok jednego z biegunów magnesu, drugi zaś jéj koniec oparł na środku naprężonéj grubéj błony. Spodziéwał się, że jeśli wprawi tę błonę w drganie za pomocą głosu, to i sztabka żelazna ulegnie takim samym drganiom i wywoła w magnesie wzmocnienia i osłabienia, odpowiadające zgęszczeniom powietrza, podczas wydawania głosu,— a daléj, że na drugim końcu magnesu, te zmiany natężenia będą w ten sposób działały, że jeśli się przy tym końcu umieści sztabkę żelazną, to jéj ruchy będą wierną kopią ruchów pierwszéj sztabki. Podczas tych doświadczeń, pan Tomasz Watson, asystent Bella, usłyszał pewien dźwięk w instrumencie; Bell starał się go usłyszeć— ale nie był tyle szczęśliwym ile jego asystent. W dalszym jednak ciągu doświadczeń, gdy zmniejszał coraz bardziéj kawałek żelaza

przytwierdzony do błony i wreszcie użył zamiast niego kawałka sprężyny zegarowéj wielkości paznogcia, usłyszał dźwięki wyraźne. Wtedy widocznie, zarzucił myśl zbudowania przyrządu dla nauki głuchoniemych i poświęcił swą pracę udoskonaleniu, przypadkiem wynalezionego, przyrządu do przenoszenia dźwięków.

O związku zachodzącym pomiędzy wyborem naturalnym a chorobami pasorzytniczemi.

W LIX tomie Archives des sciences physiques et naturelles, p. 349, zwraca p. *Forel* uwagę na ten ciekawy przedmiot i rzuca kilka nowych myśli, które zapewne nadal nie pozostaną odłogiem. Jestto kwestya ciekawa zarówno ze względu teoretycznego jak i praktycznego.

Wybór naturalny polega, jak wiadomo, na tém, że w walce o byt ginie znaczna ilość indywiduów, bez pozostawienia po sobie potomstwa, i tylko te indywidua przyczyniają się do utrzymania gatunku, które są najlepiéj zaopatrzone w środki do walki o byt. Ponieważ w skutek dziedziczności pożyteczne przymioty przechodzą z rodziców na dzieci, więc pewien gatunek zwierząt, czy roślin nabywa coraz więcéj korzystnych właściwości, służących jako środek oparcia się nieprzyjaznym wpływom.

U zwierząt i roślin hodowanych wpływ wyboru naturalnego zatraca się. Najprzód bowiem, w skutek opieki człowieka nie czują one prawie wcale wpływu walki o byt, z którego to powodu nawet słabsze osobniki mogą zachować swe istnienie i wydać potomstwo. Potomstwo to będzie liczne, ale będzie pozbawione dobroczynnego wpływu wyboru naturalnego. Powtóre opieka człowieka nie ogranicza się na usuwaniu wpływów nieprzyjaznych; ale nadto proteguje on tylko takie indywidua, które okazują własności dla niego korzystne i tylko takim dozwala się rozmnażać, bez względu na to, czy te właściwości są pożyteczne dla gatunku. Wpływ więc człowieka stawia tamę doborowi naturalnemu, mającemu na celu tylko dobro gatunku; pomimo to, jak powiada Forel, może i człowiek także wielkie korzyści odnosić z wyboru naturalnego, gdy mu pozostawi pole do działania, mianowicie na punkcie walki z chorobami epizootycznemi i epifitycznemi. W jaki sposób? Forel objaśnia to na przykładzie następującym.

Wyobraźmy sobie pewien dziki gatunek zwierzęcy lub roślinny, który, zaaklimatyzowawszy się w danéj okolicy, jest w równowadze ze swojém otoczeniem i może korzystnie wytrzymać walkę o byt ze

swemi przeciwnikami i współzawodnikami. Wyobraźmy sobie daléj, że z obcych stron przybywa jakiś pasorzyt zwierzęcy lub roślinny, który się rzuca na rzeczony gatunek i sprawia w pośród niego straszne spustoszenie. Pasorzyt ten, znajdując w ciele swoich ofiar pożywienie, znacznie się rozmnoży; lecz zabiwszy już znaczną liczbę ofiar będzie miał trudność w znalezieniu pożywienia. Wkrótce więc sam będzie ginął w ogromnych masach z głodu. Napadnięty gatunek będzie teraz wystawiony na nieprzyjazne działanie mniejszéj liczby napastników i zacznie się silniéj rozwijać, w skutek czego znów istnieć będzie mogła znaczniejsza liczba pasorzytów—i w ten sposób powstaną rozmaite oscyllacye w rozwoju napadniętych i napadających, dopóki nie nastąpi pewien stan równowagi, w którym będzie tyle napadniętych, że pasorzyty nie będą ginęły z głodu, i tyle pasorzytów, że ich ofiary nie będą mogły nadmiernie się rozmnożyć. Jestto pierwsza faza walki o byt, po któréj następuje druga—wyboru naturalnego.

Wybór naturalny wprowadza modyfikacye w jednę i drugą stronę. Co się tyczy najprzód zwierząt napadniętych, to w skutek walki o byt usuwane zostają wszelkie indywidua niemogące stawić dostatecznego oporu wpływom nieprzyjaznym, i pozostają przy życiu tylko silniejsze, odporniejsze, skąd w rezultacie gatunek staje się silniejszym i zdrowszym, mogącym znieść dręczenie ze strony pasorzytów. Z drugiéj strony wybór naturalny może w ten sposób modyfikująco wpłynąć na pasorzyty, że te indywidua, których sposób żywienia się i wogóle życia jest zabójczy dla zwierząt, na których mieszkają, wymrą z głodu, zabiwszy ofiary, które im dostarczają pokarmu; te zaś, których wpływ jest mniéj zwierzętom szkodliwym, będą z nich mogły długo ciągnąć pokarm i tym sposobem posiadać będą warunki do rozwoju i rozmnożenia się. Obie te modyfikacye prowadzą do jednego rezultatu, mianowicie takiego, że rezultat walki o byt pomiędzy dwiema formami nie będzie śmiertelnym, że obie one będą mogły istnieć obok siebie, i wreszcie zwierzęta dojdą do takiego samego rozwoju indywiduów oraz stanowiska w okolicy, jak przed napaścią pasorzytów.

U gatunków hodowanych, powiada Forel, w walce o byt z pasorzytami, może nastąpić pierwsza faza walki o byt, druga zaś faza, wyboru naturalnego, nigdy nie może mieć miejsca, gdyż warunki hodowli zupełnie wykluczają wybór naturalny. Człowiek stara się rozmaitemi sposobami ochronić swojskie zwierzęta i rośliny od napaści pasorzytów, już to zabijając pasorzyty, już to za pomocą czystości chroniąc zwierzęta od zarazy, już też wykluczając te osobniki, które zostały przez nie napadnięte i zostawiając do rozpłodu tylko te,

które są od nich wolne. W ten sposób może ochronić wiele słabych a wyłączyć silne, któreby walkę wytrzymały. W wielu jednak razach wszystkie te środki okazują się zawodnemi, a wtedy, według rady Forel'a, uciec się należy wyłącznie tylko do drugiéj z faz powyżéj wymienionych, do wyboru naturalnego. Trzeba gatunki hodowane pozostawić w naturalnych warunkach życia, trzeba je poddać działaniu czynników otaczających, a rezultat tego będzie taki, że już po kilku generacyach wpływ wyboru naturalnego wywoła, w sposób opisany, taką równowagę, że i gatunki hodowane i pasorzyty, będą mogły istnieć obok siebie.

Z powodu komplikacyi, jaka wypływa z wzajemnego oddziaływania dwóch form w walce o byt, z powodu różnorodności licznych czynników, od których jest zależny dodatni lub ujemny wypadek walki, cały ten proces nie jest dość jasny. Ale nie jestto bynajmniéj hypoteza, pozbawiona podstaw doświadczalnych. Przeciwnie, Forel posiada na to dowód w obserwacyach nad jedwabnikami, zarażonemi tak zwaną „chorobą ciałek.“ Chorujące na nią jedwabniki Forel zostawił w warunkach dzikiego życia przez lat 10, a wynik tego doświadczenia był zupełnie pomyślny; wszystkie jedwabniki były zdrowe.

Na zasadzie tych rozumowań i doświadczeń, Forel radzi używać wyboru naturalnego we wszelkich innych podobnych wypadkach, a szczególniéj względem winorośli opadniętéj przez fillokserę. Wniosek ten został świetnie stwierdzony przez Marsé'go, który przedstawił swe obserwacye nad samowolném zniknięciem filloksery, na posiedzeniu Akademii Nauk w Paryżu d. 12 Listopada r. z. Pan Marsé donosi, że na znaczną liczbę krzaczków winorośli przeniósł fillokserę, która na nich pozostawała przez lat cztery i wreszcie samodzielnie znikła w biegu roku piątego na wszystkich krzaczkach,—co jest dowodem, jak powiada, jakiéjś przyczyny powszechnéj. Jednakże jeden z krzewów, rosnący w odległości pięciu metrów od roślin podanych doświadczeniu, który się przypadkowo zaraził filllokserą w 1875r., zachował jeszcze dotąd te owady. Prawdopodobnie więc wyleczenie powyższe nastąpiło w skutek wyboru naturalnego.

Nowa metoda galwanoplastyczna.

W Październikowym zeszycie „Ateneum“ z r. 1877, podaliśmy wiadomość o odkryciu sposobu otrzymywania nadzwyczaj cienkich, przezroczystych blaszek rozmaitych metali, dokonaném przez pana Artura W. Wright'a, profesora w Yale College. Przypominają sobie

czytelnicy, iż odkrycie to polega na ulatnianiu metali drogą elektryczną i na osiadaniu ich na chłodnych ściankach szklanych naczyń. W rzeczonym artykule podaliśmy teoretyczne rezultaty tego odkrycia, dziś możemy się podzielić z czytelnikami wiadomością o zastosowaniu praktyczném, które się udało Wright'owi przeprowadzić.

Wright używa naczynia szklanego, z którego wypompowuje powietrze, wprowadza weń dwa bieguny cewki indukcyjnéj i zawiesza pomiędzy niemi przedmiot, który należy pokryć blaszką metaliczną, np. kawał szkła. Do bieguna ujemnego przymocowany jest kawałek metalu, który się ma na przedmiocie osadzić. Trzy do sześciu ogniw Grove'go, działając przez cewkę indukcyjną, wywołują pomiędzy biegunami iskry, dwu do trzech calowéj długości. Pod wpływem téj iskry, metal ulatnia się i zgęszcza na zimnéj powierzchni szkła, tworząc na niém osad błyszczący, jednolity. Grubość blaszki osadzonéj może być dowolna, gdyż jest w zupełności zależną od czasu działania elektryczności.

Korzyści wynikające z odkrycia Wright'a są liczne i ważne. Nietylko że pozwala ono badać barwy właściwe metali, zmieniające się stosunkowo do powiększania się grubości blaszek, i otwiéra tym sposobem pole do nowych poszukiwań nad naturą metali, a może téż i światła; ale nadto daje wyborną metodę otrzymywania źwierciadeł ze wszystkich lotnych metali, źwierciadeł, odznaczających się niezwykłą czystością i wszelkiemi pożądanemi zaletami. Otrzymane przez Wright'a źwierciadła platynowe, w których błonka platynowa jest osadzona na srebrze, są nieczułe na wpływ atmosfery i z tego powodu kwalifikują się do teleskopów i heliostatów oraz innych przyrządów naukowych, do których potrzebne są źwierciadła o zawsze czystéj powierzchni.

Wpływ księżyca na pogodę.

Nie ma chyba bardziéj rozpowszechnionéj, bardziéj popularnéj teoryi zjawiska przyrodzonego, nad teoryą zależności pogody od odmian księżyca, lunacyj. Lecz nietylko ogół ludności wszystkich krajów wierzy w nią głęboko. Przekonanie to panowało w nauce od kilku wieków, aż do ostatnich niemal dziesiątków lat, a chociaż otrzymało ostatecznie cios bardzo silny, jednakże i teraz dają się słyszéć głosy uczonych, przywracające dawne znaczenie księżyca w meteorologii. Do rzędu tych uczonych należy między innymi astronom Falb, o którego teoryi podaliśmy krótką wiadomość w III to-

mie „Ateneum“ z r. z. (str. 214). Lecz wznowienie téj hypotezy napotyka na wielki opór ze strony specyalistów, a że zarzuty przeciwników są dość ciężkiego kalibru, przekonamy się z treści odczytu francuskiego uczonego Faye'a, wygłoszonego na jedném z publicznych posiedzeń akademickich.

Słońce, powiada Faye, rządzi wszystkiém na ziemi. Od niego wyłącznie zależy nietylko następstwo pór roku, lecz i wszystkie ruchy ziemskie, od wielkich burz naszéj atmosfery aż do najmniejszego drgnięcia skrzydła owadu, aż do biegu najmniejszego strumyczka, aż do spadku kropli deszczu. Ruchy te sprawia słońce swém ciepłem. Czy i księżyc sprawia je choć na bardzo maleńką skalę? Bynajmniéj. Promieniowanie ciepła księżyca jest tak słabe, że fizycy zrezygnowali dawniéj z możności wykazania jego istnienia i dopiéro, gdy wynaleziono stos termoelektryczny, będący prawdziwym cudem fizycznéj czułości, zdołano wykryć trochę ciepła w promieniach księżycowych, ale to w tak małéj ilości, że dłoń eksperymentatora, trzymana przez chwilę przed tym zdumiewającym termoskopem, okazuje go więcéj, aniżeli wszystkie promienie księżyca w pełni, skoncentrowane za pomocą szkła palącego.

Księżyc więc swojém promieniowaniem w niczém się nie może przyczynić do ruchów w atmosferze, sprawianych przez ciepło słoneczne. Jak kropla dolana do oceanu nie podniesie jego poziomu, tak też ciepło odbite przez księżyc, dodane do nieskończenie większéj ilości rozlewanéj przez słońce, w niczém na modyfikacyą wpływu słońca wpłynąć nie może.

Jeśli księżyc nie wywiéra działania swém promieniowaniem, to może wywołuje je swą masą, przyciąganiem? Tak właśnie sądzi Falb i wielu innych. Ale i temu Faye zaprzecza. Wprawdzie księżyc porusza wody oceanu, to rzecz pewna; gra on ważną rolę w przypływie i odpływie morza. Wysokość morza zmniejsza się, gdy księżyc oddala się od nas, powiększa się, gdy się przybliża, a ponieważ wpływ księżyca przyłącza się często do wpływu słońca, albo też przeciwny przypadek ma miejsce, stosownie do względnego położenia obu ciał, więc oscylacye morza zmieniają się z fazami księżyca i są nieco większe podczas pełni i nowiu, aniżeli podczas pierwszéj i ostatniéj kwadry. Jeśli więc księżyc porusza ocean, mówią marynarze, a przynajmniéj tworzy falę o szerokiéj podstawie wysoką na metr i więcéj, któréj wierzchołek idzie wiernie w ślad za księżycem, to dla czegóżby nasz satelita nie miał działać podobnie na ocean powietrzny?

Zdaje się, powiada Faye, że źródło przypuszczenia wpływu księżyca na atmosferę wypłynęło właśnie z téj analogii. Starożytni

nigdy nie przypuszczali, żeby księżyc miał wpływać na pogodę; nic ich na tę myśl nie naprowadzało, bo mieszkając nad morzem Śródziemném nie znali przypływu morza. Odkrycie wpływu księżyca należy zupełnie do nowych czasów. Gdy około XV wieku żeglarze skonstatowali powszechność zjawiska przypływu i odpływu morza, powstał, jak się zdaje, ten przesąd. Jednakże ci sami żeglarze zapoznali nas z licznemi faktami, które służą do obalenia ich twierdzenia. I tak np. stwierdzili, że nigdy nie ma burz w Limie, a z drugiéj strony, na wyspie S-téj Heleny nigdy nie słyszano grzmotu, chociaż znów grzmi niemal codziennie na wyspach Moluckich i Sundzkich. A jednak odmiany księżyca istnieją tak tu jak i tam. W Egipcie górnym nigdy deszcz nie pada, a jednak księżyc ma tam te same fazy co i u nas. Z drugiéj zaś strony wszędzie ocean wznosi się i opada zależnie od księżyca. Wypada więc stąd, że dwa zjawiska: powszechny przypływ i odpływ morza oraz objawy meteorologiczne w atmosferze, nie są w żadnym z sobą związku.

Nadto, kiedy jest mowa o przyciąganiu, zagadnienie staje się przedmiotem mechaniki i rachunku. Znakomity Laplace, który pierwszy poddał pod rachunek zjawisko przypływu morza, obliczył także wielkość wpływu przyciągania księżyca na ocean powietrzny i doszedł do wniosku, że przypływ i odpływ atmosfery powinien się zmieniać peryodycznie o ilość wyrażoną przez 1½ setnych części milimetra wysokości barometrycznéj. Czyż można dzisiaj, kiedy burze zostały lepiéj poznane, przypisywać temu nikłemu wpływowi spadnięcie barometru o kilka centymetrów, które zmiany pogody nagle wywołują? Niezadowolony z wypadków, które otrzymał, Laplace poprosił swego przyjaciela i współpracownika Bouvard'a, dyrektora obserwatoryum w Paryżu, aby poszukał, czy w istniejących już obserwacyach meteorologicznych nie ma jakiego śladu tych nieujętych zmian. Bouvard szukał, ale napróżno. Usiłował on zbadać przynajmniéj, czy księżyc jak to utrzymują, nie wywiéra wpływu na deszcz. Mając przed sobą stuletnie obserwacye, liczył ile dni dżdżystych odpowiadało każdéj z kwadr. Rezultat był prosty i stanowczy: ilość dni dżdżystych w każdym z czterech peryodów była jednakowa. Taki sam rezultat osiągniętoby na mocy prawa wielkich liczb, objaśnia dowcipnie Faye, gdyby za pomocą statystyki stuletniéj starano się obliczyć ile było wołów w szlachtuzie lub przechodniów na Pont-Neuf podczas każdéj z faz księżyca.

Jednakże te rezultaty i te rozumowania podawano w wątpliwość. Nie chodzi o to, mówiono jaka jest liczba dni dżdżystych,

lecz tylko o zmiany pogody. W jaki sposób księżyc działa, tego nie ośmielono się określić, dodając jednak, że jeżeli ciepło księżycowe nie przybywa do nas, to zapewne dlatego, że jest absorbowane w wyższych warstwach atmosfery, gdzie bywa bezwątpienia użytém do rozproszenia chmur. I w saméj rzeczy panuje przekonanie, że księżyc zjada chmury.

Przeciwko temu przypuszczeniu świadczy w sposób stanowczy prawo burz.

Wiadomo że cyklon potrzebuje dziesięciu, piętnastu a nawet dwudziestu dni do uskutecznienia całkowitego swego biegu; w skutek tego jeden i ten sam cyklon może rozbić jeden okręt podczas nowiu, drugi w pierwszéj kwadrze a trzeci w czasie pełni. Każdy z kapitanów tych trzech okrętów miałby prawo przypisywania przyczyny nieszczęścia każdéj z trzech powyższych faz księżyca, a tymczasem jedyną przyczyną było to samo zjawisko, które w swym biegu normalnym i zupełnie prawidłowym napotkało jeden po drugim te trzy okręty, na swéj drodze naturalnéj, którą prawa przyrody kazały mu przebiedz.

Lecz cyklony nie są zjawiskami tak miejscowemi, ograniczonemi, jakby się na pozór zdawać mogło. Wiadomo teraz, że wszelkie wiatry, wszelkie nawałnice w każdéj okolicy pochodzą od tych ruchów wirowych powietrza, które wędrują bezprzestannie po powierzchni kuli ziemskiéj, wywołując tu i owdzie zmiany pogody przypisywane księżycowi. Nikt jednak nie wpadnie na pomysł przypisywania cyklonów wpływowi księżyca. Początek ich jest inny. Te straszliwie zjawiska powietrzne rodzą się pod wpływem ciepła słonecznego w wyższych warstwach atmosfery. Powietrze rozgrzane, wzniesione w skutek ciepła nad swój poziom naturalny, rozlewa się ku biegunom z obu stron równika ogromnemi prądami, płynącemi nad naszemi głowami. Choć prądy te są niewidzialne, śledzimy jednak ich bieg za pomocą specyalnych obłoków, które one z sobą unoszą. Sąto obłoki najwyższe; nie składają się one z kropelek wody, lecz z drobnych igiełek lodu. Obłoki te nadają często niebu widok malowniczy i wywołują około słońca i księżyca bardzo ciekawe zjawiska świetlne. W łonie tych rzek powietrznych, powstają często ogromne ruchy wirowe, podobne do wirów w naszych wodach bieżących. Skręty tych wirów powietrznych zstępują ciągle na dół, dopóki ich ziemia nie zatrzyma, niosą w swém łonie elektryczność z sfer wyższych, mięszają obłoki lodowe z kroplistemi niższych warstw i wywołują wszędzie, gdzie przejdą, ura-

gan, dészcz, pioruny, a niekiedy dziwią nasze oko ogromnemi masami wody nagle zlodowaciałéj wśród błyskawic, padającéj jako grad na ziemię.

Oto co mówi Faye, słowami matematyki i nowszéj meteorologii.

Co na to odpowié Falb i miliony ludzi wierzących w prawdziwość swych obserwacyj nad wpływem księżyca na pogodę?

Czekamy.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nie zbyt dawno ukazała się książka, p. t. *Wychowanie publiczne na podstawach Ekonomii Politycznéj* przez Aleksandra Czarnowskiego. Ekonomia Polityczna jest u nas tak mało znaną, a co gorsza w imieniu jéj tyle popisano bredni, że tytuł książki prawdopodobnie niewielu do przeczytania jéj zachęcić musiał. A przecięż zasługuje ona na uwagę. Nie dlatego, ażeby zawierała oryginalne myśli do czego autor nie ma bynajmniéj pretensyi. Nie dlatego, ażeby język jéj był klasyczny, lub porządek wykładu nie pozostawiał nic do życzenia, ale dla innych powodów. Książka ta dotyka jednéj z najważniejszych kwestyj społecznych i rozstrząsa takową z dawno znanego gdzieindziéj, ale nowego u nas punktu widzenia.

Postaram się streścić myśli autora w nadziei, że czytelnicy sami przeczytają książkę, w której znajdą wiele ciekawych szczegółów i poglądów. Nie będę się téż pilnował tam panującego porządku i, naturalnie, wiele rzeczy pominę.

Że dzisiejszy system kształcenia młodzieży, prawie w całéj Europie, nie jest doskonałym, to czuje każdy, kto się nad tą kwestyą zastanawiał. Czarnowski w rozbiorze swym zarzuca mu:

Monopol—skutkiem którego społeczeństwa domagają się, aby rządy były ich nauczycielami, choć jednocześnie bardzo sarkają na to, gdy władza prawodawcza pełni naprzykład funkcyą producenta i handlarza wyrobów tytuniowych.

Jednolitość objawiającą się za pośrednictwem jednostajnych programów, a nawet podręczników. Skutkiem tego wszyscy mieszkańcy kraju są mądrzy na jedno kopyto i posiadają te same niedostatki umysłowe, wbrew prawom natury wymagające obok pewnych cech wspólnych, nieskończonéj rozmaitości zjawisk,

Języki starożytne i klasycyzm, które nietylko zabiérają czas potrzebny na coś praktyczniejszego, ale jeszcze napawają młodociane dusze ideałami społeczeństw barbarzyńskich, a nawet według dzisiejszego rozumienia, zbrodniczych. Świat starożytny bowiem dzielił ludzi na wolnych i niewolników, gardził pracą i jednostkę poświęcał państwu, nie mówiąc już o spartańskiém zabijaniu dzieci i rzymskiéj dążności do ujarzmień.

Czwarty zarzut stanowi *niepraktyczność* wychowania, jego niezgodność z potrzebami życia. Szkoły dzisiejsze produkują co najwyżéj literatów, mówców i korepetytorów, choć wiadomo, że świat potrzebuje dziesiątków tysięcy innego rodzaju specyalistów. Skutkiem tego zakłady wychowawcze ogólne mały pożytek przynoszą, a wychowańcy ich nie znajdują dla siebie dość miejsc wśród społeczeństwa.

Wreszcie—zarzuca p. C. panującemu systemowi—*niesprawiedliwość*. Na szkoły bowiem klasyczne, z których po większéj części korzystają dzieci warstw zamożnych, składa się rzemieślnik, rolnik i handlarz żadnéj z nich nieodnoszący korzyści. Co gorsza—biedacy ci są nawet niezbędnych im szkół—fachowych i elementarnych zupełnie pozbawieni.

Tymczasem ludność wzrasta. Na społeczną widownią występują coraz liczniejsze klasy. Potrzeby życia mnożą się i urozmaicają, a jednocześnie środki wyczerpują. Do prastaréj walki z naturą człowiek potrzebuje sił i wiedzy z każdym rokiem większéj, a prócz tego na drodze przemysłu, handlu, odkryć i wynalazków, walczyć mu wypada z innemi społeczeństwami. W zapasach tych każde zaniedbanie, każda chwila zastoju naraża nas na straty i podaje w moc innych. Gałęzie pracy specyalizują się na niepoliczone odnogi, trudności opanowania każdéj z nich olbrzymieją. Wśród téj ciasnoty, ścierania się interesów, wyścigów na złamanie karku, jedynym światłem i sprzymierzeńcem człowieka jest wiedza, niezdobyta w całości dla nikogo, lecz rozszczepiająca się na miliony promieni i tysiące prądów zapładniających i ożywczych.

Czy pomiędzy niezmiernym śpichrzem wiedzy i nieskończonemi potrzebami społeczeństw, dzisiejszy monopol naukowy może wytworzyć jakiś stały i korzystny związek? Czy obecne gimnazya, uniwersytety, nie są raczéj zbiornikami mniéj niezbędnych pokarmów duchowych? Czy choćby je porównać do brylantów i pereł, przydadzą się one na co tam, gdzie kamieni i żelaza potrzeba?

Na powyższe pytania nikt nie odpowie twierdząco. Lecz jeżeli systemy i instytucye, nad któremi dziesiątki lat pracowano, tak małe jeszcze wydają rezultaty,—to gdzież jest program, system czy

akademia, która od dotychczasowych klęsk choć przyszłe pokolenia uwolni?

Żadne społeczeństwo nie posiada generalnej traktyerni, któraby wydawała jadłospisy dla wszystkich i umysły członków owego zarządu wysilała na to, aby każdemu obywatelowi wyznaczyć: ilość i jakość potraw, tudzież godziny jedzenia. Każdy człowiek kupuje to na co go stać, zjada tyle ile może, w godzinie jaka mu się podoba. Mimo to ogół jest dość syty i dość zadowolony, przy generalnéj zaś traktyerni składałby się niewątpliwie z zagładzonych suchotników. Jeżeli więc swoboda w zakresie fizycznego odżywiania tak błogie wydaje owoce, to dlaczegóżby nie należało sprobować jéj w sferze przyjmowania pokarmów duchowych, uczenia się?..

Tu leży środek ciężkości rozprawy p. Czarnowskiego. Żąda on swobody uczenia się i nauczania w takim zakresie, na jaki kogo stać. Nie masz na ostrygi, więc ciesz się kartoflami, nie masz na rachunek różniczkowy, poprzestań na dodawaniu, lecz... nie żebraj, nie kształć się z jałmużny!..

Na tle swobody i równoważnéj zapłaty w sferze nauczania, opiérają się wszystkie wywody p. C. Wykazuje on jasne strony nowéj i ciemne dziś panującéj zasady; porównywa energią i przewagę Anglików i Amerykanów, u których swoboda nauczania panuje, a chwiejność, przemysłową bojaźliwość i skłonność do rewolucyi Francuzów, którzy pełnemi łyżkami czerpią z misy naukowego monopolu.

Twórcy nowych poglądów a za nimi p. C. nie lękają się zarzutów jakie stawiać można bronionéj przez nich zasadzie, owszem sami je cytują i odpiérają.

Jeżeli pozwolicie każdemu uczyć się czego chce i jak chce, to po pierwsze: ogół nie będzie się uczył, mówią monopoliści. W odpowiedzi na to p. C. pisze skróconą historyą cywilizacyi, któréj my jednak nie powtórzymy. Kto ma oczy niech spojrzy do koła siebie, a przekona się, że ogół pragnie wiedzy, ale użytecznéj, dającéj chleb. Zresztą od niepamiętnych czasów, dzieci wszelkiego rodzaju proletaryuszów dostarczały najpilniejszych uczniów.

Drugi zarzut, że przy systemie całkowitéj opłaty za naukę możniby tylko z niéj korzystali, nie ma racyi bytu. P. C. żąda bowiem szkół elementarnych bezpłatnych lub mało płatnych i zgadza się na pomaganie w wyższéj edukacyi młodzieńcom ubogim, lecz wybitnemi odznaczającym się zdolnościami.

Potrzecie,—mówią konserwatyści, że w proponowanych warunkach nauczyciel stanie się handlarzem i będzie odrabiał obowiązki swoje lada jako. Na to p. C. odpowiada, że przeciwnie: wolna kon-

kurencya skłania zwykle do usilniejszéj pracy. Mógł był też przypomnieć niezmiernie ważną dla społeczeństwa klasę lekarzy, którzy handlują przecięż swoją umiejętnością, obywają się bez programów, nadzorców i upomnień; a jednak pracują sumiennie i do najpóźniejszego wieku.

Ostatnią obawę, że bez monopolu, oświata pozbawioną będzie wspólnego kierunku, zbija p. C. przykładem Anglii i Ameryki. Istotnie jednak zarzutu tego zbijać nie warto. Ludzie, stworzeni wedle jednego typu, mają aż nadto dużo skłonności do urabiania się na jednakową formę. Moda, nałogi, ukłony, sposoby rozpoczynania i kończenia rozmowy i miliony innych szczegółów zbyt jasno dowodzą téj prawdy. Byłoby może lepiéj, gdybyśmy więcéj popędów do oryginalności i samodzielności mieli w sobie zaszczepionych.

„Ludzkość, mówi w końcu p. C., „zawsze małą pokładała wiarę w swobodę, a wielkie miała zamiłowanie do przepisów krępujących naturalny bieg przyrodzonych naszych zdolności.“

Nie mniéj ciekawe są zestawienia celów i skutków swobodnéj anglo-amerykańskiéj i monopolistycznéj francuskiéj oświaty. Pierwsza chce przygotować wielką liczbę ukształconych pracowników, a dziedzinę sztuk pięknych i nauk wyższych zostawia możniejszym, Druga przygotowuje filozofów, prawników i literatów, dla społeczeństwa, które ich nie zrozumie i z usług ich nie skorzysta. To też Amerykanie mają oświatę powszechną i garść ludzi wysoko ukształconych. Francuzi kilka tysięcy gwiazd pierwszéj i drugiéj wielkości na tle ogólnéj ciemnoty. Anglicy i Amerykanie ze swego systemu wychowania czerpią rozsądek, samodzielność i niezłomną energią w indywiduach; Francuzi otrzymują wielu nieszczęśliwych marzycieli, których tania sztuczna a wysoka edukacya wykoleiła nietylko z rodzinnych, ale i społecznych torów.

Taka jest w ogólnych zarysach treść książki. Korzyści praktycznéj z pracy téj nasze przynajmniéj społeczeństwo odnieść nie może, dostępną przecięż jest dla niego korzyść teoretyczna.

My w kwestyach wychowania należymy do najzakamienialszych rutynistów. Umiemy krytykować, zły program i złego nauczyciela, umiemy ubolewać nad wpływem złego systemu na umysł a nawet fizyczne zdrowie dziecka, lecz o środkach zaradczych nic myślimy. Alfą i omegą rodzicielskiéj pieczołowitości jest popchnąć dziecko na utarte szlaki i upominać je, aby się starało o patent. Raz jednak umieściwszy je w zakładzie naukowym, nie zadajemy już sobie pytania: czy dziecko robi rzeczywiste postępy w naukach i na co mu się one przydadzą w dalszém życiu? Według panującéj opinii o wszelkich podobnych kwestyach myśleć powinien kto inny.

W takich warunkach nietylko poglądy wypowiedziane w książce p. Czarnowskiego, ale nierównie bardziéj krańcowe oddać nam mogą nieobliczone usługi, ukazując nowy punkt zapatrywania się na sprawę. A zatém są społeczeństwa tak odważne, że wśród nich każdy ojciec śmiało wybiéra szkołę dla swego dziecka, krytykuje złe i dobre strony instytucyi, upomina się o zaprowadzenie w niéj pewnych reform. A zatém są społeczeństwa o tyle wyższe od nas, że wśród nich jeszcze przed kilkudziesięcią laty zapytywano jaką korzyść mogą przynieść nauki klasyczne, podawane wszystkim dzieciom chcącym przejść średnią edukacyą? Nie dość na tém: żądano upowszechnienia oświaty elementarnéj i szkół z dążnościami fachowemi.

Podobne zwrócenie uwagi na kwestye wychowawcze, konieczne jest u nas, gdzie pominąwszy inne doniosłe względy, znajduje się pełno dzieci napróżno kołaczących do drzwi gimnazyów i progimnazyów. Mojém zdaniem, na które można się zgodzić lub nie zgodzić, zawód jaki je spotyka nie należy do najcięższych w życiu. Z tém wszystkiém: co z odepchniętemi dziećmi zrobić? Naturalnie trzeba je kształcić w domu i warsztacie lub handlu, dopóki nie będziemy mieli dostatecznéj liczby szkół fachowych.

Edukacya domowa, o któréj wspomnę tylko nawiasowo, wymaga kilku warunków. Najprzód tego, aby rodzice przynajmniéj w ogólnych zarysach wiedzieli czego od niéj chcą i choć do pewnego stopnia umieli nią pokierować. Daléj pociąga za sobą koszta, a jeszcze daléj wymaga nauczycieli.

Co do kosztów, sądzę, że gdyby je ponosiło kilka rodzin wspólnie kształcących dzieci, byłyby one wówczas nie większe od gimnazyalnych. Co do nauczycieli, myślę, że kraj nasz posiada wiele osób ukształconych i nieraz gwałtownie potrzebujących zarobku; osoby takie z korzyścią mogłyby się poddać obowiązującemu egzaminowi i zwiększyć zastęp nauczycielski. Zarówno wreszcie one jak i rodzice obeznaliby się bliżéj ze sprawą nauczania, gdyby w kraju powstało pismo wyłącznie poświęcone pedagogice i dostateczna liczba dobrych podręczników naukowych do domowéj edukacyi. Nie siląc się na oryginalność, moglibyśmy tłómaczyć takowe z obcych języków, albo wybiérać z pośród podręczników używanych w Galicyi.

Oświata fachowa i elementarna, publiczna lub domowa, dobrze prowadzona, jest tak potężnym fundamentem przyszłéj pomyślności kraju, że chwila, w któréj nasz ogół szczerze nią się zajmie, stanowić będzie jedną z ważniejszych epok. Wprawdzie szkoły elementarne liczą się u nas na tysiące, a wychowańcy na setki tysięcy,

mimo to właściwy ich wpływ nie zaczął się nawet, tak jak i fachowych, których jest ledwie kilka.

Przedewszystkiém bowiem główna zasada została po dziś dzień nietkniętą. Według prawa szkoły elementarne zostawać powinny pod bezpośrednim kierunkiem gmin, które mogą wybiérać lub zrzucać nauczycieli, naznaczać pensyą i rozciągać dozór. Dotychczas jednak z praw tych nikt nie korzysta, rozstrój jest zupełny, wypadek i gorsze od niego kaprysy i dążności jednostek rządzą.

Nauczyciele wiejscy, o ile wywiedziéć się o nich można, są po większéj części źle płatni i nie stoją na wysokości swoich obowiązków. Wprawdzie niektórzy z nich posługują się metodą poglądową, czują brak odpowiednich podręczników i posiłkują się wydawnictwami Jeskiego; są to jednak nieliczne wyjątki. Większość trzyma się ślepo niezrozumiałych formułek, lub zajmuje się dziećmi o tyle, o ile je do posług użyć można. Jeżeli mimo to część młodego pokolenia umié czytać, to wypadek ten jest raczéj skutkiem niezmiernego popędu włościan do oświaty, aniżeli wpływu szkoły.

Nie zbyt dawno w Lublinie pewien Bomasz, skazany za gwałtowną kradzież, który miał bezczelność powołać się w sądzie na świadectwo czterech innych kryminalistów, jako jest człowiekiem uczciwym, między dowodami swéj zacności wymienił: że z judaizmu przeszedł na chrześcijanizm, że był urzędnikiem miejscowéj izby obrachunkowéj, a poprzednio... nauczycielem wiejskim. Piękny nauczyciel! a któż zgadnie: ilu podobnych mu zaraża swoją obecnością szkoły gminne?....

Niezależnie od tych niebezpieczeństw, szkół elementarnych w kraju jest za mało, a pensye nauczycieli o tyle liche, że nie pociągają na posady nawet ludzi nędzny żywot pędzących na bruku miejskim. Szkołom brak pomocy naukowych, jakie posiadają nietylko angielskie i niemieckie, ale nawet galicyjskie. Dozór i współudział ze strony społeczeństwa żaden.

Na tyle szkół, od kilkunastu lat po raz pierwszy w tym roku wyczytaliśmy w pismach nazwisko nauczyciela p. Piotra Kulika, który zapoznaje uczniów z nauką praktyczną, obznajmiając ich z hodowlą jedwabników i siejąc morwy. Dobremu nauczycielowi Spółka Jedwabnicza wyznaczyła honorową nagrodę w ilości rs. 20. Nie jest że to ironią, że nauczyciel wiejski wówczas dopiéro doczekał się uznania, gdy przyłożył rękę do rzeczy mało u nas praktycznéj. I kto w dodatku ocenił jego uczciwą pracę około sadzenia drzewek? (jedwabnictwa bowiem nie liczę). Oto spółka, któréj przed paroma laty groziła śmierć, po kilkunastu latach dość zagadkowego żywota!

Czyżby sumienny i zdolny nauczyciel wiejski nie miał raczej prawa do rozgłosu i wynagrodzenia od jakiéjś nieistniejącéj jeszcze spółki a czuwającéj nad hodowlą nie koniecznie jedwabniczego, ale ludzkiego potomstwa? Alboż dziś podobnéj spółki nie mogłoby zastąpić kółko najbliższych sąsiadów, uczciwych, o oświatę dbałych.

Powtarzamy jeszcze raz, że oświata elementarna i fachowa stanowi pole, na którém najpotężniéj objawi się nasz rozum i samodzielność społeczna. Czego tu potrzeba? Przedewszystkiém zwrócenia uwagi na samę kwestyą i zbadania jéj we wszelkich kierunkach. Rzecz ta nie koniecznie należy do dziennikarzy i korespondentów, a nawet pedagogów, lecz do wszystkich ludzi w piéniądze, stosunki i dobrą wolę zasobnych.

Nowy ten ruch musi się zacząć od miast. Należałoby istotnie raz dowiedziéć się czego w elementarnych szkołach uczą, jakie są lokale, jakie środki naukowe, jakie potrzeby nauczycieli?... Niedostatki ukażą się na każdym kroku, lecz obok nich i lekarstwa.

Powtóre należałoby wypracować czy tylko uporządkować podręczniki, niezbędne dla prowadzenia edukacyi domowéj i pomyśléć o bibliotece dla młodzieży i ludzi starszych pragnących wiedzy. Inne narody mają po kilka tego rodzaju wydawnictw, w których obok geografii istnieje hygiena, obok mechaniki—poezya, obok klasyków własnych—ekonomia, geologia, chemia i mnóstwo innych rzeczy. Godziłoby się też wskrzesić i pomnożyć liczbę istniejących przed kilkoma laty prywatnych *warsztatów wzorowych*.

Potrzecie wypadałoby postarać się o upowszechnienie między rodzinami rycin i okazów do nauki poglądowéj. Zbiory minerałów, stopniowa przeróbka materyałów użytecznych, zielniki, modele czy rysunki narzędzi i machin, tudzież zabawki froeblowskie—należą do téj kategoryi.

Niezmierną usługę w tym kierunku oddałoby *muzeum pedagogiczne*, urządzone jako zwykłe przedsiębierstwo.

W muzeum takiém pensyonaty prywatne mogłyby znaléść potrzebne im narzędzia naukowe, dziecko—przedmioty znane mu tylko ze słyszenia lub czytania, rodzice — szacowne wskazówki wychowawcze.

Oto są pierwsze kroki. Nie uważamy ich za łatwe i tanie, choć wobec perspektywy ogólnéj zmiany systemu niższéj i domowéj edukacyi, są one drobiazgami. To jedno jest pewne, że przy powszechnym, poważnym nastroju, nawet te małe ziarna, ruch w tak szczupłym zakresie wyda z czasem nieobliczone następstwa.

ani do przygotowywania swoich wniosków i żądań, ani do pilnowania jakim sposobem i o ile takowe są wykonywane, ustawa więc upoważniła gminę do wybierania komisyi nadzorczéj, kontrolującéj czynności wójta i jego pomocników.

Zdaje się, że wobec tak jasnych wymagań prawa, życie gminy powinnoby się rozwijać wzorowo i że te atomy państwowe już po upływie kilkunastu lat mogłyby dojść do wysokiego stopnia samodzielności. Naprawdę jednak wszystko w gminie dzieje się nie najlepiéj, jéj mieszkańcy zaś nie nauczyli się rozumiéć prerogatyw swoich, a tém mniéj używając ich w celach ogólnéj pomyślności.

Pomimo tylu narad gromadzkich, które odbywają się od lat dwunastu, gdzie są wiejskie ochronki, szpitale i domy starców, jakie drogi i mosty, jakie zabezpieczenia przeciw ogniowi, jakie poszanowanie cudzéj własności? Kto kontroluje wójta, kto dozoruje szkoły i troszczy się o ich zakładanie, gdzie statystyczne daty, o ile jest sprawiedliwym rozkład ciężarów gminnych?

Prasa nasza, jakoś w Marcu i Kwietniu roku zeszłego gorliwie zajmowała się prawami gminy i owemi kontrolującemi komitetami, ale zdaje się, że bez wielkich następstw. Istotnie tu i owdzie (razem w trzech gminach!) ustanowiono, czy tylko chciano ustanowić te ciała zbiorowe, lecz o ile skutecznie? nie wiemy.

Trzeba jednak wyznać, że i ten miskropijny ruch, spowodowany zwykle przez nadużycia pisarzy, do ciekawych doprowadził odkryć. W gminie Godów naprzykład (powiat Nowo-Aleksandryjski), przekonano się, że składki zmniejszyć można o 2½ kop. z morga, gdzieśindziéj znowu obrachowano, że w każdéj gminie trwoni się od dwu do trzech tysięcy rubli rocznie, a jeszcze gdzieindziéj, że na zaprowadzenie ksiąg ludności wójt i pisarz zużytkowali setki rubli!.. Wnet jedna z gazet wyliczyła, że jeżeli gmina rocznie traci nie wiadomo na co 2.000—3.000 rs., to wciągu lat 12 stracić mogła od 24.000 do 36.000, cały zaś kraj, obejmujący przeszło 1300 gmin, mógł był uronić w tym przeciągu czasu od 31 do 47 milionów rubli.

Liczby te w zestawieniu z ubóstwem kraju są tak zbrodniczo wielkie, że nie śmiemy im wierzyć. Można jednak przypuszczać, że nadużycia działy się prawie w każdéj gminie i że cyfry wyrażające je znajdują się raczéj między milionami, aniżeli między tysiącami rubli.

Ten już jeden wzgląd, nawet w oczach nieoświeconego włościanina, wystarczyćby powinien do głosowania za utworzeniem komitetu kontrolującego, naturalnie z ludzi, którzy przynajmniéj cztery pierwsze działania arytmetyczne umieją. Każdy wieśniak wié lub domyśla się, że pisarz „kręci“, lecz choć przytém każdy pieniędzy na

najpożyteczniejsze cele wydawać nie lubi, mimo to komitetów nadzorczych, któreby wpłynęły na zmniejszenie wydatków, nie ma i od dwunastu lat prawo nie jest wykonane.

Fakt podobny najlepiéj świadczy o nienormalnych stosunkach kraju. W każdéj gminie mamy dwie siły: wójta i ławników z pisarzem, którzy opiérają się jeszcze o naczelnika powiatu i straż ziemską i gromadę, która ma za sobą całą potęgę prawa i według niego głos stanowczy. Ale w skład gromady wchodzi garstka inteligencyi i większość ciemna, niemająca pojęcia o swoich prawach; inteligencya posiada w swém gronie połowę indywiduów zniechęconych i obojętnych, a wreszcie, między obu klasami istnieje wzajemna nieufność. W podobnych warunkach społeczeństwo ludzkie schodzi na szczebel stada owiec, które nawet pisarz gminny zapędza gdzie chce.

Opłakany stan ten poprawić może tylko gorący udział światłych mieszkańców gminy, którzy przecięż najczęściéj zachowują się tak, jakby ich rzeczy podobne nie obchodziły, jakby nawet stracili czucie złego i dążność do lepszego. Rozumiem, że tylko wyjątkowi ludzie oburzać się mogą na niewypełnienie prawa, że tylko pewien procent ludzi ukształconych znajduje pobudkę do działań w idei ogólnego dobra, że wreszcie niektórzy, majętniejsi zwłaszcza obywatele ziemscy wolą z własnéj kieszeni dopłacić, aniżeli awanturować się z pisarzem o nadużycia. Ależ oprócz tych więcéj lub mniéj abstrakcyjnych względów istnieją realne. Każdy większy właściciel doświadcza niezliczonych przykrości od włościan i każdy rozumié, że szpilkowe te ukłucia usunąć się dadzą tylko pod warunkiem pozyskania moralnego wpływu na ciemnych sąsiadów. A na jakiéjże drodze cel podobny może się urzeczywistnić, jeżeli nie za pomocą wymiany usług. Skoro żądamy od włościan szacunku, zaufania, niewyrządzania krzywd, pilnujmyż zatém ich interesów, oszczędzajmy im zbytecznych wydatków. Zapewne, że pilnowanie „chłopskiego grosza“ jest rzeczą raczéj nudną, aniżeli wzniosłą, ależ z drobiazgiem tym łączy się mnóstwo interesów ważnych i naszych własnych.

Mimo tak silnych powodów, w ciągu upłynionego roku słyszeliśmy tylko o trzech gminach, które ustanowiły komitety nadzorcze i doszły do pewnych praktycznych rezultatów, chociaż podobno naczelnicy powiatów do wszystkich gmin rozesłali okólniki, przypominające prawo o wybieraniu ciał nadzorczych. Wpływ upomnień był pokazuje się żaden, co niektórzy składają na karb intryg pisarzy, lecz co właściwie przypisaćby należało oburzającéj obojętności strony inteligencyi wiejskiéj.

Aby wskazać jak piękne i obszerne pole do działań mogą mieć

tego rodzaju komitety w gminie, streścimy tu program zajęć komitetu gminy *Brudno*, napisany z wielką znajomością ustaw i potrzeb społecznych przez p. Józefa Supronowicza.

Oprócz dozoru nad funduszami i rachunkami, tudzież postępowaniem urzędników, komitet miał zamiar: dozorować szkółki, tworzyć biblioteczki, zaprowadzać straże ogniowe, zachęcać do asekuracyi od ognia, godzić zwaśnionych, opiekować się wypuszczanemi z więzień, urządzać ochrony, pomagać członkom gminy w nagłém nieszczęściu i zachęcać do odwoływania się do pomocy lekarskiéj w razie choroby. Prócz tego myślano wpływać na podniesienie rolnictwa i dobrobytu przez upowszechnianie nasion i narzędzi, urządzanie wystaw i odczytów, a wreszcie zachęcanie do porządku i czystości.

Od ogłoszenia tego projektu rok upływa, nic jednak nie wiemy o ile ogół obywateli ziemskich zwrócił na niego uwagę, ani nawet o ile urzeczywistnia się on w gminie wśród któréj powstał.

Dzienniki o sprawie téj umilkły, a czytelnicy ich sądzić mogą albo że z komitetami kontrolującemi wszystko dzieje się dobrze, albo że takowe wyszły już z mody.

Każda rzecz ma swój czas, najwymowniejsze głosy niełatwo zbudzą energią ogółu i nie stworzą poczucia obowiązków. I my więc nie nawołujemy do czynów, jak się to zwykle robi w podobnych wypadkach, a zawsze bezskutecznie. Notujemy tylko, że i w roku upłynionym dopuszczano się olbrzymiego zaniedbania i zapytujemy ciekawie: jak długo jeszcze tego rodzaju bezwładność paraliżować będzie zdrowy rozwój społeczny?

Aleksander Głowacki.

OMYŁKI DRUKU,

dostrzeżone w zeszycie XII z roku 1877.

Stron. 519 w. 4 w tytule zamiast *kolanach* powinno być *kolorach*.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

W SPRAWIE WYDAWNICTWA JUBILEUSZOWEGO

„WYBORU PISM”

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Uwzględniając życzenie ogółu, a zwłaszcza téj jego części, która posiada już wydanie lwowskie powieści Kraszewskiego, komitet, czuwający nad wydawnictwem jubileuszowém, po porozumieniu się ze czcigodnym autorem, poczynił pewne zmiany w wyborze dzieł, wejść mających do rzeczonego wydawnictwa.

Wybór ten rzeczywiście rozliczne przedstawiał trudności. Musiano najprzód wziąć na uwagę stronę techniczną i obliczyć ściśle, aby objętość prac wybranych odpowiedziała zakresowi 15-tu tomów. Powtóre, wobec wydania lwowskiego, które, bądź co bądź, rozeszło się w kilku tysiącach egzemplarzy, wypadało, dla saméj już pokupności zamierzonego wydawnictwa jubileuszowego, baczyć na to, aby do nowego wydania weszły ile możności pisma nieobjęte owém zbiorowém wydaniem lwowskiém. Nareszcie konieczność zmuszała do rachowania się z prawami firm księgarskich, które znaczną część nowszych zwłaszcza dzieł Kraszewskiego na czasową nabyły własność Do takich należą między innemi: *Brühl*, *Hrabina Kozel*, *Czasy wojny siedmioletniéj*, *Morituri*, *Resurrecturi*, *Ostatnie chwile księcia wojewody*, i t. p., oprócz całéj seryi wychodzących obecnie *Powieści historycznych* sędziwego autora; świéżo zaś nadeszła nawet protestacya znanéj firmy co do pomieszczenia *Witoloraudy*.

Łatwo zrozumiéć, że tyle sprzecznych względów i interesów niemały stanowiło szkopuł w swobodnym wyborze pism do wydawnictwa jubileuszowego. Komitetowi przeto nie pozostawało nic innego, jak godząc w miarę możności różnorodne wymagania, uczynić wybór *względnie najlepszy*. Ostatecznie więc, zamiast dzieł ogłoszonych już w pewnéj liczbie prospektów, do wydawnictwa jubileuszowego wejdą dzieła następujące:

Rzym za Nerona.—Półdiable weneckie. — Dziś i lat temu trzysta.—Historya o Jonaszu Korczaku i pięknej cześnikównie.—Sfinks.—Dwa Światy.—Powieść bez tytułu.—Dola i niedola. — Czarna perełka.—Szaławiła.—Jasełka.—Chata za wsią. — Król i Bondarówna.—Pamiętnik Mroczka.—Starościna Bełzka.

Tym sposobem dwie tylko powieści, to jest: „Chata za wsią“ i „Dwa światy,“ powtórzone zostaną z wydania lwowskiego, inne zaś wymienione tu prace, pierwszorzędnéj także wartości, po większej

części są dziś wyczerpane, a wydrukowanie ich nanowo niczyich praw osobistych nie narusza.

Wkońcu komitet podaje do powszechnéj wiadomości, że wydawca, widząc obficie płynącą prenumeratę, a témsamém rachując na odbyt znakomitéj liczby egzemplarzy, uznał za możliwe cenę po 5o kop. za tom, czyli za całość 15-to tomową rs. 7 kop. 5o, oznaczyć nietylko dla prenumeratorów „Tygodnika Illustrowanego" i Biesiady Literackiéj," *ale dla ogółu całego, bez żadnego wyróżnienia.*

Warszawa d. 14 grudnia 1877 r.

Członkowie Komitetu wydawniczego:

Feliks Fryze, Konstanty Górski, Józef Hiż, Ks. Adam Jakubowski, Ludwik Jenike, Ludwik Kolnarski, Wincenty Korotyński, Edward Leo, Stanisław Lesznowski, Władysław Maleszewski, Antoni Nagórny, Maurycy Orgelbrand, Adam Pług, Stanisław M. Rzętkowski, Zygmunt Sarnecki, Gustaw Scnnewald, Ludwik Spiess, Filip Sulimierski, Wacław Szymanowski, Gracyan Unger, Julian Wieniawski, Robert Wolff, Kaźmirz Zalewski.

OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY.

Tom I. **Kodeksu dyplomatycznego Wielkopolski**, wydawanego staraniem Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego a nakładem właściciela Biblioteki kórnickiéj, wyjdzie z druku w miesiącu Grudniu rb. Całe to dzieło ma się składać z 4 tomów, z których 3 pierwsze zawierać będą w chronologiczném następstwie dokumenta, tyczące się Wielkopolski aż do r. 1400, tom IV zaś obejmie regestr, poczet 64 pieczęci chromolitografowanych i mapę Wielkopolski z epoki piastowskiéj.

Pragnąc Kodeks jak najszerszym kołom naszego społeczeństwa uczynić przystępnym, ogłaszamy niniejszém przedpłatę na tom I, zawierający w 616 numerach dokumenta z lat 984—1287, a co do objętości arkuszy druku blizko 80 formatu leksykonowego (po 8 str.).

Przedpłatę tę, wynoszącą

8 marek

przyjmuje od dzisiaj do dnia 15 stycznia 1878 r. Zarząd Biblioteki kórnickiéj (Dr. Celichowski w Kórniku), jako téż drukarnia Dr. W. Łebińskiego w Poznaniu, Plac Wilhelmowski Nr. 17, która zarazem zajmie się rozesłaniem zamówionych egzemplarzy zaraz po ukończeniu druku.

Po upływie terminu przedpłaty cena w handlu księgarskim podwyższoną zostanie do 12 marek.

Kórnik, 15 Listopada 1877.

Zarząd biblioteki Kórnickiéj.
